



Nr. Książki

Autor

D 1460

Wolicki, K.

Tytuł

nia

Data
wrotu

Dz

BIBLIOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PROŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

- I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
- II. Nie dotykaj mnie brudnymi rękami.
- III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
- IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
- V. Nie mniż kartek i nie zaginaj rogów.
- VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
- VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
- VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiednim!
- IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
- X. Nie wrywaj i nie niszczonek obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Biblioteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

D 1460

D ~~203~~ X



D 1460

WSPOMNIENIA
KONSTANTEGO WOLICKIEGO.

W ciągu roku 1876

w y j d ą z d r u k u :

- Bolesławita, B. Nad modrym dunajem.
- Bret-Hart. Obrzy Kalifornii, tłum. P. Wilkońskiej.
- Carlén, Flygary. Róża z Tristelan. Powieść.
- Dzieła Juliusza Słowackiego. Pierwsze krytyczne wydanie przejrzane przez prof. dr. A. Małeckiego.
- Dzieła J. B. Zaleskiego. Pierwsze zbiorowe wydanie, przejrzane przez autora.
- Ebers. Córka króla Egipskiego. Powieść.
- Felliński, A. Barbara Radziwiłłówna. Tragedja.
- Jeż, T. T. Pod obuchem. Powieść, 2 tomy.
- Liske X. Cudzoziemcy w Polsce.
- Listy Juliusza Słowackiego, tom II.
- Listy Tadeusza Kościuszki, poprzedzone wstępem hist. L. Siemieńskiego.
- Pamiętnik znaleziony p. P. Sassa.
- Pamiętniki Paska.
- Pol, Wincenty. Geografia ziemi świętej.
- Przewodnik dla leśniczych. Zbiór wiadomości z gospodarstwa lasowego, ułożony przez profesorów szkoły gospod. lasowego we Lwowie, pp. Romera, Staneckiego, Strzeleckiego i Tynieckiego.
- Schwartz, Z. Przyszłość Gertrudy. Powieść.
- Verne, J. Pływające miasto.
- Wetherell. Szeroki świat. Powieść tłumaczona z angielskiego, przez Marję J. 2 tomy.
- Wilkońska, P. Na teraz. Powieść.

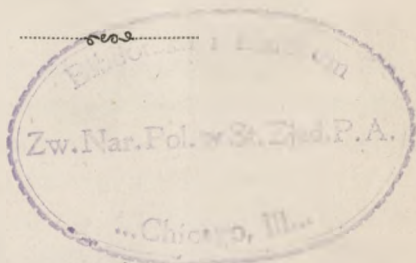
D1460

WSPOMNIENIA

KONSTANTEGO WOLICKIEGO

Z CZASÓW POBYTU

w cytadeli warszawskiej i na Syberji.



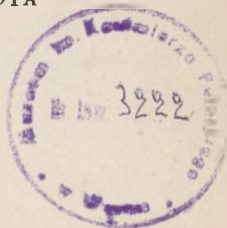
LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

plac św. Ducha 1. 10.

1876.



ROZDZIAŁ I.

(Sojecki. — Mamajew. — Agiejew. — Ludwisarnia. — Współwięźniowie. — Komisja śledcza. — Nowak. — Sąd wojenny. — Kategorie podsądnych. — Wyjazd z Ludwisarni. — Ogłoszenie wyroku. — Okucie w kajdany. — Wyjazd z Warszawy.)

Ponurą i niesympatyczną była postać p. Sojeckiego, majora Ordyńskiego pułku kirysjerów i odkomenderowanego na plac-majora miasta Warszawy, a do którego należał nadzór policyjny ówczesnych więzień politycznych, jakimi były w Warszawie: Cytadela, Plac, Ludwisarnia, Franciszkanie, Karmelici na Lesznie, i inne mniejsze więzienia polityczne, których nie znałem i nie pamiętam.

P. Sojecki, był to człowiek wysoki, chudy, śniady, z czarnymi wąsami i przez nos mówiący. Nie wpływał on tyle grozą na siedzących wówczas więźniów politycznych, ile raczej męczył ich nudą i drobnostkowo-

ścią. Lubił gorące napitki, którymi można było jakieś u niego względy pozyskać.

Drugą, bardzo ważną dla więźni, w Ludwisiarni będących, figurą, był dozorca tegoż więzienia, praporszczyk piechoty, Mamajew, którego przezwano księciem Mammajem, na cześć tatarskiej pamięci księcia Mamaja, sławnego wodza w epoce jarżma tatarskiego, pod którym 200 lat jęczała niegdyś Moskwa. Był to mały, chudy, czarny człowieczek, różniący się tylko wąsami i mundurem od innych zwierząt ssących, a tak głupi, że równego, nawet zamówionego, na wielkim Makarjewskim jarmarku i za 10 lat nie dostawia.

Jako dopełnienie szanownego triumwiratu dodać jeszcze trzeba podoficera żandarmów, Agiejewa, który porządkiem i wewnętrzną strażą więzienia kierował. Silny, barczysty i wysoki Moskal, zawsze pijany, a przytem tak brudny, że trudno rozeznac było, czy gołe, czy w czarnych rękawiczkach, miał ręce. Agiejew bywał także przytomnym przy roznoszeniu obiadów, i skoro żołnierze postawili na stole potrawy już naprzód za-

wsze pokrajane (gdyż łyżkę tylko dawano, a noża i widelca nigdy z obawy, aby więzień sobie śmierci nie zadał), on zwykle swoimi brudnymi palcami brał najlepsze kawałki, mówiąc: „Kuszajte, eto charaszo.“ Jeżeli to więc była potrawa sosem obłana, pozostawał w niej smak i zapach, obrzydzenie budzący — jadło się jednak, bo się jeść chciało.

To był szanowny triumwirat, pod którego pieczę jednąście miesięcy więzienia mego pozostawałem.

Więzieni wówczas ze mną w Ludwisarni i pod sądem zostający, o ile pamiętam, byli:

Ks. Antoni Ojrzanowski, ks. Tęsiorowski, pułkownik Węgierski, Stanisław Walewski, Wiewiórowski, Leszewski, Rudnicki, Gustaw Zieliński, Julian Rościszewski, Eustachy, Roman i Teofil Chełmiccy, Klarner, Hübrych, Kownacki, Antoni Kronkowski, Tadeusz Krzymuski, Boblewski, Załuskowski, Adolf Łączyński, Erazm Czermiński, Ignacy Orpiszewski, i kilku innych, którzy przemi-
jająco pozostawali, gdyż dla konfrontacji

lub innych przyczyn przewożono ich z jednego do drugiego więzienia.

Badania więźniów odbywała naznaczona w tym celu komisja śledcza, pod przewodnictwem ówczesnego ober-policmajstra miasta Warszawy, pułkownika Storożenko, składała się zaś z pułkowników Lewickiego, i ks. Galicyna, adjutanta Paszkiewicza. z porucznika żandarmów, Lejchtego *) i z kilku innych oficerów moskiewskich, oraz z jednego członka sądowego, Trzcńskiego, Po-

*) Sławny Lejchte był w 1863 r. pułkownikiem żandarmów, mieszkał na kolonii koło Błonia pod Warszawą. Właściwe nazwisko jego było Lubomirski. Nie pamiętam dobrze, z kąd pochodził? z Kalisza, z Sieradza, czy z Płocka, to tylko wiem z pewnością, że pochodził z jednej z tych trzech miejscowości, a nie z innej. W 1831 r. był podoficerem w wojsku polskim, i po bitwie pod Ostrołęką wraz z bratem swoim przeszedł do Moskali, którzy mieli ich w podejrzeniu i trzymali w areszcie. Następnie Lubomirski przezwal się Lejchte i wszedł jako żandarm do służby moskiewskiej, dawszy poprzednio zapewne rękojmię dostateczną do tej służby. Za pieniądze złupione w czasie urzędowania swego w komisji śledczej, nabył wieś w ostrołęckim powiecie.

laka. Dwa razy na tydzień odbywały się posiedzenia tej komisji, w razie zaś konfrontacji lub innej potrzeby, Agiejew w towarzystwie dwóch żołnierzy z bronią, sprowadzał nas po jednym do sali sesjonalnej. W komisji tej badano, biorąc za zasadę albo raporta żandarmów, albo doniesienia szpiegów za nierozważnie wypuszczone słówka, a nawet podejrzenia tylko. Przy badaniu wszystkich inkwizycyjnych używano środków, począwszy od namowy i przyrzeczeń

Miał dwa procesa: o zabicie człowieka na wsi i o podpalenie. Prezes sądu apelacyjnego, Poklękowski (który poprzednio był prezesem sądu kryminalnego), mówił mi, że komisja śledcza z cytadeli wzywała urzędownie sąd kryminalny o przesłanie jej aktów w tych dwóch sprawach przed wydaniem wyroku. Akta te w komisji śledczej zostały i do sądu kryminalnego nie wróciły, a tym sposobem i wyrok sądu kryminalnego nie mógł zapaść w tych sprawach, lecz ślad ich znajduje się w dyrekcji ubezpieczeń. Szpieg pod rządem moskiewskim może bezkarnie tak jak każdy Moskal kłaść, podpalać, mordować i na Sybir posyłać. Rząd narodowy w 1863 r. skazał Lejchtego na śmierć, i wyrok ten wykonany został.

(Przyp. p. Radomińskiego.)

nieograniczonej łaski, byle wyznać prawdę, od podłechtowania miłości własnej, podchwytywano za słowa, a zawsze gotowi stali żandarmi i służyciele z dostatecznym różg zapasem, którzy do wyznania nieistniejącego nawet przewinienia zmuszali. Niepodobna mi zapomnieć jednego z tych postępowań śledczych, które jest jakoby normą wszystkich prawie innych tego wyjątkowego sądownictwa.

W przyległym mojemu numerze więzionym był niejaki Nowak, kaleka bez nogi, którą po kolano utracił od armatniej kuli pod Rakowcem, w czasie szturm Warszawy. Uwięziony był i znajdował się pod śledztwem w skutku doniesienia szpiega, jakoby w czasie bytności carskiej w Warszawie, w kilku razem idąc wieczorem ulicą, jeden z nich odezwał się: „Że też to nikt się nie znajdzie, coby tego szelmę (Mikołaja) zgładził.“ Szpieg miał słyszeć te słowa, lecz nie znał osób idących, tylko, iż jeden z nich był o kuli, i na tej zasadzie, że Nowak był oficerem rewolucyjnym i był bez nogi, więc go uwięziono, aby się dowiedzieć, kto byli inni, co mu towarzyszyli, i który z nich te

słowa powiedział, o których szpieg donosił. Półtora roku męczono wszelkimi sposobami Nowaka, aby coś z niego wybadać. Czy to hart duszy, czy też rzeczywiście nie znajdował się w tem towarzystwie, dosyć, że nic od niego dowiedzieć się nie mogli, jednakże mimo to, wyczerpawszy wszelkie męczarnie, osądzono go jako źle myślącego, uznano za winnego i zesłano na Syberję na mieszkanie z pozbawieniem wszelkich praw, naznaczając mu na mieszkanie miasteczko Iszym. Umarł on w 1836 r. w skutku wyczerpania sił męczarniami i cierpieniami w czasie śledztwa. Jak już wspomniałem, numer, w którym więziony byłem, znajdował się obok numeru przez Nowaka zajmowanego, oddzielony tylko lekkim z desek przepierzeniem, naprędce zrobionem i otynkowanym wapnem, można było jednak wszystko słyszeć, co się u Nowaka mówiło, a nawet przez małe szczeliny dojrzeć, co się wewnątrz działo. Jednego dnia, około 5ej godziny z rana, niezwykle ruch po korytarzach i odzywy sztyldwachów przebudziły nas, z ks. Antonim razem wówczas w jednym numerze sie-

dzących, zwiastując nam niezwykle zdarzenie i przyjazd komisji śledczej. Umówione puknięcie w ścianę ostrzegło wszystkich, że jakiś nadzwyczajny zaszedł wypadek. Biegająca, szcęk kluczy i trzask ryglów dał nam poznać, że do numeru Nowaka otworzono. W mgnieniu oka powstaliśmy z ks. Antonim i przyłożyliśmy oczy do wiadomych szczelin. Po otwarciu drzwi u Nowaka, ujrzeliśmy tam wchodzącego Lejchtego, za nim wszedł Trzeciński z teką, potem Mamajew, Agiejew i kilku żandarmów. Nowak, czy to z przyczyny słabości, czy też snu mocnego, leżał jeszcze rozebrany na pryczy. Po zamknięciu drzwi, przystawiono stolik do pryczy, przy którym zasiadł Trzeciński z papierami, obok niego Lejchte, a przy drzwiach stanęła reszta i żandarmi. Tu odezwał się Lejchte:

— „Długoż ty jeszcze łajdaku będziesz się zapierał? Mamy dowody, żeś to ty, nie kto inny powiedział te słowa; odkryj współników, powiedz prawdę, a możesz rachować na litość i miłosierdzie cesarskie — inaczej już my sobie z tobą damy radę.“

Przejęci zgrozą i przestraczem patrzaliśmy na tę okropną scenę więzienną, my dwaj tylko niewidomi świadkowie. Z przerażenia nie mogliśmy ani dosłyszeć, ani zrozumieć odpowiedzi Nowaka — lecz niebawem okropniejszy nastąpił widok: „Łozunow!“ wrzasnął Lejchte. — Rzucili się żandarmi i służyciele na leżącego na pryczy Nowaka i przygnietli go. Świst różg i uderzenia słyszeć się dały, jęknął nieszczęśliwy, zerwał się z siłą młodzieńczą i strząsnął ten cały motłoch gniotący go, powstał i chcąc stąpnąć, zapomniał, czy nie czuł, że nie ma nogi, i całym ciężarem ciała uderzył o podłogę; rzygnęła krew strumieniem, kość wyszła z otwartej rany i padł zemdłony. Porwali go napowrót siepacze, rozciągnęli na pryczy i na nowo siec zaczęli, chociaż krew z otwartej buchała rany. Po minucie może tej męczarni, nie słysząc żadnego krzyku ani odpowiedzi, zimno zawołał Lejchte: „pozwať lekaria!“ Wybiegł służyciel i wkrótce sprowadził dyżurnego moskiewskiego wojskowego chirurga. W oczach nam się zaćmiło, przytomność odeszła i nic

nie wiem, co się dalej działo — pamiętam tylko, że wychodzącemu Lejchtemu rzekł lekarz: „eto niczewo, urieżem po dalsze i budiet ładno.“ Nowaka wyniesiono do lazaretu i nie widziałem go aż w kilka miesięcy później, jak nas razem na Syberję wieziono. Młodość i silne zdrowie dozwoliły, że się rana zagoiła i nowej nie robiono amputacji. Szczęśliwie zamki, drzwi się otworzyły, wpadł Lejchte do nas, krwawym hyeny popatrzał na nas okiem, widać dorozumiał się, żeśmy wszystko przynajmniej słyszeć musieli — i wyszedł nic nie mówiąc. Trzask ryglów i odzywy szyldwachów obudziły nas z tego odurzenia dręczącego, spojrzeliśmy na siebie z ks. Antonim, ale słowa żaden nie był w stanie wymówić, cicha tylko modlitwa zaniósła przed tron Najwyższego błaganie o pomstę nad katami.

Każdy z ujętych, przywieziony do Warszawy, oddanym zostawał pod komisję śledczą, w tym celu ustanowioną. Początkowe badania odbywały się tajemnie (pod sekretem), t. j., że każdy osadzony był w osobnej więziennej celi; we drzwiach, której

było wyrżnięte małe okienko, i przez takowe szyldwach chodzący po korytarzu, każdego czasu mógł widzieć, co więzień robi, nawet w nocy, gdyż zawsze świeca się paliła. Ważniejsi więźniowie, do których i ja miałem zaszczyt być zaliczonym, mieli oprócz tego straż wewnętrzną, t. j. jednego albo dwóch szyldwachów bez broni, którzy razem z więźniem zamknięci, oka z niego nie spuszczały. To było najokropniejszym i najnieznośniejszym udręczeniem, w którym łatwo rozum postradać, gdyż niepodobna było ani zasnąć, ani myśli własnych zebrać, bo szyldwach taki wewnętrzny krząknął, stąpnał lub splunął, i sen lub myśli przerywał. Dodać do tego ciągle światło w nocy i zawsze smród nieznośny, nieodzowny w małej izdebce, od wiecznie tam stojącego kuźbła, nie zbyt czysto utrzymywanego, przytem przenikliwy zapach właściwy Moskalom, a nadto cogodzinna dzień i nocą zmiana szyldwachów, ciągle trzaskanie zamkami i drzwiami, stawały się torturą, którejby nawet inkwizycja w Hiszpanji wymyśleć nie umiała. Przez cały czas sekretnego

więzienia nie golono, ani strzyżono, nawet paznokciom rosnać było wolno. Szydłwachom wewnątrz stojącym najsurowiej wzbronionem było rozmawiać z więźniami, również nie wolno było więźniom czytać, a tem bardziej pisać, śpiewać, głośno deklamować. Gdy komisja pozwoliła więźniowi list lub prośbę napisać, prowadzono go do sali sesjonalnej, dano mu tam papier naznaczony, na którym wobec członka komisji mógł pisać co mu pozwolono; — po napisaniu papier ten odbierał członek delegowany i przy raporcie odsyłał do komisji śledczej, która po przejrzeniu, opatrzeniu i rozważeniu, robiła z pisma tego użytek, jaki za właściwy uznała. Najbardziej wzbronione były głośne rozmawianie, śpiew lub krzyki; za nie karano więzieniem w podziemiach i postem, t. j. zamykano w celi pod ziemią będącej, zupełnie ciemnej, gdzie zamiast posłania była wiązka słomy, a na pożywienie garnek wody niezbyt czystej i kawałek żołdackiego chleba. Nieuległym lub niechcącym przyznać się do winy, usuwano wodę, a dawano śledzia słonego, z kąd po-

wstawalo pragnienie, którego niczem ugasić nie było można. Upartym zaś bardzo dawano chłostę dopóty, aż komisja uznała ilość za dostateczną. Wprawdzie osobiście mnie doznałem ani więzienia w lochu, ani chłosty, lecz iluż to było towarzyszków moich, którzy te męczarnie przeszli? Często kirzyki i jęki męczonych dostatecznie nas o tem przekonywały. Najwięcej w tym rodzaju wycierpiał Filip Grodzicki, z Kaliskiego, który nam to później opowiadał przy widzeniu się z nami w Tobolsku, gdy go do wschodniej pędzono Syberji. Po ukończeniu działań komisji śledczej, lżejszem było więzienie, gdyż łączono nas po dwóch lub trzech w jednym numerze; była to wielka radość, można było zobaczyć się z towarzyszem lub towarzyszami i nagadać się do woli. Wtedy także dozwalało przechadzki po dziedzińcu, w utworzonym szpalerze przez żołnierzy w odstępie 10 kroków jeden od drugiego, pozwalano w jednym numerze znajdującym się więźniom przechadzać się godzinę. Było to niewymownie wpływającym na zdrowie więźniów, ci albowiem, którzy

kilka miesięcy samotnego przepędzili więzienia, mdleli za pierwszym wyjściem na świeże powietrze, innym drętwiały nogi tak, że z początku chodzić nie byli w stanie. W tych czasach miłe i wesołe bywały chwile, surowa karność więzienna prawie znikła, Mamajew opłacany dobrze, nibyto ze względami dla nas, około 7mej godziny wieczorem, kiedy się już żadnego rontu ani wizyty nie spodziewał, puszczał nas czasem po ośmiu lub dziesięciu do jednego numeru. Największym numerem był mój, gdzie siedziałem z ks. Ojrzanowskim i St. Załuskowskim; wtedy rozpoczynała się hulanka, wino i rozmaite łakocie, hojnie nam przez krewnych dostarczane z miasta, należycie spożywane były; fajki dozwolone kopcilo się na wyścigi przy gawędzie, nawet karty zjawily się i niejedna partyjka „landsknechta“ i „faraona“ rozegrała się.

Ja byłem kucharzem Ludwisarni, i z dostarczanych nam przez krewnych pieczonych indyków, kapłonów, zajęcy, pomarańcz, owoców, cytryn i napitków, Bóg wie jakie wytwarzałem frykasy, którymi się Mamajew

obżerał, mówiąc: „czudiesnoje“. Przez ten czas Agiejew stał na straży przy wejściu do więzienia, i skoroby się pokazał niespodziewany ront lub wizytujący, ostrzegął zwykłym odzywem: „posłať unteroficera“. Na hasło to gaszono światło i rozbiegano się do swoich numerów, które coprędzej służyciele zamykali. Prawie zawsze Mamajew pijany z pomocą służycieli musiał być odprowadzany. Raz nawet tak się zdarzyło, że będąc pijany do stopnia niemożności wyjścia, legł na pryczy Załuskowskiego. Służyciele spiącego zamknęli razem ze mną i ks. Ojzranowskim, a biedny Załuskowski przez cały czas wizyty pułkownika Sjanowa musiał siedzieć w kryjówce. Sjanow obchodząc kurytarze, sprawdzał przez okienka liczbę więźniów, nie wchodząc wewnątrz; udało się szczęśliwie i Sjanow pojechał sobie. Był on wtedy adjutantem jenerał-gubernatora m. Warszawy, Pankratjewa, a bano go się bardzo, bo był surowym i złośliwym. Często na takim wieczorku i Sojecki niejedną z nami wytrąbił butelkę szampana.

Po skończonem śledztwie przewożono nas

po kilku do Placu, a ztamtąd w parę dni prowadzono do sądu wojennego, który odbywał posiedzenia swoje w prawem skrzydle pałacu Prymasowskiego na Senatorskiej ulicy. W sądzie tym prezydował jen. Paniutyn (później był jen-gubernatorem m. Warszawy). Sąd zaś składał się z kilku sztab-i ober-oficerów, których nazwisk nie pamiętam. Oddać jednak trzeba sprawiedliwość, że tak prezydujący jak i członkowie sądu bez wyjątku byli ludzie z wykształceniem i grzeczni. Żadne tam krzyki, porywczosć lub grubiaństwa nie miały miejsca, owszem widać było w postępowaniach ich coś na kształt wyrozumiałości, godności i przyzwoitości, a czasem nawet coś podobnego do współczucia. Sąd ten wojenny jedynie był czczem dopełnieniem formalności, sądzono albowiem podług przepisów prawa wojennego Piotra Wielkiego, które bez wyjątku tak przywódców, uczestników, a nawet wiedzących tylko o zamachu politycznym, zarówno karze śmiercią. Różnica w karze zawisła jedynie od rodzaju śmierci, tj. od knuta, szubienicy, ćwiertowania lub rozstrzelania. Wszelkie więc

usiłowania uniewinnienia się na nic się nie zdały, bo ktokolwiek dostał się tylko pod sąd wojenny, winien był według przepisów prawa być karanym śmiercią. Gdzie prawo takie jest obowiązującym, tam wszystko zależy od woli jednego, który wyroki łagodzi, potwierdza lub czasem zaostrza, a który zwykle nie ma najmniejszego wyobrażenia ani o obowiązkach sumienia, ani o godności sędziego.

Po skończonej komedji tego sądu, odwieziono nas znowu do Ludwisarni, nie uwiadamiając nas o tem, co się z nami stanie, ani o tem, co się dzieje z naszymi sprawami. Sąd wojenny po zamknięciu akt naszych czyli po dopełnieniu formalności przesłuchania obwinionych, odsyłał wszystko do głównego audytorjatu armji, w którym przydował jen.-audytor Grygorjew, attrybucją zaś tego audytorjatu było sformować listę osądzonych i podzielić ją na kategorie podług widzimisię pana jenerała; ogólne zaś niby zasady miały być, że w kategorii lej zamieszczano tych, którzy byli schwytani z bronią w rękę, i wszyscy ci byli karani

śmiercią (dziś już nie pamiętam wszystkich; Artur Zawisza, Speth i nie pomnę kto, powieszni byli w Warszawie; Winnicki i Zając vel Zajączkowski rozstrzelani w Kaliszu; oprócz tych odbyły się egzekucje w różnych miejscach kraju, jako to: Siedlcach, Lublinie, Łomży i innych. Razem 14 osób powieszono i rozstrzelano).

W kategorii II zamieszczano tych, którzy mieli styczność z emisariuszami albo im pomoc w żywności lub broni dawali, albo też ukrywali ich przed pogonią. Wszyscy ci skazani zostali do ciężkich robót na Syberję. Między tymi byli: Mystkowski, obywatel z Płockiego, Weber i Luboradzki z Płocka, którzy podobno należeli do oddziału Zawiszy, obadwa ledwo po 15 lat wieku liczący.

W kategorjach III, IV i V zamieszczano wszystkich mniej lub więcej skompromitowanych, z których ci co byli w III kategorii zamieszczeni, ulegli zesłaniu na Syberję na osiedlenie, z utratą szlachectwa, urzędów i tytułów wraz z konfiskatą majątku. Z IV kategorii karano zesłaniem do wojska bez wysługi w bataljonach Sybirskich, Oren-

burgskich i na Kaukazie. Z V kategorii więziono w fortecach (Zamościu i t. p.) po 2 lub więcej lat, a czasem i rok tylko — najmniej winnych więźniów po odwachach, a rzadko po pół roku lub kilka miesięcy. Wszyscy zaś bez wyjątku po wysiedzeniu kary oddawani byli pod dozór policyjny, bez oznaczenia czasu. Wtedy to były czasy przekupstwa i targów; mnóstwo agentów i faktorów biegało po hotelach i stancjach, zajmowanych przez rodziców lub krewnych więźniów, a każdy wychwalał i głosił wielkość i znaczenie swojego pryncypała, że od niego wszystko zależy, byleby dobrze zapłacić. Głównie biegali od Grygorjewa jen. audytora sądu wojennego, który (wiem to dokładnie) był czuły na pieniądze grzeszności. Rzadko wprawdzie, ale bywały wypadki, gdzie wiele można było zrobić pieniędzmi; więziony z nami Antoni Kromkowski z Konińskiego, syn zamożnych rodziców, którzy na jego interes przeszło 100 000 złp. stracili, za protekcją Grygorjewa i Lejchtego skazany został tylko na rok do Zamościa, chociaż przewinienie jego

równe było naszemu. Ajenci Grygorjewa mojej ciotce pronowali, że byleby poświęciła 20.000 złp., a będę zupełnie wolnym; niestety pomimo szczerzej chęci, pieniędzy tych wówczas nie miała, Grygorjew nic nie dostał, a mnie posłano do Syberji na osiedlenie.

Złote to były czasy dla urzędników moskiewskich, i urząd w komisji śledczej niezłą był dla nich Kalifornią. Rodzice, krewni i przyjaciele ostatnich dobywali funduszków, byle ratować uwięzionych. Było to ogólnem, szczytnem i wzniosłem całego ogółu uczuciem.

Po skończonym sądzie znowu nas odwieziono z Placu do Ludwisarni, gdzie kilka miesięcy przebyliśmy w spokojności, spodziewając się codziennie ulaskawienia i uwolnienia.

Dnia 24. Lipca 1834 r. około 12 w nocy przebudził mię stuk do bramy, a chociaż to prawie codziennie się zdarzało, dziwnie mię jakoś przeraził, i ks. Ojrzanowski również się przebudził. Uważnie podsłuchaliśmy ruch i chodzenie po korytarzu, wkrótce jasne światelko błysło przez szybkę,

we drzwiach skrzypnęły rygle, wszedł Sojecki ze świecami i z dwoma żandarmami, przystąpił do tapczanu, na którym leżałem, mówiąc: — Ubieraj się pan, pojedziemy. Porwałem się i odziawszy się nieco, spytałem; a dokąd, panie majorze? — Niedaleko, odpowiedział, zabierz pan jednak z sobą co potrzeba. Lecz gdy zacząłem pakować do tłumoka pościel i inne rzeczy — rzekł: Niepotrzebnie zabierasz pan z sobą tyle rzeczy, będziesz je musiał wyrzucić po drodze. — Te słowa nieco mię przeraziły, bo pomyślałem, kiedy wszystkich rzeczy zabierać z sobą nie każą, to chyba na śmierć mię powiozą. Prócz tego com miał na sobie, wzięłem więc tylko płaszcz, i kilka chustek i koszul w zawiniątko małe włożyłem. Żandarmi zawiniątko wynieśli, a ja pożegnawszy się z ks. Ojrzanowskim, zszedłem na dół z Sojeckim. Noc była dżdżysta, lecz gwiazdy gdzieś świeciły, warta była pod bronią przed frontem odwachu uszykowana, a gdy przeszliśmy dziedziniec i wyszli za bramę, zastaliśmy dorożkę, otoczoną sześciu żandarmami i kilku kozaków konno. W mil-

czeniu wsiedliśmy do dorożki z Sojeckim, którą zaraz żandarmi i kozacy otoczyli i ruszyliśmy z miejsca. Wszystko spało w całej Warszawie, żadnego światelka nigdzie spostrzedz nie można było, i ciepły mżył deszczyk. Przejechaliśmy ulicę Dziką, Bielańską, Plac przed teatrem, Senatorską, Krakowskie przedmieście, Bednarską i przejechawszy po moście na Pragę, zastaliśmy tam szpaler z żołnierzy pod bronią uszykowany, środkiem którego dojechaliśmy aż do okopów i stanęliśmy przed odwachem. Sojecki wysiadłszy, skinął na mnie, żebym to samo uczynił, warta cała wystąpiła z bronią, wprowadzono mię na odwach do brudnej i ciemnej izdebki, i tam kazano czekać. Wkrótce potem wprowadzono tamże Luboradzkiego i Webera z Cytadeli, a nakoniec przywieziono Nowaka. Gdyśmy już wszyscy czterej zgromadzeni byli, w przytomności Sokołowskiego, adjutanta Placu, Sojecki wzięwszy kawałek ogorzalej lojówki, przeczytał nam wyrok, z którego nie umiając wtedy po moskiewsku, ani słowa nie zrozumieliśmy. Na zapytanie nasze, co ten wy-

rok miałby znaczyć, Sojecki krótko odpowiedział: „W Sibir na posielenje.“

Po takowem ogłoszeniu wyroku, mnie pierwszemu kazano usiąść na obdartej sofie co się tam znajdowała; z zapieca zaś wyłaźł śmierdzący żołdat, niosąc kajdany i w takowe zaczął mię zakuwać. Z jedną nogą dobrze jakoś poszło, ale gdy mi u lewej nogi zaczął nitować kajdany, czy to z przyczyny ciemności, czy też umyślnie zamiast w wąsy od kajdan, z całej siły uderzył mię młotkiem w piszczel; porwałem się z bólu i potężnym obdarzyłem go policzkiem. Skoczyli zaraz do mnie żołdaci, porwali za ręce i przytrzymali, dopóki kowal nie okuł mię. Ból, który w skutek tego uderzenia czułem, dolegał mi okropnie, a pomimo tego cierpienia nie mogłem śmiechu powstrzymać na widok sceny, która się oczom moim przedstawiła, a zwłaszcza z kłopotu, w jakim byli Sojecki i Sokołowski. Z kolei zaczęli okuwać Nowaka; podał więc jedną nogę, którą mu okuli, lecz nie mając drugiej, gdy następnie podał szczudło, kowal zdziwił się niepomału i obracając się

• do Sojeckiego, zapytał: „a eto kak?“ Zafrasowani Sojecki z Sokołowskim nie wiedzieli jak sobie postąpić, wyrok albowiem wyraźnie kazał okuć skazanych na obiedwie nogi, a tu jednej nie było. Ci panowie tak zgłupieli, że długi czas słowa wymówić nie mogli. Co tu robić? jak wyrok wykonać? Po długich naradach wymądrzyli, że kajdany od okutej nogi kazali przyczepić do paska w stanie; wydawało się więc, jakby go kajdanowym ozdobili lampasem.

Po skończeniu okucia wszedł kapitan żandarmów, Świet, przyjął nas pod konwój i z odebrania pokwitował. Wyprowadzono nas przed odwach, gdzie już cztery pocztowe czekały bryczki, na które nas powsadzano, bo nieprzyzwyczajeni do kajdan, nie mogliśmy wsiąść sami. Ze mną wsiadł na bryczkę Świet, na przodku obok pocztyljona usiadł podoficer żandarmów z nabitym pistoletem; inni zaś trzej, każdy na innej siedział bryczce, mając obok siebie podoficerów, a na przodku żandarmów z nabitą bronią, i tak dopiero o trzeciej godzinie z rana ruszyliśmy traktem na Miłosnę.

ROZDZIAŁ II.

(Emigracja. — Pobyt w Prusach. — Powrót do kraju. — Artur Zawisza. — Kalikst Borzewski. — Jurgaszko i jego sekretarz. — Sam się denuncjuję i odwożę w łapy moskiewskie. — Kalikst Pawłowski. — Raport Jurgaszki.)

Po kapitulacji Warszawy cała armia nasza poszła pod Modlin, i tam staliśmy obozem pomiędzy twierdzą Modlinem i miasteczkiem Zakroczymem; tam widząc zbliżający się koniec całych poświęceń i wysień narodu, postanowiłem wyjść za granicę; połączywszy się więc z p. Szysz....., udaliśmy się najprzód do J. pod Płockiem, a po zabawieniu tam kilkunastu godzin, puściliśmy się w dalszą drogę do Prus, w Lubiczu przejechaliśmy granicę. i trzy dni przesiedzieliśmy kwarantanny w Szylinie; było to w końcu września 1831 r., a ztamtąd przez Toruń udaliśmy się do Poznania, ale na nas Niemcy,

osobliwie kalibru urzędowego, patrzyli jak na rarogów, i wkrótce, bo na czwarty dzień, w Poznaniu p. prezydent policji Tentzpotte rozkazał nam wydalic się ztamtąd, i to w ciągu dwóch godzin, przysyłając żandar-ma, ażeby wyjazdu naszego dopilnował i do rogatek miasta nas odprowadził. Nikogo tam z krewnych lub znajomych nie zasta-łem, oprócz jednego Andrzeja Olszewskiego, który przez Poznań przejeżdżał. W tak tru-dnem położeniu, pomimo braku pieniędzy wyjechać musieliśmy, i pocztą udaliśmy się do Wrocławia, gdzie na drugi dzień stanę-liśmy w oberży pod „Goldene Gans“.

Dziewięć miesięcy w tem mieście prze-byłem; Niemcy nadzwyczaj okazali się nam tutaj przychylni, i do wszelkich poświęceń gotowi. Ciągłe przechodzące oddziały Pola-ków, dążących do Belgii i Francji, z zapa-łem i uroczyście przyjmowali, na każdy od-dział czekano z przyjęciem, zaopatrywano w żywność i fundusze, jakie zebrać można było, i w dalszą wyprawiano drogę. Sfor-mowano komitet do zbierania składek i do rozdzielania takowych; na czele tego komi-

tetu był stary izraelita, Kommissions-Rath Zoller, człowiek szlachetnego i poczciwego serca, chwalił się on zawsze tem, że znał osobiście Paszkiewicza, gdyż był kiedyś w stosunkach handlowych z ojcem jego, handlarzem była z Ukrainy, a nawet, że tenże ojciec przywiózłszy raz z sobą obu synów (ks. Paszkiewicz miał rodzzonego brata pułkownika, który nigdy niczem więcej nie był) do Wrocławia, i pozostawił ich pod jego opieką w jego własnym domu blisko przez pół roku, przez który to czas niby na uniwersytet wrocławski uczęszczać mieli. Czy to prawda, nie wiem, jednak z ust własnych Zollera to słyszałem.

Życie w Wrocławiu szło wesoło i dobrze; we wszystkich bywałem towarzystwach, młodemu świat niemiecki bardzo się podobał, a i serce zdaje się nie próżnowało, i podobno była jakaś z górnego Szlązka hrabina, co gwałtem podróż do Polski zrobić ze mną chciała. Razem mieszkaliśmy pod „złotą gęsią“ z towarzyszem moim Szysz..., lecz on miał większy pociąg do zakulisowego, jak do wyższego świata, co mnie bardzo

było przykrem, gdyż on żadnych z domu nie odebrał funduszów, i ja musiałem z moich funduszów, bardzo szczupło mi przesyłanych, łożyć na jego utrzymanie. W końcu mój p. Szysz. rozamorował się na piękne w pierwszej spiewaczce teatru wrocławskiego, która jakieś polsko-niemieckie nosiła nazwisko, a którego dziś nie pamiętam. Przytem zarwał mię na dosyć znaczną kwotę, równie jak hr. Reizenstein, porucznika w drugim pułku kirasjerów pruskich, z którym poznaliśmy się i w przyjaznych żyli stosunkach. Jednego pięknego poranku, czy wieczora, Szysz. uwiózł swoją boginię i zniknął, później podobno ją poślubił i zamieszkał w swoim majątku, w Galicji, lecz go, już potem nigdy nie widziałem, a co gorsza, i pieniędzy moich.

Pozostawszy sam w Wrocławiu, zacząłem tęsknić do kraju, udałem się więc do ks. Wilhelma Radziwiłła, wówczas stojącego z brygadą swoją w Wrocławiu; znałem go dobrze, przebywając w domu ojca jego ś. p. namiestnika WK. Poznańskiego, a który żył w wielkiej przyjaźni z nieboszczykiem arcy-

biskupem Gnieźnieńskim, a blizkim krewnym moim. Jego książęca Mość zapomniał widać o stosunkach i dawnej znajomości, i wszelkiego poparcia i protekcji odmówił, nie chcąc nawet widzieć się ze mną. Z Niemki urodzony, przesiąknął niemczyzną, i nic już nie miał niestety, oprócz nazwiska polskiego, którego nosić nie był wart. Dumny, niecierpiący Polaków, nie miał nawet przymiotów ojca swego, bo i na wiolonczelli grać nie umiał, którym to instrumentem ojciec jego po mistrzowsku władał.

Za radą Zollera udałem się wprost do króla pruskiego, prosząc o wyjednanie mi amnestji, i takową prośbę przesałem na ręce krewnego mego J. K., porucznika drugiego pułku gwardji w Berlinie, który miał jakieś względy u następcy tronu pruskiego. Niebawem, bo nie upłynęło dwa tygodnie, nadeszła żądana amnestja za wstawieniem się króla pruskiego. Wezwano mię do policji i doręczono mi amnestję, a nazajutrz dyliżansem udałem się do Polski. W Kaliszu zameldowałem się jenerałowi moskiewskiemu Sobolewowi (który ożenił się z panną

Mieszkowską) i wykonawszy przysięgę homagjalną, z kartą wolnego przejazdu w kieszeni, pojechałem do S., gdzie całą w dobrym zdrowiu zastałem zgromadzoną rodzinę.

Po kilkumiesięcznym wypoczynku i rozpatrzeniu się w smutnym stanie interesów, które przez nieład i podróż bardzo się pokrzyżowały, z początkiem 1833 r. odebrałem na siebie zarząd dóbr, wziąłem się skrzętnie i z ochotą do tego, i wyznać mogę, że mi dobrze iść zaczęło.

Na wiosnę tegoż roku, emigracja będąca we Francji, umyśliła wskrzesić rewolucję polską, wysyłając do Polski związanych straszną przysięgą emisariuszów, którzy mieli posłannictwo podburzyć lud i szlachtę, wzniecić na nowo powstanie i wypędzić Moskali. Jak mogła zrodzić się taka myśl dziwaczna, domyśleć się trudno; kto wie czy to nie było dzieło policji, która ostatnie zasoby kraju naszego chciała wyniszczyć. Dwa lata niespełna mijaly, jak kraj przeszedł ciężką wojnę o niepodległość swoją, przeszło 20.000 wychodźców zmniejszyło lu-

odność jego, i to najjędrniejszą, kawalka
lbroni nie było, cała Polska zalana Moska-
llami, a duch patryjotyczny tylko tlał w iskierce.
Jednakże zamiar ten szalony usiłowano wy-
lkonać. Kilkunastu pełnej odwagi i poświę-
ccenia młodzieży wróciło tajemnie do kraju,
i usiłowało wzniecić powstanie. Artur Za-
wisza i Kalist Borzewski, napadłszy z bronią
na posterunek pogranicznych kozaków pod
Lubiczem, i ubiwszy z nich kilku, wtargnęli
dło Polski, w lasy około Zbójna, tworząc
jakoby jądro przyszłego powstania. Partja
ta, tak zwanych gerylasów, nie dochodząca
nigdy do liczby piętnastu, błąkała się po
łasach obwodu Lipnowskiego, wiążąc sto-
sunki ze szlachtą tamtejszych okolic dla do-
stania żywności i powzięcia języka o polo-
żeniu wojsk moskiewskich, oraz oczekując
ogólnego wybuchu, na który rachowali.
Naturalnie, każde zetknięcie się gerylasów
z kimkolwiekbądź, kompromitowało i spra-
wiło, że kilkaset osób padło tego ofiarą.
Rząd skorzystał z tego, że kilkaset dobrze
mysłących i odważnych ludzi wyłowił z kraju,
posyłając ich na Syberję, lub wcielając do

wojska w oddalonych korpusach Orenburskim i Kaukazkim.

Za pierwszą wiadomością o zjawieniu się emisariuszów w naszym kraju, o czem rząd moskiewski był uprzedzony przez zagraniczną policję, wysłano oddziały wojska dla ścigania ich, a władzom administracyjnym polecono chwytanie i dostawianie do Warszawy. Naczelnicy powiatów, burmistrzowie i wójtowie gmin pod osobistą odpowiedzialnością czuwać musieli, kraj cały został na nowo ogłoszony w stanie oblężenia, pomimo, że stan ten istniał jeszcze od czasu rewolucji. Po wszystkich lasach zarządzano oblawy przez ludność miejscową, łącznie z żandarmerją i kozactwem, po wszystkich wioskach i osadach zaprowadzono warty dzienne i nocne, które każdego przechodzącego lub przejeżdżającego zatrzymywały i badały, nie wolno było oddalić się nawet o granicę bez paszportu. W takim stanie rzeczy partje długo utrzymać się nie mogły, i w krótkim czasie wszystkich wyłapano i śmiercią karano.

Pod ten czas oddział Zawiszy tułał się po

ł lasach obwodu Lipnowskiego, a ścigany i party zewsząd obławami, przeprawił się przez Wisłę niedaleko Dobrzynia do lasów Duminowskich, i pociągnął mimo miasta Kowala ku Dąbrowicom, z zamiarem zapewne udania się ku Łagiewnikom, majątności Zawiszy, obsitującej w duże i gęste lasy. Żandarmami dowiedzieli się, że jeden z emisariuszów zakupywał żywność dla oddziału w Dąbrowicach. Będący tam porucznik żandarmów Dąbrowski, zwoławszy obławę, z żandarmami i kozakami otoczył ich w lasku między Dąbrowicami i Krośniewicami położonym, i cały oddział z dziewięciu podobno osób złożony, pochwycił*). Zawisza chciał się bronić i wystrzałem ranił w piersi żandarma, który chciał go ująć, lecz obskoczony dokoła, żywcem dostał się do niewoli, reszta rozpierzchła się i po krzakach ukryć się starała, i tam pojedynczo pochwytni byli. Tak smutny był koniec ich istnienia.

*) Przy ujęciu Zawiszy odznaczył się także Radwan, naczelnik powiatu.

Nie wiedząc o niczem, spokojnie sobie gospodarowałem, gdy jednego dnia w końcu czerwca, a podobno nawet na początku lipca, bo pamiętam, że żniwa były już skończone, około ósmej godziny zrana wchodzi do mnie dawny mój przyjaciel i towarzysz podróży zagranicą odbytej kiedyś, Kalikst Borzewski. Po przywitaniu się wzajemnem wyjawia mi, że jest emisariuszem, i że odłączywszy się od Zawiszy w Kurowie, gdy żadnych pomyslnych skutków spodziewać się nie można było, myśli uciekać za granicę. Nie mogłem wahać się ani jednej chwili, i nie wahałem się udzielić mu pomoc i ułatwić ucieczkę. Tutaj wyznać mogę, że spełnienia obowiązku tego nigdy nie żałowałem, ani w cytadeli, ani na Syberji, ani po powrocie moim do kraju, i że dzisiaj tak samo postąpiłbym, chociażbym miał za to drugi raz przejść te same koleje. Udając więc, jakobym miał zamiar jechania na folwark, kazałem lokajowi Wojciechowi zaprządz do bryczki, zabrałem Borzewskiego z sobą, i bocznemi drogami zawiozłem go do wsi B., gdzie mieszkał wówczas mój przyjaciel L. B., zkąd go

tenże odwiózł do P. R., który mieszkając na samej granicy, przepawił go w Poznańskie, i zdaje mi się, że to jedyny emisariusz, który szczęśliwie uszedł z kraju.

Sam wróciłem do domu, i tak jakoś wszystko się udało, że nikt o niczem nie wiedział i nie domyślał się nawet. Tak spokojnie przeżyłem do października w mniemaniu, że się wszystko skończyło, i że z tego już żadnych następstw nie będzie. Tymczasem śledztwa szły swoją drogą, ze śledztwem postępowano śladem emisariuszów, a badana szlachta wszystko plotła, i jeden drugiego na wyścigi kompromitował. Aresztowano masami.

Komendantem okręgu Kujawskiego żandarmów, był porucznik Jurgaszko, dawny podoficer wojska polskiego, krewny owego ośło-głupiej pamięci majora placu, Jurgaszki, osioł wielki, ale przytem szpieg i łajdak wierutny, jak Moskał zmyślny do szelmostw wszelkiego rodzaju. Osiadł on był w Włocławku i ożenił się w Łęczycy z wdową po byłym kapitanie artylerji, Gładyszewskim, który ożeniwszy się z nią, boną czy ku-

charką, zostawił jej dość znaczny majątek. Jurgaszko w sprawie Zawiszy za śladem przybył do Kurowa do pani Pintowskiej, a ta zaraz mu wyznała, że Borzewski był u niej jako guwerner, starający się o miejsce, i że go do S. odesłała.

Jednego tedy dnia spostrzegam Jurgaszkę, zajeżdżającego przed dwór z czterema żandarmami i sekretarzem. Pierwej jeszcze żandarmi dwór i ogród otoczyli, o czym wtedy nie wiedziałem. Jurgaszko wszedł do dworu z podoficerem i z jakimś piszczykiem, i natychmiast rozpoczął śledztwo, badając mię, bawiącą przy mnie krewnę moją, i wszystkich ludzi we dworze i we wsi. Lecz bytność Borzewskiego tak szczęśliwie się udała, że żadnych poślak wybadać nie potrafił. Zabrał więc tylko moje papiery i bibliotekę, zakończył śledztwo, i już dalej chciał jechać, lecz proszony na obiad, zatrzymał się na noc, a ja zobaczywszy zajeżdżające przed dwór jego konie (cztery ruskie mierzyny) zacząłem je oglądać i targować. Jurgaszko cenił je 4000 złp., chociaż i dwóch nie były warte; targ ten przeciągnął się do obiadu.

Obiad potrwał do wieczora, i nie obył się bez kilku butelek wina, tak, że nam dobrze w głowach zaszumiało. Po obiedzie rozeszliśmy się do swoich pokojów, i Jurgaszko zanocował. Już byłem się położył, gdy przyszedł nadzwyczaj potulny jego pan sekretarz do mego pokoju, i przy fajce ze mną leżącym już w pościeli rozpoczął gawędkę, wysławiając uczucia szlachetne swego pana naczelnika, jak on nikomu jeszcze nie zaszkodził, owszem wszystkich ratować pragnie, jak pana M. w Niegobolicach wypuścił, chociaż bardzo skompromitowanego, i dozwolił mu, nie chcąc niby patrzeć, tylnemi wymknąć się drzwiami do ogrodu, a ztamtąd konno uciec do Prus, a zrobił to jedynie ze względu na bardzo smutne jego położenie, i że mu 10 stogów siana w podarunku ofiarował; że ja powinienem mu dać 4000 złp. za konie, bo chociaż może nie warte, ale ujmę go tem sobie i kupię przyjaciela, który mi w każdym razie wiele pomódz może, a śledztwo tak może pokrzyżować i pobałamucić, że sam djabeł nie będzie mógł dojść do ładu; „bo zastanów się

pan, my wiemy dokładnie, że Borzewski tu był u pana, chociaż więc dotąd u pana nic nie wykryliśmy, toć my tu z drugiego trafimy końca; Borzewski już jest za granicą; kilka osób już jest aresztowanych z pod granicy, a tym śladem dojdziemy i do pana“.

Lubo ja aż nadto dobrze miarkowałem, że ten pan sekretarz był nasłanym na mnie po to, żeby się czegoś odemnie dowiedział, lecz taki to był kiep, że sobie nic z niego nie robiłem, i zbywszy go niczem, odprawiłem, mówiąc: „dobra noc“.

Nazajutrz rano wszyscy odjechali, i zdawało się, że cały interes na zawsze skończony. Papiery wszystkie i bibliotekę Jurgaszko zabrał ze sobą, a gdzie to podział, dokąd odesłał, tego nigdy dowiedzieć się nie mogłem. Tym sposobem i rejestra gospodarskie i wszystkie książki, nawet szkolne jeszcze pamiątki przepadły. Grabili, bo taki był duch rządu, tacy też i urzędnicy byli jego, boć przecie i żandarm jest gatunkiem urzędnika, choć wprawdzie z najpodlejszego gatunku, ale zawsze jest agentem władzy

wykonawczej rządu, którą przedstawia, a jak mówi przysłowie: jaki pan taki kram. Oj, podły też to był kram, a zatem i pan.

Pozostawszy sam z mojami myślami, różne mi do głowy przychodziły, przytem ciągle płacze i zmartwienia cietki, dolegały mi niepospolicie; kobiety albowiem wszystkiego złego oczekiwały i największe przewidywały nieszczęścia (jak się okazało nie bez przyczyny), przytem dochodziły do mnie wieści o ciągłych aresztowaniach osób, za których pośrednictwem ułatwiłem ucieczkę Borzewskiemu, a znając miękkość i szcietliwość panów obywateli naszych, byłem w okolicznościach, wymagających dużo doświadczenia, którego wówczas nie miałem.

Wkrótce miałem jechać za granicę w celu ożenienia się z panną L. W., z którą prawie zaręczony byłem. Tymczasem wysnułem sobie w głowie plan postępowania, który dokonałem, a który najgubniejsze wywołał dla mnie skutki. Rozumowanie moje było następujące:

Wprawdzie ślad Borzewskiego u mnie zaginał, śledztwo nic nie wykryło, i niepo-

dobieństwo, żeby się bytność jego u mnie wykryć mogła, ale ci panowie, którzy następnie byli aresztowani, zaczną bając, i jak zwykle bywało, przyznawać się do wszystkiego, a w takim razie śledztwo z drugiego końca prawdopodobnie dojdzie do mnie, a wtedy rzeczywiście okażę się winnym.

Głównie bolałem nad aresztowaniem tych, co mi pomogli do ratowania Borzewskiego. Byłem młody, niedoświadczony, bogaty; świat widziałem w najpiękniejszych kolorach, sądziłem, że wszyscy najszlachetniejszymi są ożywieni uczuciami; postanowiłem więc wszystko przyjąć na siebie, uwolnić resztę wszystkich, zaprzeczając wszelkiego ich udziału w wywiezieniu Borzewskiego, a w końcu i siebie uwolnić, czy to pieniędzmi, czy też wstawieniem się znaczniejszych osób i wpływowych, z którymi byłem spokrewniony, lub które znałem z kilkoletniego pobytu w Warszawie.

Nie mówiąc więc nikomu, kazałem zaprzędz do powozu, i pojechałem do pana Jurgaszki, który mieszkał wówczas w Brześciu Kujawskim, jako w stolicy obwodu,

gdzie zajechałem do oberży Figurzyńskiego, zkąd poszedłszy do Jurgaszki, kupilem najprzód owe cztery konie, płacąc za nie żądane 4000 zlp., żeby sobie jego względy pozyskać, potem w rozmowie przyznałem się, że Borzewski rzeczywiście był u mnie, że go spotkał w ogrodzie w takim oddaleniu od domu i od ludzi, że go zatrzymać nie mógł, że żądającemu dałem kilkanaście dukatów, które miałem przy sobie i a conto dawniejszego długu, i że tenże Borzewski po kilku minutach rozmowy poszedł w stronę ku Prusom, i że odtąd ani go widziałem ani o nim słyszałem; że przyjechałem umyślnie, żeby go o tem (Jurgaszkę) zawiadomić, i ażeby przekonać rząd, że nie miałem i nie mam żadnych złych zamiarów, a Borzewskiego nie ująłem, jak to każdy wierny poddany uczynić był winien, dlatego, że Borzewski był uzbrojony pistoletami, i że dla odległości miejsca nie mogłem pozwać ludzi do pomocy. Pan Jurgaszko najgrzeczniej to przyjął oświadczając, że w tem żadnego nie widzi przestępstwa, spisał jednakże protokół z mojego zeznania i pu-

ścił mnie wolno. Był to czas przedobiedni i zaprosiłem go na obiad do oberży, na który przyszedł z ówczesnym nadzorcą więzienia w Brześciu, Kalikstem Pawłowskim, byłym kapitanem byłych wojsk polskich. Obiad przeszedł wesoło, w czasie którego przyprowadzono i nowokupione od Jurgaszki konie; przeciągnął się też obiad prawie do wieczora, poczem rozeszliśmy się jak najuprzejmiej, i zanocowałem w oberży.

Nazajutrz wychodząc na dziedziniec, mocno zdziwiony zostałem, ujrawszy dwa szyldwachy przed moimi drzwiami na korytarzu, i całą oberżę wartami obstawioną, które nie pozwalały mi wyjścia na ulicę. Posłałem natychmiast lokaja do Jurgaszki z zapytaniem, coby to znaczyć miało? Wkrótce p. Jurgaszko osobiście przybył z p. Pawłowskim i najuniżej zaczął się tłumaczyć, że to dla oka musiał zrobić, bojąc się szpiegów, którzy czujne oko nad nim mają, i że koniecznie trzeba, ażebym zaraz z nim do Warszawy pojechał, gdzie on potrafi rzecz tę dobrze nakierować, i że za parę dni wolny powrócę do domu, a on zarobi na kosztach

podróży, które będzie sobie likwidował. — Pan Pawłowski zarazem prosił się, ażeby mógł się zabrać razem z nami do Warszawy, gdzie pilny miał jakiś interes, a bardzo będzie rad, jeżeli podróż tę uda mu się odbyć darmo.

Słusznie bardzo, jeżeli kto zdziwi się, iż takie ostrożności i warty nie zwróciły mojej uwagi i nie podały w podejrzenie postępowania pana Jurgaszki — prawda, lecz zbyt byłem młodym, a na ludzi zawsze z dobrej zapatrywałem się strony.

Zupełnie więc spokojny, kazałem do powozu zaprzędz nowo kupione konie, i wsiałem do niego z p. Jurgaszką i p. Pawłowskim, a na koźle siadł podoficer żandarmów, Dąbrowski, o którego zabranie prosił Jurgaszko, jako mu niezbędnemu, i puściliśmy się traktem głównym do Warszawy.

Przyjechawszy na granicę mego majątku, zastałem ciotkę, czekającą na mnie wraz z Winklerem, dzierżawcą moim propinacyjnym, których lokaj mój, wypadłszy rano z Brześcia przed moim wyjazdem, zdążył

zawiadomić. Jeszcze dosyć wesoło pożegnaliśmy się z ciotką, i kiedy ta dawała mi kilkadziesiąt dukatów na drogę, pocieszał nas Jurgaszko, mówiąc, że to wcale niepotrzebne pieniądze, bo ja wcale nic nie winien i za kilka dni z pewnością wrócę.

Dojechawszy do Dąbrowic, Jurgaszko kazał stanąć przed pocztą i zażądał pocztowych koni do mojego powozu, mówiąc, że woli pocztę wziąć, żeby prędzej odbyć te wszystkie niemiłe mu formalności. Ja taki niedoświadczony byłem, że chcąc go sobie jeszcze więcej ująć, moimi pieniędzmi pocztę aż do Warszawy opłaciłem i tak sam siebie do więzienia zawiozłem; byłem spokojny i wesoły, śmiejąc się jeszcze z dowcipków kordegardowych p. Pawłowskiego, którymi mię raczył.

Zajechaliśmy na noc do Błonia, gdzie mi się dopiero oczy otwierać zaczęły, bo pan Jurgaszko oprócz podoficera żandarmów, Dąbrowskiego, którego na noc w moim pokoju zostawił, zażądał jeszcze dwóch sztydłwachów z komendy inwalidów w Błoniu, którymi drzwi moje na kurytarzu obstawił.

a którzy mi wyjść nawet nie pozwolili, gdym chciał się widzieć z przejeżdżającym generałem Wacławem Sierakowskim. Jeszcze ten wieczór dosyć wesoło przy ponczu i kolacji spędziliśmy, a wszystko na moje koszta.

Nazajutrz p. Jurgaszko przybrawszy mnie urzędową i ubrawszy się w paradny mundur, powiózł mię pocztą wprost do Warszawy, nie zatrzymując się nawet na rogatkach, i zawiózł do komendanta żandarmerji, generała hr. Nesselrode, którego znałem dobrze, lecz do niego sam tylko p. Jurgaszko wszedł, a ja czekać musiałem w przedpokoju. Niedługo wrócił Jurgaszko z innym jakimś oficerem, i poprosili mię z sobą. Chciałem osobiście widzieć się z generałem, lecz odpowiedzieli mi, że nie ma czasu. Wsiędliliśmy więc znowu do powozu, a gdy chciałem, żebyśmy stanęli w Niemieckim hotelu, odpowiedziano mi, że nie można i kazano jechać ku Powązkowskim rogatkom. Gdy zajechaliśmy przed Ludwisarnię i na dziedziniec tamże wjechali, wystąpiła warta tam znajdująca się, kazano mi wysiąść, i

oficer, który był z nami przyjechał, zaprowadził mię na Isze piętro i oddał do numeru, w którym zostałem uwięzionym. Jurgaszko zaś ukłoniwszy się, szepnął mi do ucha :

— Niech się pan nie lęka, to tylko formalność, która najwięcej jeżeli parę dni się przeciągnie.

Tych parę dni przeciągnęło się jedenaście miesięcy, po których jako skazanego wywieziono mię na Syberję.

Tak mądrze wymyślony plan przezemnie pokazał się wierutnem głupstwem z łaski p. Jurgaszki, który aresztowaniem mię poprawić chciał swoją opinię u rządu, nadwreżoną dopuszczeniem ucieczki M. W swoim o mnie raporcie Jurgaszko dodał, że mię zna osobiście, i że chociaż nie ma żadnego pewnego i ważnego przeciwko mnie zarzutu, jestem jednak człowiekiem, według jego zdania, nadzwyczaj niebezpiecznym i przesiąkniętym duchem buntowniczym. Niestety, w owych czasach opinia takiego kpa-oficera żandarmów stanowiła o losie każdego mieszkańca kraju.

O tej jego opinii dowiedziałem się dopiero po powrocie z Syberji, gdy za grube pieniądze i przy pomocy przyjaciół dostałem do rąk oryginalny wyrok.

ROZDZIAŁ III.

(Brześć. — Okropna scena w Słonimie. — Stryj Jurgaszki. — Moskwa. — Moskowskij Tiuremnyj Zamok. — Baszta Pugaczewa. — Kibitka. — Niżnyj Nowgorod. — Droga z okrągłaków. — Deszczenniki. — Rozmowa z markizem de la Traversiere. — Tobolsk. — Rozmowa z gubernatorem Kopyłowem. — Weljaminow. — Rodacy w Tobolsku. — Wygwańcy moskiewscy.)

Było to d. 25. lipca 1834 r. Noc była ciepła i widna, chociaż lekki mżył deszczyk, szybko jedna za drugą dążyły bryczki pocztowe, a widać poczta była naprzód zawiadomioną, gdyż na każdej stacji gotowe już czekały konie. My pierwsi tej wywózki stanowiliśmy początek, przed każdą stacją ledwo się chwilę zatrzymywano i wolno tylko było przesiąść się z bryczki na bryczkę, a nigdzie wewnątrz stacji wejść nie pozwalano. Na każdej stacji konwojujący żandarmi tworzyli wartę, która nie dozwalała dopóty

zsiąść z bryczki, dopóki przeprzegu i załatwienia formalności nie uskutecznilo; również nie dopuszczała nikomu zbliżyć się do nas, chociaż na każdej prawie stacji zastawaliśmy po kilka lub kilkanaście osób czekających na nasz przejazd, aby choć chwilę nas zobaczyć. Stało to wszystko po bokach, lub za drzwiami wchodowemi, i milczący patrzali na nas z przerażeniem i ze łzami współczucia. Tak noc przeszła, w dzień przejechaliśmy przez Siedlce i nad wieczorem stanęliśmy w Terespolu, gdzie szybko wyekspedjowawszy nas przez komorę graniczną, powieziono przez most na Bugu do fortecy Brześcia Litewskiego. Oficer zameldował się u komendanta, a zaraz potem przejechawszy przez fortecę, stanęliśmy na noc w karczmie na przedmieściu. Zaraz za nami przybyła warta, którą komendant przysłał z fortecy, może około 12 ludzi; ci karczmę szyldwachami obstawili i całą noc strzegli, żebyśmy nie uciekli i żebyśmy się z nikim nie zobaczyli. Straż miała broń ostro nabitą, a ledwie dzień się zrobił, zaszyły pocztowe bryczki i w dalszą puściliśmy

się podróż, jadąc odtąd dniem i nocą bez wypoczynku i bez noclegów, i zatrzymując się jedynie po pół godziny na objad i na kolację, podług uznania konwojującego nas p. Świeta. Na drugi czy na trzeci dzień podróży naszej, około południa przyjechaliśmy do Słonima.

Zdziwiło nas mocno i oficera naszego, niezwykle obstawienie poczty wartą. Pan Świet wyskoczył z bryczki, a porozumiewszy się z będącymi tam żandarmami, kazał nam udać się do stacji, znajdującej się po drugiej stronie stacji pocztowej, i przez czas przepręgu ścisłą z naszych żandarmów obstawił nas strażą. Przez ten czas niezwykły jakiś ruch i bieganina na poczcie nie ustawały, a jęki boleści dochodzące do uszu naszych, przerażały nas tem bardziej, że nie mogliśmy odgadnąć przyczyny. W tem drzwi do drugiego pokoju wiodące, same się uchyliły, czego żandarmi nie spostrzegli, a nam przedstawił się obraz okropny. Były tam dwie damy, Polki, które wywożono na Syberję. Jedna z nich była przy nadziei i utręśnienie się jej, widać przyspieszyło chwilę

rozwiązania. Leżała na łożu jęcząc w ostatnich bolach, przed łóżkiem stała jakaś baba, kłócąc się z oficerem, który te damy konwojował, i żądała, żeby natychmiast kazał zdjąć z nóg chorej kajdany dla możliwości i ułatwienia rozwiązania. Oficer lżył babę i nie pozwalał dotknąć się do kajdan, krzyżując: „Pust' izdochniet a kandałow sniat' nie lzia.“ W tej wrzawie i zamieszaniu rozległ się krzyk okropny, i cisza nastąpiła grobowa, przzerwana kwileniem dziecka. W tej chwili zaszły nasze bryczki zaprzężone, wyprowadzono nas, nagłąc jak najprędzej siadać, i nigdy dowiedzieć się nie mogłem, kto te damy i jak się skończyła ta tragedia moskiewska.

Do wsiadających nas na bryczkę, jakiś w wieku i baryłkowaty jegomość, dowiedziawszy się, że nas z Polski wywożono, zbliżył się i zapytał: czy nie wiemy co się dzieje z Jurgaszką, który służy w żandarmach w Polsce? — Odpowiedziałem, że go znam bardzo dobrze, i że zasługuje, jeżeli nie zdecydnie, aby wyszedł wysoko, aż na szubienicę. Był to mieszczanin Słonima, godny

stryjaszek p. Jurgaszki, i trafił losem na dobre źródło wiadomości o kochanym swoim synowcu.

Bryczki z nami pomknęły dalej, jechałiśmy przez kraj polską krwią użyźniony, zasiany kośćmi braci naszych, którzy zaufawszy Napoleonowi, sądzili, że za jego pomocą dobiją się swobód i wolności dawnej. Przejeżdżaliśmy przez Smoleńsk, Orszę, Borysow, Mińsk, i na trzeci dzień zanocowaliśmy w Wiazmie. Miasto dosyć duże, porządne, które na całą Moskwę tak jak nasz Toruń piernikami słynie. Z Wiazmy wyjechawszy, przejeżdżaliśmy przez pola Borodina i stanęliśmy na noc w Wolnej-Janice, ostatniej stacji przed m. Moskwą.

Nazajutrz około południa w najpiękniejszą pogodę wjechaliśmy do starej stolicy, zawieziono nas wprost przed pałac generała gubernatora, którym był wówczas ks. Golicyn. Staliśmy na ulicy, gdyż nam zsiąść nie pozwolono; mnóstwo ludu zbiegło się natychmiast, aby się przypatrzeć nowemu widowisku, bośmy byli pierwszymi z ówczesnej wywózki. W całym tym tłumie nie

można było dostrzedz uczucia nie rzyżanego lub naigrawania się, owszem spojrzenia były pełne litości i współczucia, kilku nawet przechodząc jakby niechcący koło bryczki, wrzucili do niej srebrne pieniążki. Odtąd już Świeta więcej nie widzieliśmy, bo po półgodzinnem czekaniu wyszedł jakiś policyjny urzędnik, przysiadł na naszej bryczce i zawołał na zwoszczyka: „W tiuremnyj zamok.“ Eskortowani przez dwóch kozaków miejscowych, wyjechaliśmy za miasto, gdzie ujrzeliśmy ogromne zabudowanie w kształcie jakby fortecy lub jakiego zamku feudalnego obrzuconego warownemi wieżami i bramami. Na głównej bramie, przez którą wjechaliśmy, błyszczał napis złotemi literami: „Gubernskij Moskowskij Tiuremnyj Zamok.“ W bramie przyjął nas smotrytiel t. j. nadzorca więzienia, i każdego osobno odprowadził do innej ciemnej celi i zatrzasnął ryglami — a tak piątego dnia ujrzałem się o 1200 wiorst od Warszawy w więzieniu w Moskwie, gdzie zbity i zmęczony tak daleką jazdą, na znajdującym się tapczanie twardym snem zasnąłem.

Trzy dni przebyte w tem więzieniu prze-
spiałem prawie, wychodząc czasem na mały
dziedzińczyk dla przejścia się. Był on przy
mojem więzieniu okolony murem, a drzwi
do niego zawsze były otwarte, w końcu
tego dziedzińczyka były jeszcze drugie drzwi
warowne, ryglami zamknięte i prowadzące
do innych dziedzińców oraz zabudowań wię-
ziennych. Wysokość muru była taka, że
oprócz niebą, nic widać nie było, z prawej
tylko jego strony wyglądało najwyższe piętro
ogromnej baszty. Przychodzący do mnie
każdego dnia w południe smotrytiel, mó-
wiący dosyć dobrze po polsku z akcentem
małorusińskim, objaśnił mię, na moje za-
pytanie, że to widać było szczyt baszty,
w której Pugaczew był więziony, i że prze-
chodzą się kajdany, w których był zakuty,
a które mają 6 pudów tj. 240 ft. ważyć.
Sądząc po moich kajdanach, które mogły
ważyć od 8 do 10 ft., można sobie wy-
obrazić, co musiał wycierpieć Pugaczew,
który oprócz tych kajdan, przykuty był
jeszcze łańcuchem do muru; sześć miesięcy

w tej baszcie przesiedział i potem był na placu ćwiertowanym.

Gdyby „Tiuremnyj Moskowskij Zamok“ i ś. p. Bastylia wraz z Ponte dei Sospiri mogły opowiedzieć to, czego były świadkami, ile łez i krwi ludzkiej widziały, nie wątpię, że „Tiuremnyj Zamok“ przegadałby je dziesięć razy.

Dobre to było człowieczysko ten p. smotrytiel, dawny wojskowy, ale głupi jak but, albo głupszy nawet od buta. Przeważałem go srogie zakony, bo litując się nade mną, ciągle pocieszał mię niby, mówiąc: „Cztoż diełat' batuszka, u nas takije strogije zakony.“ Na czwarty dzień z rana zjawił się smotrytiel, donosząc, że bryczki i żandarmi czekają i że w dalszą mamy się udać drogę.

Czy widzieliście kiedy moskiewską kibitkę, tak zwaną telegę? Może być, że wtedy, gdy ktoś będzie to czytał, zaginie już rodzaj tego wozidla, co prawdę mówiąc, nie będzie wielką stratą ani dla kunsztu powoźniczego, ani dla podróżnych, i dlatego postaram się odwzorować je słowami, aby

tradycja o nich nie zaginęła marnie. Telega vel kibitka, jest wóz na czterech równych toczący się kołach, tylne koła idą tuż za przednimi, tak cała długość wozu ma najwięcej $2\frac{1}{2}$ łokcie. Koła połączone są osiami i rozworą, a na tem spoczywa dość płytko ale za to szeroko rozwalone z łubu koryto, mocnemi spojone więzadłami z drzewa, i jest na tychże osiach przytwierdzone w ten sposób, że koniec tylnej osi tykający, spoczywa zupełnie na samej rozworze, przednia zaś część przytwierdzoną jest do grubego na 3 cale bala, przez co cały wasąg leży pochyło i tył jego jest o łokieć niżej od przodu. Wyobraźcie więc sobie przyjemność jazdy, gdy podróżny z tyłu siedzący w drodze o kolana swoje brodą tłucze. Bliskość zaś kół przednich z tylnymi tak trzęsącą robi jazdę, że tylko Moskałem trzeba być, żeby ją miłować.

Dwie telegi tego rodzaju zastaliśmy przed więzieniem w wewnętrznym jego dziedzińcu, zaprzężone każda trójką koni, środkowy koń w ogłobcach, a nad nimi wznosiła się duga, pod którą wiecznie brzęczący kołysał się dzwo-

nek. Wrzucono na telegi małeńkie nasze tłumoczki, i po dwóch musieliśmy wsiąść na każdą telegę, a żandarmi zasiedli na kozle obok zwoszczyków. Wspomnieć tu winienem, że, jak się później o tem dowiedziałem, w tem więzieniu w Moskwie kilka miesięcy później poseł Niemojewski zachorował więziony na Syberję i umarł.

Zasiadłszy na pierwszej teledze z Luboradzkiem, puściliśmy się traktem ku Włodzimierzowi, za nami jechali Nowak i Weber. Po trzech dniach podróży dniem i nocą, stanęliśmy w Włodzimierzu, gdzie nas zawieziono przed jenerała gubernatora, a był nim wówczas Gurjew, bardzo grzeczny i wykształcony człowiek. W kilka godzin wyekspedjowano nas dalej, ale z innymi żandarmami. Odtąd żandarmi co gubernja zmieniali się, a żał nam było moskiewskich żandarmów, bo byli dobrzy i porządni ludzie, kiedy przeciwnie z włodzimierskich żandarmów, ten co jechał na mojej teledze, był pijak, a na teledze Nowaka gbur i zdzierca.

Mój żandarm nie zaniedbał się upić na

każdej stacji, poczem zasypiał na koźle i spiąc przewalał się wznak na nas, i w tej pozycji zwykle do następnej dojeżdżał stacji. Niezmiernie nam przykrem było dźwigać na kolanach naszych tak nieprzyjemnie pachnący ciężar. Towarzysz mój, Luboradzki, młody i figlarny chłopiec, zdobył się na dość nieprzyzwoity koncept, żeby się uwolnić od tego ciężaru, albowiem żandarm prawie zawsze na nim zasypiał. Ja w ten sposób zwykle sobie radziłem: skoro tylko zwałił się żandarm na mnie, zaraz go obcasem tak poczęstowałem, że mruknąwszy znany moskiewski komplement odwałł się na Luboradzkiego.

Z takim konwojem przybyliśmy do Niżnego Nowogrodu, gdzie trafiliśmy na sławny jarmark Makarjewski. Na tym jarmarku sławnym na całej północy odbywa się cały zamienny handel Europy z Azją. Tu zatrzymaliśmy się z godzinę w jakiejś nędznej oberży, żandarmi się zmienili, i w dalszą ku Kazaniowi puściliśmy się drogę. Jeszcze wówczas nie było bitej szosy do Kazania, która dziś istnieje, spróbowaliśmy więc owej

sławnej w Moskwie drogi z okrągłaków, prowadzącej czasem kilkadziesiąt wiorst przez bagna i trzęsawiska. Droga usłana jest okrągłakami w poprzek obok siebie ułożonymi, i można sobie wyobrazić mękę, jaką sprawia jazda po tych okrągłakach w kubitce, dodawszy do tego jeszcze wyboje wybite przez koła. Jeden jest tylko sposób na to, żeby jelita z ciała od tej jazdy nie wyleciały, to jest jechać całym pędem, wówczas chociaż trzęsie, ale kubitka nie ma czasu tak dobitnie oddać każde wstrząśnienie. Zwykle też tak tę drogę przebywają, a konie są tam dobre i przywykłe do takiej jazdy. Kraj tu jest piękny, chociaż płaski. Przemknęły się nam znaczniejsze miasta Murom i inne, i przebywaliśmy wiele rzek na promach, w tej liczbie także Okę. Siola zaludnione małym lecz malowniczym ludem Czuwaszów i Czeremisów, stroje kobiet chociaż dziwne, lecz bardzo malownicze. Lud zdaje się dobry, wszędzie przyjmowano nas z oznakami współczucia, nawet serdeczności; częstowano rybą, pierogami i nabiałem, nie przyjmując żadnego za to wynagrodzenia, czasem tylko

zdarzyło się, że jakiś pijak lub ultramoskal (co prawie na jedno wychodzi), na widok nas pomruknął sobie: „Polak, prospał Warszawu.“ Temi słowami niekiedy lud raczył nas w przejeździe, jakby urągając, żeśmy nie bronili Warszawy jak należało.

Końmi tamtejszymi trzeba jechać, żeby je ocenić. Małe, z długimi grzywami i niepozorne; ale na każdej stacji musieliśmy wjeżdżać wewnątrz dziedzińca, gdzie zaraz i bramę zamykano, a gdy nowozaprzężona stanęła kibitka, przy każdym koniu stał człowiek, który go przy pysku trzymał. Skorośmy na kibitkę wsiedli, zwoszczyk z zatkniętym za pas batem siadał na przodzie, brał cugle, wkładał rękawice, zegnał się i obracając się do nas, mówił: „dzierzys baryń“. Wtedy za danym znakiem ludzie od koni odskakiwali, otwierano jednocześnie wrota i pędem strzały wypadały konie, tak, że zdawało się, iż na zawrocie kibitka tylko na dwóch bocznych ku środkowi zawrotu leciała kołach. Zwoszczyk wtedy pokrzykiwał i pogwizdywał, i takim szalonym biegiem literalnie mknęliśmy tylko

wiorst kilka, poczem zwoszczyk zaczął krzykliwą piosenkę, którą zwykle była:

Ach wy woronuszki, golubuszki,
Podrywajcie nożki,
Z gorki na gorku,
Dast' baryń na wodku.

a konie, jakby na tę nutę bies w nich wstępował, rwały galopa. Następnie zwoszczyk zaciągał pieśń jaką na nutę smutną i przeciągłą, dziką jak dusza niewolnika-zwierza, której wtórował brzęk dzwonka pod dugą. Na kilka wiorst przed stacją znowu szal wstępował w zwoszczyka i w konie, tak, że od chyżości milkł dzwonek, bo nie mógł tak szybko sercem bić w boki. Nigdy trzech minut wiorsty nie jechaliśmy.

Po kilku dniach podróży stanęliśmy nad Wołgą, przez którą przeprawialiśmy się na promie, a od przewozu tylko parę wiorst drogi do Kazania. Tam pierwszy raz widziałem statki na Wołdze, zwane do s z c z e n n i k i; są one w kształcie Jadwig naszych, ale większe i obszerniejsze. Na wierzchu pokładu jest urządzone koło, w którym wprzę-

żone chodzą konie ; koło to obraca wewnętrzną maszynerję, cały statek w ruch wprawiającą, za pomocą bocznych kół skrzela-
stych, jakie są zwykle u statków parowych. Wtedy jeszcze żegluga parowej na Woldze nie było zupełnie.

Po przebyciu przewozu zawieziono nas do mieszkania gubernatora cywilnego, a owego czasu był nim markiz de la Traversiere. Kazano nam wysiąść ; ucieszyło mię to niezmiernie, bo sądziłem, że będę mógł rozmówić się po francuzku z Jego ekscelencją ; skoro więc ukazał się pan gubernator, wypaliłem mu francuzki komplement, ale jakież było moje zadziwienie, gdy potomek francuzkich margrabiów rzeczywisty, ale wi-
dać moskiewskiej fabryki, figura dosyć nie-
poczesna, przyznał się, że po francuzku nie rozumie. Popatrzwszy się na nas gapiowato, kazał nas odwieść do więzienia na nocleg.

Nazajutrz zmieniono nam żandarmów i w dalszą ku Permie puściliśmy się drogę. Kilkadziesiąt wiorst za Permą wjechaliśmy w Uralskie góry, a wciąż podnosząc się

coraz wyżej, stanęliśmy w Ekaterynburgu na najwyższym stoku gór Uralskich.

Tam przebyliśmy kilka godzin, a do konwoju zamiast żandarmów, otrzymawszy miejscowych kozaków, pojechaliśmy do Tiumenia, pierwszego miasta Syberji. Witaj, kraino mrozów i śniegów, ogrzana westchnieniami wygnańców!

W Tiumeniu zaledwie pół godziny zatrzymaliśmy się, a na drugi czy na trzeci dzień stanęliśmy nad Irtyszem, przez który przepawiliśmy się na promie, przytwierdzonym do szeregu łodzi tworzących promień ze środka rzeki, przez co prom ten bez pomocy ludzi od jednego do drugiego przechodzi brzegu, w skutek parcia prądu wody. Tu stanęliśmy na przedmieściu Tobolska, zwanem Podczuwasze, z kąd zawieziono nas do miasta przed mieszkanie tobolskiego gubernatora cywilnego, i wprowadzono nas do przedpokoju, gdzie w towarzystwie obdartego quasi-lokaja i naszych kozaków, czekaliśmy z pół godziny na jego ekscelencję. Nakoniec J. W. gubernator raczył się pojawić średniego wzrostu, czarny, chudy, ta-

tarskiej fizjonomji, bez żadnego piętna rozumu lub szlachetności. Z winnem uszanowaniem dla takiego dygnitarza, odezwałem się znowu po francuzku do niego, próbując szczęścia z językiem.

Przeraźliwie i chrapliwie krzyknął na mnie dygnitarz: „kac ty śmiejesz gaworit' do mienia po francuzki, ty kac poddannyj naszewo caria, dołżen znat' pa ruski, libo ja, chatiaby i znał po francu ki, nie dołżen towo ponimat' i nie otwicziałby na tom sobaczom jazykie“. (A po polsku to znaczy: „jak ty śmiesz mówić do mnie po francuzku, ty, jako poddany naszego cara, powinieneś umieć po moskiewsku, albowiem ja, chociażbym umiał po francusku, nie powinienem go rozumieć i nie odpowiedziałbym tym psim językiem.“ — Przekład dosłowny słów jeneralskich.)

Takie było przyjęcie na pierwszym wstępie do Tobolska, gdzie dowiedziałem się, że język francuzki jest psim językiem. Jaśnie wielmożnym tobolskim gubernatorem cywilnym był radca Stanu i kawaler Iwan Wasilewicz Kopytow. Bogu najwyższemu

dzięki, że te pierwsze słowa tego dygnitarza były zarazem ostatnimi dla mnie, bo wkrótce przeniesiono go do Krasnojarska, i już go więcej nie widziałem, ani filologicznych wywodów jego nie słyszałem.

Ztamtąd powieziono nas do generała gubernatora, który był wówczas Weljaminów, bardzo godny i poczciwy staruszek. Tam zastaliśmy już czekającego przed bramą policmajstra miasta Tobolska, czyli tak zwanego „gorodniczego“ p. Aleksiejewa. Wprowadzono nas wszystkich na górę do pokojów generała gubernatora, w kajdanach, tak, jak byliśmy okuci.

Nadzwyczaj uprzejmie i grzecznie przyjął nas staruszek, a przeczytawszy nasze nazwiska, zapytał się mnie: czy szambelan Woliccki, którego w Polsce znał, był moim krewnym, a gdy się dowiedział, że to właśnie był mój ojciec — łzy mu stanęły w oczach i czule mnie uściskał, a zauważywszy, że chromałem na nogę, i dowiedziawszy się, że to z przyczyny rany od kajdan, polecił natychmiast policmajstrowi, aby zawołał słusarza, rozkuć mię kazał.

W mgnieniu oka zjawił się ślusarz z narzędziami, a nie mogąc z powodu spuchniętej nogi rozbić gwoździ, którymi kajdany były zanitowane, przymuszony był pilnikami rozpiłować kajdany na bucie. Po oswobodzeniu się z tej ciężkiej i niewygodnej ozdoby, nie mogąc dla puchliny ściągnąć butów z nogi, musiałem dać rozerznąć cholewę, pod którą pokazało się dużo krwi i materji. Wszystko to działo się w salonie jenerała gubernatora; poczciwy starzec ze łzami patrzył na tę smutną scenę, pożegnał nas, polecając opiece policmajstra, a zwracając się do przybyłego pod ten czas doktora wojskowego (który był zarazem osobistym jego lekarzem), Polaka, Antoniego Sadowskiego, powiedział: „prenez donc soin de son pied, c'est votre compatriote“.

Pożegnawszy jen. gubernatora, wyszliśmy ztamtąd: ja bez kajdan, a Nowak bez żelaznego lampasa. Policmajster zaprosił nas, żebyśmy z nim razem na jego siedli drążki (ten rodzaj wozidła zwykle nazywają kiszką); Luboradzki i Weber w kajdanach, jako skazani do ciężkich robót, siedli na je-

dnę z kibitek wraz z policjantem, i powieziono ich do ostroga, tj. więzienia, albowiem jako katorżni nie mogli zostawać w Tobolsku. My zaś z Nowakiem i policmajstrem pojechaliśmy do jego własnego domu na Wielkiej Archangielskiej ulicy, i przez cały czas naszego w tym domu pobytu, policmajster jak najgościnniej nas podejmował. Doktor Sadowski przez dwa tygodnie co dzień przychodził do mnie, przez ten czas noga moja znacznie wyzdrowiała i mogłem chodzić o pomocy kija.

Stałem więc na miejscu przeznaczenia, na ziemi wygnania, o 5000 wiorst od kraju mego rodzinnego, od mojej zagrody. Po dwóch tygodniach kuracji poszedłem najprzód podziękować generał-gubernatorowi za wyświadczone łaski i okazane względy. Zastałem go na wyjezdnie, opuszczał bowiem Syberję, powołany do Petersburga na członka Rady wojennej; pożegnał mnie serdecznie, życząc mi, abym ten krzyżyk od Boga na mnie zesłany, z całą siłą duszy i poddaniem się woli bożej zniósł, a nadziei nie tracił. Dnia 24. (12) sierpnia wyjechał

Weljaminow, a w parę miesięcy po przybyciu do Petersburga przeniósł się do wieczności.

Na drugi dzień po wizycie u gubernatora, przedstawiłem się w Prykazie o Ssylvnych; jest to biuro urządzające wszystkie interesa tyżące się posieleńców. Prezydującym był Popow. Tam mnie zmierzli, zdjęli mój rysopis i dozwolili pobytu w Tobolsku, zapisując mnie do Wozniesenskoj wołosti, odległej o 12 wiorst. Dalsze wydalanie się mogło nastąpić tylko za osobnem pozwoleniem jenerała gubernatora, a nigdy do drugiej, choćby nawet sąsiedniej gubernji. Zaraz nazajutrz starałem się zapoznać z przebywającemi tamże Polakami, których wszystkich poznałem na obiedzie u hr. Piotra Moszyńskiego, na który umyślnie w tym celu zaproszony zostałem. Oto są o ile zapamiętać mogę nazwiska tych wszystkich, którzy się podówczas w Tobolsku znajdowali:

1. Piotr hr. Moszyński, za współudział w spisku 1826 roku, zawiązany przez Murawiewa i Pestla na Wołyniu. Przesie-

dziawszy lat 4 w Petropawłowskiej fortecy w Petersburgu, zesłanym tu został do Tobolska na posielenie, człowiek znamienitej głowy i najszlachetniejszych przymiotów serca i umysłu, prawdziwy ojciec i opiekun wszystkich wygnańców i uszanowany przez nich mianem św. Piotra. Zamożny, nieszczędzący dla rodaków swoich dóbr, darząc hojnie potrzebujących, a nawet zapewniając los wielu, sam żył oszczędnie i skromnie. Był on żonaty z hr. Moszyńską, krewną swoją i miał córkę, jedynaczkę, która przebywała wtedy w jego dobrach na Wołyniu, pod nadzorem nauczycielki.

W tym czasie Moszyński ulaskawiony wyjechał na żywicielstwo do Woroneża, a zamtąd potem uwolniony osiadł w Krakowie.

2. Adolf Januszkiewicz, obywatel z Litwy, za udział w powstaniu więziony do niewoli i zesłany na posielenie, przeżył ćwierć wieku na Syberji. Po wstąpieniu na tron Aleksandra II uwolniony, wrócił do kraju i tam umarł 1857 r. Pod koniec wy-

gnania był urzędnikiem. Był to człowiek pełen zdolności i nauki. Osiedlonym był rzeczywiście w powiatowym mieście Iszymie, a tylko czasowo przebywał w Tobolsku. Pośmiertne dzieło jego o „Stepie kirkizkim“ wyszło w Paryżu, wydane przez brata jego, a właściwie przez Gustawa Zielińskiego, towarzysza jego wygnania i przyjaciela.

3. Onufry Pietraszkiewicz, z Litwy z okolic Wilna, towarzysz i przyjaciel Zana, Mickiewicza i innych uczniów uniwersytetu wileńskiego, za udział w towarzystwie Philaretów, posłany najprzód do Moskwy, a zamtąd za usiłowanie ucieczki w czasie powstania 1831 r., zesłany na Syberję na posilenie.

4. Ignacy Strumiłło, obywatel wołyński, za udział w powstaniu skazany na Syberję na posilenie, miał swój własny dom, w którym mieszkał na przedmieściu Tobolska, zwanym Ziewalna dierewnia, liczył wtedy blisko 60 lat.

5. Antoni Pausza, obywatel z Wołynia, za udział w powstaniu, mieszkał o 4

wiorsty od Tobolska w wiosce Sierbranka.

6. Nikodem Lipski, z Wołynia.

7 i 8. Rafał i Stanisław Kiersnowscy, bracia, obywatele z Litwy, obadwaj byli oficerami w korpusie Litewskim, i za oświadczenie, że nie chcą służyć przeciw powstającym rodakom, zesłani na Syberję.

9. Schröder, b. major wojsk polskich, z Królestwa.

10. Stanisław Dołkiewicz, b. podoficer 2. pułku strzelców pieszych wojska polskiego, wzięty do niewoli, posłany najprzód do Wiatki, a tam poznany przez adjutanta carskiego Gesnera, jako należący do Belwederczyków, skazany został na żołnierza do 1. sybirskiego batalionu liniowego.

11. Aleksander Deręgowski, były żołnierz z gwardji grenadierów, posłany na żołnierza do sybirskiego bataljonu N. 1.

12. Krantz, brat zegarmistrza z Warszawy, był w inwalidach i wydał ten niby spiszek między Polakami na Syberji. W sku-

tek tej denuncjacji 11 osób zaćwiczono na śmierć różgami.

13. Małecki, obywatel, wzięty na Podolu do niewoli, obsypany dwudziestu kilku ranami, zesłany do Syberji, służył w inwalidach.

Było jeszcze kilku żołnierzy Polaków, którzy ani wychowaniem, ani uczuciami do nas stosować się nie mogli, a których wszystkich, nawet z żonami, hr. Moszyński wspierał.

Z Moskali znajdował się wówczas Mikołaj Aleksiejewicz Czyżow, b. lejtnant floty, który za udział w buncie przy wstąpieniu na tron Mikołaja, zesłany został na posiedzenie z pozbawieniem wszelkich praw do gubernji Irkuckiej, a następnie ulaskawiony na prostego żołnierza do Tobolska. Był to Moskal, ale wykształcenie i szlachetne uczucia zjednały mu szacunek i przyjaźń u nas wszystkich.

Znajdowało się także wówczas dwóch oficerów Polaków na służbie.

14. Józef Kobylecki, były oficer rakietników w Warszawie, wystąpiwszy zgwar-

dją z Warszawy pod Brześć Litewski, złożył deklarację, że przeciwko rodakom swoim walczyć nie chce, przeniesiony został do huzarów pod Moskwą, a następnie mianowany porucznikiem artylerji w Tobolsku, pełnił obowiązki adjutanta przy naczelniku okręgu artyleryjskiego, jenerale von Brühl. Miał on przez służbę swoją sposobność zwiedzić całą Syberję, objeżdżając garnizony korpusu sybirskiego. Z notat w tych podróżach zebranych wydał opis Syberji w dwóch tomach, ozdobiony ciekawemi rycinami, był bowiem bardzo zdolnym rysownikiem. Miał także ten talent, że wzięwszy kawałek papieru w ręce i przelożywszy go po za grzbiet, palcami wyskubywał siedząc w towarzystwie sylwetki osób przytomnych z podziwiałcem podobieństwem, a tego nikt nie spostrzegł. W pół roku po przyjeździe moim, uzyskał urlop do kraju, pojechał do Omska, gdzie ożeniwszy się z córką jenerała de Saint-Laurent, pojechał do Polski i był radcą w rządzie gubernialnym warszawskim, i w tej służbie wzrok prawie utracił.

15. Kapitan Dunajewski, zesłany w tymże stopniu na służbę do Tobolska za jakieś polityczne podejrzenie, otrzymał kontuzję w głowę w czasie tureckiej wojny, niewymowne z tego powodu cierpiał boleści, a ztąd ciągle narzekał i był zgryźliwego charakteru; przeważaliśmy go „Mater dolorosa“. W rok po moim przyjeździe otrzymał uwolnienie i wrócił do kraju.

Czyż można było znaleźć pocziwszego i godniejszego człowieka pod względem uczuć serca i prawości, jak prosty żołnierz 1go bataljonu sybirskiego, Rydlewski. Był to typ prawdziwego polskiego wiarusa, bez żadnej ogłady i nauki, od dziecka wychowany w wojsku polskiem, służył pierwotnie w gwardji grenadjerów, dostawszy się do niewoli w bitwie pod Okuniewem, został zesłany do 1go sybirskiego korpusu do Tobolska, tam Dołkiewicz jego pierwszego spotkał przed koszarami, odtąd jak dwaj bracia zrodzili się z sobą, a lubo Dołkiewicz wyższy wykształceniem przez wychowanie i naukę, jednakże serca ich jednakową były szlachetnością. Rydlewski był

sługą Dołkiewicza, ale sługą-przyjacielem, nie za pieniądze, lecz z prawdziwej miłości braterskiej i jako godny szacunku.

Gdy Dołkiewicz przeszedł do inwalidnej komendy w Kurganie, Rydlewski nie opuścił go i po 13tu latach niewoli, razem otrzymali uwolnienie, razem wrócili do kraju i nie rozłączyli się nigdy. Bogdajby połowa braci naszych tak się kochała i tak godną była wzajemnego szacunku.

Każdy obraz należy cieniem uwydatnić, ażeby światła lepiej się wydawały. Znajdował się także w Tobolsku zesłany do ciężkich robót Kuzniczew, ojciec jenerałowej Grotten, starzec 60cio-letni, przeszedłszy różaniec najpodlejszych zbrodni: podpalania, fałszerstwa, przekupstwa i nakoniec morderstwa metresy swojej. Z powodu, jakoby miała stosunki z synem jego, oficerem gwardji, kazał po zamordowaniu przygotować jej serce w potrawie, którą go uczęstował. Dostał się pod sąd, i pomimo ogromnych pieniędzy na tę sprawę wydanych, i silnej protekcji, skazany został do ciężkich robót na Syberję. Tam, jako 60 lat mający, u-

wolniony na mieszkanie w Syberji, żył sobie dobrze, miał powóz, kucharza, bywał wszędzie i wszyscy u niego bywali.

Byli tam jeszcze: Aleksander Alabjew i Mikołaj Szatiłow, pierwszy podpułkownik huzarów, drugi kamerjunker dworu carskiego, obadwaj zesłani na zaludnienie do Tobolska, za jakąś moskiewską pustotę. Bogaci ludzie, wesołe w Moskwie pędzili życie, w którym gra w karty główne zajmowała miejsce.

Jednego wieczoru mieli u siebie jakiegoś z prowincji bogatego szlachcica, którego zgrać usiłowali, ale gdy nawet pojenie go *durmanom* (belladona, szalej) nic nie pomagało, jeden z nich porwawszy butelkę, tak dzielnie w łeb zwałił gościa, że ten nie powstał więcej. Co dalej się zrobiło, nie wiem, musiano zapewne użyć grubego smarowidła; skazani tylko byli na mieszkanie w Tobolsku. Alabjewa już nie zastałem, albowiem ułaskawiony (zapomocą smarowidła) wrócił już był do Moskwy, pozostała tylko po nim uformowana przez niego orkiestra w Tobolsku, którą był dyrygował, i ślady w pozo-

stawionych przez niego kompozycjach, które dowodziły znajomości muzyki i znakomitego talentu.

Szatiłow był to grubo-pieńkowaty sobie człowieczek, bardzo wykształcony w dworszczyźnie, wielkiej rozwiązłości, słowem typ kamerjunkra. Po roku dopiero mojego pobytu uwolniony pojechał do Moskwy, przeżywszy wesoło lat kilka na Syberji, będąc wszędzie bardzo przyjmowany.

ROZDZIAŁ IV.

Zostaję wolno-najomnym kapelmistrzem. — Moja muzyka. — Instalacja. — Próba muzyki. — Moja sława rośnie. — Robię znajomości z arystokracją tobolską. — Daję lekcje muzyki po 50 groszy polskich. — Jeneral Sulima.

Teraz cofnąć się muszę o dni kilka, ażeby wspomnieć o zdarzeniu, które wpłynęło na mój los przez cały czas mego wygnania.

Przed wyjazdem jeszcze jenerała Weljaminowa, poszedłem go pożegnać. Gdy w toku rozmowy o naukowem mojem usposobieniu wspomniałem o namiętnem mojem zamiłowaniu w muzyce, której całą teorię przeszedłem, staruszek chwycił się tej wzmianki, aby mi dopomódz i stale pozostawić w Tobolsku. Przez uwolnienie Alabjewa opróżnionem było miejsce kapelmistrza, a zaniedbana orkiestra już się ku

upadkowi chyliła. Weljaminow zaproponował mi, czybym nie mógł i nie chciał zająć miejsca kapelmistrza, pod tytułem wolno najomnego uczytela, przez co miałbym prawo pozostania w Tobolsku i zatrudnienia przynajmniej dla mnie. Podziękowałem pocziwemu jenerałowi i z największą ochotą i wdzięcznością przyjąłem.

Weljaminów kazał mi dać to miejsce, co natychmiast spełnionem zostało, i bezzwłocznie zapisano mnie do najbliższej wołosti, z prawem mieszkania w Tobolsku. Było to w owe czasy bardzo trudnem, bo wtedy polskich wygnańców postanowiono wysyłać do dalszych gubernij sybirskich, i to nie więcej jak po pięciu Polaków w jednym miejscu.

Wkrótce potem od policmajstra Aleksiejewa przeprowadziłem się do domu na Griazi, w którym po jednej stronie dwa pokoiki zajmował Pietraszkiewicz, a ja zająłem dwa pokoje po drugiej stronie. Było to wielką dla mnie dogodnością, bo nie mając żadnych sprzętów gospodarskich, używałem

sprzętów Pietraszkiewicza, który był w nie zaopatrzony, mieszkając tam od lat kilku.

Następnego dnia udałem się do koszar w celu przedstawienia się orkiestrze, i aby mieć ją sobie przedstawioną. Dopelnil tego dyżurny oficer sztabu, podpułkownik Kant. Orkiestra z muzykantów kozackich, Polaków i posieleńców składała się z

10ciu pierwszych skrzypków, których przewodnikiem Cwietkow, posieleniec, dawny skrzypek jakiegoś pana moskiewskiego, i Chojnacki, Polak, zesłany z czasów rewolucji 1831 r., przedtem był on w kozakach liniowych.

6ciu drugich skrzypków.

4ech altówek.

4ech wiolonczel, którzy prawie nic nie umieli.

3ech kontrabasów, pierwszym był Kuprjanow, dzielny muzyk z orkiestry jakiegoś pana moskiewskiego.

2ch fletrowersistów, pierwszym był Baczuryn, kozak.

1ej pikoliny.

2ch klarncistów, pierwszym był Kudalski,

wzięty do niewoli z wojska polskiego, dzielny muzyk, odznaczający się zadęciem i metodą; drugi Karaganow, urjadnik tj. podoficer kozacki.

2ch oboistów, pierwszym był Złobicki, Polak z Wołynia, z muzyki Steckiego czy Ilińskiego.

2ch fagocistów, nędznych i mało umiejących kozaków.

4ch waltornistów, pierwszy był Polak Dobrowolski, wzięty do niewoli jeszcze w wojnie francuzkiej, i pozostał tutaj.

2ch trąb, pierwszym był kozak, dobry muzyk.

3ch puzonów, nie tędzy muzycy, ale wygrywali jak mogli.

Na kotłach grał największy pijak, jakiego w życiu mojem znałem, ale grał dobrze i osobliwie tremola z niezwyłak wybijał delikatnością i cieniowaniem.

Nakoniec tułumbas i inne brzękadła. Wszystkich więc było 48 osób. Jak na Tobolsk, była to orkiestra dobrze obsadzona. Pod względem militarnym komenderował nią chorąży, tj. oficer kozacki Ledieniew.

Przedstawiłem się muzykantom grzecznym ukłonem, bo po moskiewsku wtedy ani słowa jeszcze nie umiałem, a zastawszy wszystko już przygotowane i wszystkich przy pulpitach z rozłożonemi nutami uwertury Freischütz, stanąłem na przodzie, wziąłem w rękę laseczkę do dyrygowania, które przedstawiał klucz żelazny bez zębów, dałem znak i poważna zabrzmiała nuta, rozpoczynająca uwerturę. Nie wiem, czy to moja umiejętność prowadzenia orkiestry, czy chęć popisania się przed nowym kapelmistrzem, ale to arcydzieło Webera, pomimo swej trudności, poszło dobrze z całym mojem zadowoleniem, tak, że im częściej po francuzku, częściej po polsku i migami starałem się wyrazić moje zadowolenie. Na podziękowanie jednym głosem orkiestra krzyknęła: *radi staratsia*; a przytomni oficerowie i podpułkownik Kant oświadczyli mi uprzejmie: co to znaczy jeden człowiek znający rzecz? nie wiedzieliśmy, że oni tak grać umieją.

Poprawiwszy niektóre rzeczy podług mego widzimisię, co do szyku orkiestry,

przeegraliśmy jeszcze kilka innych sztuk, ale już nie tak dobrze, i kilka razy w złych miejscach powtarzać kazałem. Ścisłość ta moja w wykonaniu i znajomość rzeczy dobre zrobiła wrażenie, albowiem poznali muzykanci, że ze mną żartów nie ma i trudno byłoby oszukać. W tych kilku godzinach mojej muzykalnej próby, i w ten pierwszy dzień mojej muzykalnej kariery, szczęśliwie ustaliłem sobie reputację i wzrosłem do znakomitości azjatyckiego Bethowena i w tejże opinii przez całe 7 lat mojej kapelmistrzowskiej kariery utrzymałem się ciągle. Po próbie wyszedłem z koszar przedzierżgnąwszy się nagle z posieleńca w wielkiego człowieka. *Sic itur ad astra*. Powróciłem do mojej skromnej izdebki na Griazi, w której pomimo całej mojej wielkości, pomieściłem się i nader skromny dla tak wielkiego tryumfu zjadłem obiad.

Tymczasem już o mnie wieść rozeszła się po Tobolsku, upiększona rozmaitemi romantycznymi odmianami. Byłem wtedy i przystojny, co razem z zasłyszanymi wiadomościami o mojem urodzeniu, wychowaniu i

dostatkach, zrobiło mnie przedmiotem ciekawości i współczucia. Zaraz więc Kobylecki, z którym się już byłem poprzyjaźnił, a który miał wstęp do wszystkich znacznie-szych domów, wprowadził mię do nich, a w tej liczbie zapoznał mię z domem jenerała Siemiona Bogdanowicza Broniewskiego, naczelnika sztabu oddzielnego korpusu sybirskiego; była to w znaczeniu druga figura po jenerale gubernatorze. Broniewski przyjął mię bardzo grzecznie, prosząc abym dom jego jako przyjacielski uważał. Poznałem również i żonę jego, Ksienię Iwanownę, chorowitą, ale bardzo poczciwą kobietę, oraz córkę ich siedmnastoletnią panienkę, Warwarę Siemionownę, dosyć piękną i wykształconą osobę, tudzież jej brata Włodzimierza, adjutanta któregoś z jenerałów, młodego człowieka, dziarskiego i wesołego. Zacząłem również bywać w domu jenerała artylerji von Brühla; miał on trzy córki, z których najstarsza pewno pięćdziesiątkę z ogonem liczyła, a najmłodsza zaledwie 12tą kończyła wiosnę. Nie wiem i nie pamiętam,

ale zdaje mi się, że każda córka z innego była małżeństwa.

Poznałem również dom radcy Stanu, prezesa sądu kryminalnego, Kukuronowa, gdzie również trzy były córki, wszystkie bardzo ładne, osobliwie średnia, Tatjana, hoża brunetka, która była przedmiotem westchnień całej prawie młodzieży tobolskiej, a która później poszła za mąż za majora żandar-mów, Kazimierskiego, Mało-rossjanina. Wpro-wadzony również zostałem do domu jene-rała komendanta de Gervais, Moskala, ale widać pochodzącego z francuzkich emigran-tów; miał on dwie córki, Annę i Natalię, młodziutki i jak róże prześliczne panieki, wychowane bardzo starannie, nadzwyczaj miłe i ugrzecznione, odznaczały się w wy-sokim stopniu talentem na fortepianie. Me-toda gry i egzekucja były wzorowe, oso-bliwie kiedy razem na cztery ręce grały, gra ich była tak równa i dokładna, przy tem cieniowanie tak delikatne i wyrobione, że nic podobnego nigdy nie słyszałem.

Wiele innych jeszcze poznałem domów, które w następstwie były mi bardzo poży-

teczne, albowiem miałem sobie zapewnioną codzienną prawie i wyborną kuchnię, bo tam prawie wszyscy trzymają kucharzy, których liczba stosunkowo jest bardzo wielka, powtóre wszędzie prawie byłem proszony o dawanie lekcji śpiewu i gry na fortepianie, które chociaż nie suto były płacone, (bo nigdy 50 groszy nie przносиły za godzinę) lecz i to dochód stanowiło bardzo pożyteczny obok tak wielkiej odległości od domu, trudności korespondencji, i również rozporządzeń ograniczających ilość funduszu, jaki wolno było odbierać z przesłanych od rodziny pieniędzy. Najglówniejszą jednak korzyścią tych znajomości była protekcja moralna, gdyż w Moskwie nietylko każdy generał jest ważną figurą, ale jest nią i ten, co z generałem mówić może. Te to znajomości osłoniły mię od niejednego nadużycia, i pomogły mi zarazem, że towarzyszom moim mogłem często stać się użytecznym.

Z odjazdem generała Weljaminowa rozpoczął się cały szereg zmian osób u władzy będących, i tak w kilkanaście dni po-

tem przyjechałznaczony na generała gubernatora zachodniej Syberji generał Sulima, który dotąd był generał-gubernatorem w Irkucku, a przedtem jeszcze był członkiem sądu nadzwyczajnego w Warszawie, przeciwno sprawcom i głównym przestępcom w czasie rewolucji 1831 r. Już wówczas dał się on poznać jako człowiek prawy, i w urzędowaniu tem zjednał sobie opinię najzaszczytniejszą.

Szcześliwa gwiazda moja zrobiła to, iż będąc na urzędowaniu w Warszawie, Sulima poznał się ze stryjem moim, prezesem sądu najwyższej instancji; dowiedziawszy się więc, że jestem w Tobolsku, wezwał mię do siebie, najgrzeczniej przyjął i przez cały ciąg trzech lat, przez które urzędował w Syberji, dawał mi dowody największej względności, a nawet przyjaźni. Z nim przyjechali jako adjutanci porucznicy: Lindfors i Jelimowicz, ludzie grzeczni i bardzo wykształceni.

Jednocześnie wyjechał Kopyłow na miejsce gubernatora cywilnego w Krasnojarsku, a na jego miejsce przybył szambelan Ko-

szkow, człowiek światły, wykształcony i dworak w całym znaczeniu.

Na jenerała gubernatora irkuckiego mianowany został jenerał Broniewski, a po nim miejsce naczelnika sztabu zajął jenerał Gołofiejew z Kijowa.

Naturalnie za gwiazdami pierwszego rzędu, w następstwie przemienił się cały i szereg gwiazdeczek drugo- i trzecio-rzędnych, a Tobolsk zabłysnął całą nową plejadą dygnitarzy. Poznałem wkrótce i Gołofieja i żonę jego Adelaidę z domu Zerboni di Rosetti z rodziny włoskiej, jeszcze za Katarzyny w Moskwie osiedlonej. Synkowi ich Pawłowi i córeczce Eugenii dawałem lekcje muzyki, i potrafiłem zjednać sobie względy jenerałowej, której, śmiało powiedzieć mogę, a nie komu innemu, zawdzięczyć mogę uwolnienie moje z Syberji. Przyjechał razem z nimi ich krewny Jakób Czerniawski, junker w korpusie inżynierii, młody, wesoły, pełen dowcipu, a z którym do końca jego bytności w Tobolsku w największej żyliśmy przyjaźni.

Ustalony jako kapelmistrz i wszedłszy w towarzystwa, pędziłem czas dosyć znośnie. Koncerta dosyć często bywały, a lubo nie przynosiły żadnego dochodu, zajmowały mię jednak mocno, gdyż chciałem dowieść, że usilnością i szczerą chęcią można wszystkiego dokazać; jakoż rzeczywiście doprowadziłem orkiestrę do tego stopnia wyrobienia, że nie powstydzilibym się jej w Warszawie nawet.

W lekcjach moich prywatnych udało mi się kilka bardzo utalentowanych wykształcić panienek, osobliwie panny Kaul i Piewcow, które od pierwszych początków doprowadziłem do wysokiej biegłości. Prace więc moje z rana z orkiestrą, po obiedzie z uczniami, a wieczory w miłym towarzystwie rodaków przepędzane, zagłuszały poniekąd tę ciężką tęsknotę życia wygnańca. Dziwnem jest zaiste takie życie na Syberji: pierwszy rok wygnania jest ciąglem oczekiwaniem w marzeniu i na jawie, z każdą chwilą czeka się uwolnienia, każdy brzęk dzwonka pocztowego zdaje się zwiastować ulaskawienie, żyje się poniekąd życiem na-

dziei niespokojnej, niecierplivej; z biegiem lat coraz więcej niknie ta nadzieja, obumiera, człowiek zaczyna godzić się z losem, zapomina złudzeń i upatruje sobie już naprzód, gdzie przyjdzie mu złożyć kości swoje w oddaleniu od rodzinnej ziemi, staje się nieczułym, martwym, i żyje życiem konieczności..



Rozdział V.

Ostrogi (więzienia). — Transport na Syberję. — Robactwo. — Kradzieże pieniędzy przez oficerów. — Rewizje. — Sposób na nie. — Zkąd tyle kucharzy w Tobolsku i innych rzemieślników. — Historia doktora. — Apteki. — Odbijania się więźniów w drodze. — Burjaci. — Korespondowanie z krajem.

Kara śmierci tylko na przestępcach politycznych wykonywaną bywa w Moskwie, wszelkie zaś zbrodnie i inne przestępstwa karane bywają wygnaniem na Syberję, na zaludnienie lub do ciężkich robót na czas oznaczony albo i na całe życie. Dla wykonania tego prawa w całym kraju i po wszystkich traktach prowadzących do Syberji, i w Syberji pobudowane są tak zwane Ostrogi w odległości 15, 20, a najwięcej do 25ciu wiorst jeden od drugiego. Są to

zabudowania zawsze prawie drewniane, otoczone częstokołem, zamykającym w sobie: koszary dla wewnętrznej straży od 15 do 30 osób, mieszkanie komendanta zarazem nadzorcy (smotrytiela), więzienie na 500 ludzi, złożone z dwóch sal, przedzielonych korytarzem, z tych jedna dla mężczyzn, a druga dla kobiet, łaźnię parową, dziedziniec i mniejsze zabudowania. W częstokole są dwie bramy od przodu, które zawsze są zamknięte. Główne zbiorowe tego rodzaju więzienie znajduje się pod Moskwą samą na Worobjewych górach, do niego to spływają ze wszystkich stron caratu przestępcy skazani do Syberji. Tam wszyscy zebrani porządkowani bywają i zaopatrzeni w odzież przepisami oznaczoną, a następnie wysyłani partjami po 300, 400, 500 lub więcej osób razem na Syberję.

Partje te wychodzą regularnie, męzka co wtorek, a kobieca co czwartek każdego tygodnia. Już w przeddzień spisana bywa lista imienna mającej wyjść nazajutrz partji, przejrzane są rzeczy i w tej liście zapisane: kapota sukienna w lecie (z kożuchem w zi-

mie), spodnie płócienne w lecie (a sukienne w zimie), buty w lecie (wojłokowe łapcie w zimie), nadto w zimie dają sukienne rękawice, na głowę przez połowę ogoloną, w lecie dają kaszkiet sukieny, na podobieństwo tych, jakie u nas Bernardyni i Reformaci noszą, a w zimie ogromną czapkę z barana z uszami. Z bielizny dają po 2 pary onuczek i po dwie koszule.

Rzeczy te hojny skarb daje swoim kosztem, jeżeli zaś który z więźniów posiada swoje własne rzeczy z wyżej wymienionych, to brakujące lub będące w złym stanie skarb mu kompletuje. Ubiór skazanych na zaludnienie tem się różni od ubioru skazanych do robót, że ci ostatni na plecach szaraczkowej kapoty mają przyszytą czarną łatę czworograniastą, która tradycyjnie nazywa się *Asem karowym* (bubnowyjtuz), i prowadzeni są ciągle w kajdanach. Na wyżywienie w podróży dostają stosownie do gubernii, przez którą idą, po 5, 10 a nawet 12 kopiejek dziennie, ilość tę oznacza rząd gubernialny stosownie do cen targowych.

Wszelkie te przygotowania, gdy są ukończone, we wtorek o 4tej godzinie rano w lecie, (a o 6tej godz. rano w zimie), pojedynczo wywołują więźniów, siedzących w więzieniu, według listy imiennej, i gdy pierwszemu nałożą okowę żelazną (z dziurą dla przetknięcia pręta) na prawą rękę, to drugiemu takąż okowę zakładają na lewą rękę, itd. Tym sposobem 20 lub 30 więźniów jest zadzierzgniętych okowami do pręta żelaznego lub łańcucha, który w jednym końcu jest zaopatrzony poprzecznem żelazem, a w drugim zamknięty na kłódkę. Taką część zczepionych razem więźniów nazywają wiązką. Gdy się wszystkie wiązki uszykują, więźnie wybierają starostów, z tych co wolno idą przy partji, dla zbierania po drodze jałmużny i datków na pożywienie dla nieszczasnych. (Jest to ogólne nazwanie tych, co idą lub byli na Syberji.)

Jałmużny zbierane przez starostów są czasem znacznej ilości, gdyż lud moskiewski jest bardzo litościwy.

Po uporządkowaniu wiązek zachodzą podwoje przed więzienie po rzeczy więźniów, idących w partji, lub dla zabrania starców, kalek i chorych. Następnie przy każdej wiązce staje żołnierz z nabitą bronią, a całą partję otacza 6 lub 10 kozaków konno, i występuje oficer prowadzący partję, który ma sobie oddane papiery tyczące więźniów i klucze od wiązek. Partja rusza w drogę.

Najokropniejszą męczarnią jest pochód w wiązce, bo się idzie ciasno, trzeba krok trzymać, uważać żeby nie nadeptać poprzednika, lub nie być od następnego podeptanym, a każdy krok fałszywy, lub niezatrzymanie się jednocześnie z innymi, okropnie sprawia męczarnie, gdyż przedzierżgnięty pręt lub łańcuch targa nadzwyczajnie okowy na rękę będące. Jeżeli zdarzy się, że który z więźniów przysiąść potrzebuje, wtedy cały łańcuch naraz stanąć musi i wszyscy przysiadają jednocześnie, albowiem pręt środkiem wiązki idący, przyciśnięty ciężarem siadającego, mógłby wszystkim ręce pólamać.

Po ujściu połowy drogi następuje przystanek na parę godzin, po czym dążą do stacji, tj. do ostroga. Tam przybywszy szykują się przed bramą, a oficer idzie zawiadomić komendanta, który zwykle pijany spi i nie spieszy się z wyjściem, a tak często kilka godzin trzeba czekać, choćby na dworze był skwar słońca, mróz trzaskający lub deszcz ulewny. Nakoniec wyłazi p. smotrytiel i czyta każdego po imieniu i nazwisku, a tymczasem z łańcuchów spuszczaają, rewidują rzeczy i furtką wpuszczają po jednym do ostroga.

Po oddaniu wszystkich więźniów, oficer, który ich przyprowadził, bierze pokwitowanie z ich dostawienia, na jedną z podwód zabiera łańcuchy i okowy, i wraca tam z kąd przybył; partja zaś na dziedzińcu wewnątrz ostroga posila się zebranemi przez jałmużnę wiktuałami lub kupuje od czekających już na nią bab, ser, chleb, mleko, jak komu na co stanie, potem żołnierze zapędzają wszystkich do jednej izby więziennej, dużej, brudnej, zaopatrzonej na około tak zwanemi narami, tj. pryczą okalającą

wszystkie ściany, na której każdy jak może się mieści. Żeby znaleźć miejsce do spania, silną trzeba mieć pięść, bo jeżeliś słaby, wytluką cię koledzy i wypędzą, i musisz szukać gdzie pod pryczą miejsca. W środku zaś izby stoją dwie brudne, nigdy nie wymywane beczki; jedna z nich zaopatrzona w żelazną czerpaczkę, jest napełniona wodą do picia, druga zaś jest przeznaczoną na potrzeby naturalne więźniów. Stoją one prawie obok siebie, a na jednej z nich przylepiają łojową świeczkę, która niby całą noc ma się palić, bo raz zapędzeni do izby, zamykani są więźniowie na klucz i drzwi wartami obstawione, a nie ma wypadku, żeby kiedy drzwi w nocy otworzyć mieli, gdyż po klucze wypadałoby iść do komendanta, a nikt nie śmiałby go obudzić.

Najokropniejszą dolegliwością w tych ostrogach jest masa niesłychana robactwa, pluskiew, wszy i szczyprawek. Idąc z partją, trzymaliśmy się mocno w kilku razem i przy wpędzaniu do izby zabieraliśmy miejsce przy piecu, które silnemi pięściami zdobywaliśmy i broniliśmy. Potem zebrany

w czasie podróży sokiem z fajek, oblewaliśmy na około zajęte miejsce i przygotowanym do tego pędzelkiem smarowaliśmy ściany i sufit.

Zdawało się nam, że tym sposobem odgradzaliśmy się od pluskiew, a taka ich bywa masa, że idąc w lecie, opłaciliśmy się raz sztyldwachom, że pozwolili nam spać na dziedzińcu, gdzie wśród trawy były jeszcze pluskwy. Po takiej nocy wypędzano nas często batem do perekliczki, tj. apelu, zamykano nas w wiązki i zwykłym porządkiem w dalszą szliśmy drogę. Po dwóch dniach takiej drogi, na trzeci dzień następowała dniówka, tj. cały trzeci dzień pozostawaliśmy w ostrogu dla odpoczynku i tego dnia wszyscy musieli iść do łaźni parowej.

Każdy z więźniów idących do Syberji, o ile może stara się mieć zapas pieniędzy, które jak nastaranniej usiłuje ukryć, żeby mu ich albo koledzy, albo żołnierze nie ukradli. Zwykle papierki zaszywają w szwy sukień, i tu jest największa gratka dla nadzorczy, bo kiedy w czasie dniówki wypędzą

wszystkich do łaźni, muszą się więźniowie rozbierać w poprzedniej izbie, a sami nago wchodzić do łaźni; wtedy nadzorca z żółnierzami chwyta za rzeczy i wszystkie szwy obmacuje, a nie ma świni, coby tak trufle pod ziemią zwietrzyła, jak oni domacają się ukrytych pieniędzy, wypruwają je i zabierają. Okradzeni więźniowie poskarżyć się nie mogą, bo przepisy zabraniają więźniom posiadać pieniądze. Przyznać się do ich posiadania nie mogą, albowiem mając je, powinni by byli oddać oficerowi, który także skradłby je natychmiast. Przecież czasem tak dowcipnie ukryć je potrafią, że ich znaleźć i ukraść nie mogą.

Już przed wyjściem w drogę byliśmy o tem ostrzeżeni i wzmogliśmy się na taki koncept: każdy z nas miał po paręset rubli papierkami moskiewskimi; kupiwszy sardelków, delikatnie poobciągałiśmy z nich skórki, obwinęliśmy niemi papierki, co utworzyło mały zwitek, który się miało zawsze gdzieś na podorędziu, i w razie rewizji kładło się w usta.

Rewizje odbywano zwykle nago i rewidujący często, a nawet zawsze kładł palec w usta. W takim razie, ten z nas, który miał zwitek w ustach, połykał go, i tym sposobem ocaliliśmy mienie nasze od carskich złodziejów. Była wprawdzie mała niedogodność w ich odzyskaniu, ale pieniądze były, chociaż...

Co trzeci lub czwarty ostróg znajduje się niby to szpital, w którym pozostawiają chorych. I tak partja postępuje ku wygnaniu swemu, nie będąc zatrzymaną nigdy ani przez porę roku, ani przez niepogodę. Przyszędłszy do Kazania, odpoczywa cały tydzień, i tam partje męzkie i kobiece łączą się razem i połączone raz na tydzień w dalszą idą drogę do Syberji. W Tobolsku jest główne biuro dla wygnańców (główny przykaz o zsylnych), tam doszedłszy partja, zatrzymuje się w głównem więzieniu, każdego pojedynczo przyzywają do biura, mierzą, spisują i opisują, a potem rozdzielają, przypisując do różnych włości gubernji tobolskiej. Ci, którzy przypisani zostali, pozostają w tej gubernji, i policja

ziemska szupasem rozsyła ich do miejsca naznaczenia, reszta połączona w partję idzie do dalszych gubernji i do Syberji wschodniej, gdzie ich mieszczą po włościach, a skazanych do robót rozsyłają po fabrykach rządowych. Z każdej partji bardzo mało pozostaje w Tobolsku, i to ci tylko, co jakieś rzemiosło umieją, jako to: kucharze, cukiernicy, szewcy, krawcy, itp.

Zadziwiłoby mogło nie jednego, co nie świadomy wewnętrznego stanu Moskwy, z kąd się może między zbrodniarzami znajdować tyle ludzi, mających gotowy sposób zarobkowania. Ludzie ci nie są bynajmniej przestępcami, i moralność ich jest nieskalaną, trzeba bowiem wiedzieć, że w Moskwie co nie jest szlachtą, należy do poddaństwa.

Część tych poddanych stanowi tak zwanych dworowych, którzy z familjami całemi liczą się jako słudzy dworscy, i z dziada pradziada są kucharzami, lokajami, furmanami, lub też rzemieślnikami wiejskimi. Taki dworowy z dzieciństwa kręcił się przy dworze i uczył się jakiegoś fachu. Później dla wykształcenia lepszego, pano-

wie posyłają ich do jakiego miasta. Wyuczysz się dobrze swego kunsztu i zakosztowawszy trochę wolności, obowiązany jest wracać do swego pana, aby mu pracować za lichą strawę i jeszcze licheszy przyrodziewek. Taki człowiek, nic dziwnego, że korzysta z prawa istniejącego i z nauk towarzyszków. Ucieka o kilkadziesiąt wiorst od miejsca swego pobytu i melduje się do pierwszego ostrogu jako włóczęga, nieznający miejsca swego urodzenia i rodziny swojej; tam go zaraz więżą, a jako włóczęgę bez miejsca zamieszkania, po odliczeniu carskiej liczby 25 batów, przypisują do pierwszej partji i odsyłają do Syberji na zaludnienie. Przyszędłszy do Tobolska, wyjawia dopiero, że jest kucharzem, krawcem i t. p., a że każdy urzędnik w Syberji ma prawo żądać, aby mu oddano posieleńca na porękę, więc go bierze i wyrabia dla niego stosowne pozwolenie pobytu. Ztąd taka masa doskonałych kucharzy i rzemieślników jest na Syberji. Ci, którzy nie umieszczą się w Tobolsku, idą do dalszych miast, a zawsze miejsce znajdą, lecz już do Moskwy

wrócić nigdy nie mogą. Są zwykle wzorem moralności i dobrego prowadzenia się, a nawet często do majątku dochodzą.

Powszechnem jest zdaniem, jakoby katorżni, to jest ci, co są skazani do robót ciężkich posyłani byli do kopalń w Syberji. Tak nie jest, w całych kopalniach sybirskich ani jednego nie znajdzie katorżnego, bo i na cóż zdałby się tam? katorżni są to zbrodniarze, po większej części w latach dojrzałych, zepsutej moralności i rozpróżniaczeni. Trzebaby go uzdatnić pierwej i uczyć, zanim możnaby było go użyć w kopalni. To jest niepodobieństwem, bo nim skończyłby naukę, to mniej więcej doszedłby do wieku, w którym prawo uwalnia ich od robót. 60 lat wieku uwalnia od roboty, i każdy katorżny, który dojdzie do tego wieku, tem samem przechodzi na wolne wyżywienie (wolnoje propitanje). Robotnicy w kopalniach są górnicy z dziada pradziada i nazywają ich Bergałami.

Katorżni są przeznaczeni do fabryk rządowych, jako to: sukiennych, gorzelnii,

cegielni, szklarni itp. Przypisani do fabryki przez biuro wygnańców, odstawieni są na miejsce przez policję ziemską. W każdej fabryce są więzienia w rodzaju koszar, gdzie są trzymani i tylko pod strażą wypuszczani bywają na robotę. Pierwsze pięć lat w kajdanach chodzić muszą, potem, jeżeli dobrem sprawowaniem się zasłużą, zdejmują im kajdany, lecz zostają nadal w koszarach pod strażą.

W gubernji Tobolskiej między Kurganem a Irbitem jest wielka rządowa gorzelnia, nazywa się Uspienskiij winokurennej zawod, tam od kilkunastu lat znajdował się doktor, który zrobił sobie ogromną reputację na wiorst kilkadziesiąt, naokoło i do znacznego przyszedł majątku, chociaż był katorżnym. Dostyc ciekawą jest jego historja i dlatego zamieszczam ją tutaj.

Ongi żyli w Wilnie on i ona. On był studentem uniwersytetu i uczył się medycyny; ona była przy matce, która studentów na stacji trzymała. On mieszkał u tej wdowy i za stancję u niej dawał

korepetycje jej pensjonarzom. Czy to z naturalnego pociągu, czy rozpatrzywszy się w składzie serca na lekcjach anatomji, tak swoje skruszył, że zanim stopień doktora uzyskał, już pierwiej stał się mężem jej córki. Widać, że miłość była gorąca, bo ona daleko starszą była od niego, i jak mówiono, nie była czarująco piękną. Pierwsze chwile zamęzcia spłynęły, lecz uzyskawszy stopień doktora, praktyka nie szła jakoś szczęśliwie, brakowało funduszków, bieda dręczyć zaczynała, a termometr miłości spadł na 0°. Dla zaradzenia temu, on umyślił przenieść się w inne strony, i zostawiwszy żonę w Wilnie, pojechał w stronę Kamieńca Podolskiego dla upatrzenia sobie miejsca, osiedlenia się i sprowadzenia do siebie żony. Historia nic nie mówi, czyli w pierwszych czasach rozłączenia się prowadzili częstą i czułą korespondencję. Kilka lat minęło, a o nim żadnej nie było wiadomości, bąkano tylko, że jest w Żytomierzu i że tam wkrótce ma się żenić z córką obywatelską; takie wieści doszły do żony w Wilnie. Na los szczęścia napisała do niego do Żytomierza

donosząc mu jakie w Wilnie chodziły o nim posłuchy; niebawem otrzymała od niego odpowiedź, w której on zaprzeczał wszelkim pogłoskom, oznajmiał powrót swój do Wilna i dzień oznaczył, prosząc ją, żeby wyszła na jego spotkanie do lasku pod Wilnem, i żeby list ten jakoteż i spotkanie się dla pewnych ważnych powodów zachowała w tajemnicy.

Tu minął pewien przeciąg czasu, po którym wieść się rozeszła, że pani jego żona uciekła od matki i przepadła bez wieści. Policja moskiewska nie jest tak dalece ciekawą, żeby ją podobne baśnie obchodzić miały, ale zdarzenie chciało, że w kilka dni po tym wypadku pastuch znalazł trupa w lasku. Policja i sąd natychmiast się zleciały, nie dlatego, żeby dochodzić zbrodni, lecz dla tego żeby obedrzeć bogatego lasku właściciela. Lecz pan właściciel nauczony doświadczeniem, skoczył po rozum do głowy i przed przybyciem sądu zrobiwszy protokół o znalezieniu trupa, odesłał trupa do Wilna. Każdy trup dla policji moskiewskiej jest Kalifornią. Sprawnik gdy znajdzie trupa

w swoim powiecie, najprzód wyprowadza śledztwo w tem miejscu, gdzie go znalazł, a gdy mu się cała wieś oplaci, przewozi tego trupa w nocy do innej wsi, i znowu wszyscy oplacić mu się muszą. Trup słowem wojażuje po całym powiecie. Jeżeli to w zimie się trafiło, że trup cały powiat objechał, a był jeszcze sztywny, wtedy sprawnik porozumiawszy się, sprzedaje go swemu koledze do drugiego powiatu, dokąd trupa przewożą w nocy, aby tam drugą rozpoczął wędrówkę. Policja w Wilnie takiej gratki opuścić nie mogła. Przypomniała sobie o ucieczce i zaginięciu pani onej, zeszła do mieszkania matki dla rewizji i tam znalazła list męża, w którym naznaczona była schadzka w lasku, a porównawszy datę schadzki z datą zniknięcia, schwyciła nitkę do dalszego śledztwa. Opinia lekarska była, że trup płci żeńskiej przysłany do obdukcji, zamordowany został przez przerżnięcie żyły narzędziem bardzo ostrem i delikatnem, podobnem do lancetu, że cięcie to tak było zręcznie dokonane, że śmierć natychmiast nastąpić musiała, i że dokonać go tylko

mógł człowiek wprawny do operacyj chirurgicznych i bardzo biegły w znajomości anatomji. W trupie poznano oną nieboszczkę, która to niby miała uciec i zaginać. Śledztwo dalsze wykryło, że on długi czas mieszkał w Żytomierzu, że pokochał tam córkę obywatelską, że się o nią oświadczył i że był przyjęty, oraz że na parę dni przed wypadkiem morderstwa własnymi końmi wyjeżdżał z Żytomierza, dokąd wkrótce i wrócił. W skutku tak silnych podejrzeń, on został aresztowanym i przywiezionym do Wilna, gdzie przy pierwszym badaniu przyznał się do zbrodni, wyznając, że miał zamiar powtórnie się ożenić, że napisał zatem do żony, żeby w dniu oznaczonym w lasku go czekała, że w tym dniu przyjechał do pobliskiej karczmy, gdzie konie zostawił, piechotą udał się do lasku, spotkał tam żonę i znie-nacka śmierć jej zadał przygotowanym lancetem. Jako nieszlachcic i nieprzemianowany jeszcze ze stopnia doktora na rangę cywilną, skazanym został na karę pięciu knutów, piętnowanie i zesłanie do ciężkich robót w Syberji. Wyrok został wykonany. Wi-

działem go w Tobolsku, gdyż go tam chorzy często wzywali. Był to człowiek lat około 50ciu, szczupły, średniego wzrostu, twarz miła, włosy czarne z przebijającą siwizną, nosił je długie, nisko na czoło spuszczone, ażeby mu pokrywały znaki piętna na czole i na skroniach będące. Mieszka w Uspieńskim zawodzie i jako przestępca niepolitycznemu wolno mu jeździć po całej gubernji i leczyć chorych.

Kilka razy już wspominałem o różnicach między położeniem politycznych wygnańców i niepolitycznych, winienem więc dać wyjaśnienie. Wygnaniec niepolityczny jest zupełnie wolny na Syberji i nieszkodliwy, można się z nim znać i być w przyjaźni nie będąc za to źle widzianym. Nazywają go nieszczęśliwym (nieszczęstnyj), a na zapytanie, za co zesłanym został, odpowiadają za pustotę (za szalosti). Kiedy przeciwnie przestępcę politycznego nazywają Hosudarstwiennyj prestupnik, zostaje pod ciągłym dozorem policyjnym, znajomość jego jest niebezpieczną, bo może sposobem swoim myślenia zarazić drugiego, nikt przy-

znać się nie odważy do jego znajomości, a jeżeli go lubią i szacują jako człowieka nawet im potrzebnego, nigdy go publicznie nie przyjmą w domu, a na ulicy nie przywitają, czasem tylko przyjmą w kółku domowym lub w gronie bardzo zaufanych przyjaciół, a to z obawy kompromitacji w oczach rządu.

Zadziwiającym jest, że przez tak długi przeciąg czasu ciągłego wysyłania więźniów na zaludnienie Syberji, tak mały okazał się rezultat. W przecięciu albowiem wysyłają rocznie z Moskwy do 20.000 ludzi, z których zaledwie 100 co rok tylko przybywa do Syberji. Z partji przypuśćmy 1000 ludzi, 500 dojdzie do Kazania, 200 do Tobolska, a 50 zaledwo do Irkucka. Przy tak starannej pieczy rządu w zaopatrywaniu w odzież wygnańców i przy prawach tchnących na papierze wielką miłością bliźniego, — co wszystko w niwecz obraca? Oto prawa drukowane są dla Europy, a nie dla poddanych. Trzymanie więźniów przez długi czas razem po więzieniach przez czas śledztwa i sądów, psuje ich moralność, a nędzne żywienie i

nieczystość niszczy ich zdrowie, a przez ten czas nadzorca z żywienia nabija kieszenie swoje i swoich przełożonych. Przesyłka na Syberję odbywa się bez żadnych względów na wpływ pory roku, na zdrowie wygnańców. Rozsiane po całej drodze szpitale i lazarety obsadzone są nic nie umiejącymi cyrulikami, którzy wszelkie fundusze na lekarstwa i utrzymanie uważają za dochód godziwy przywiązany do ich miejsca, zwłaszcza, że niemi dzielić się muszą z rewidującymi ich lekarzami, dlatego też nikt jeszcze nie widział w tych szpitalach coś podobnego nawet do lekarstwa. Na pozór jednak apteki i apteczki zdają się być w największym porządku, wszystkie flaszki i słoiki wypełnione są według formy przepisanej wodą zafarbowaną, maścią lub proszkiem jakim nic nieznaczącym, lecz kolorowym, a lekarz rewidujący odebrawszy umówioną kwotę, poświadcza, że wszystko w porządku.

Dawniejszymi czasy rozporządzenia tyczące się posielenców nakazywały każdemu z nich dawać po 10 diesiatyn ziemi do uprawy, oprócz tego zaopatrzyć go w konia, wóz,

siekierę, a dawniej jeszcze dawano mu strzelbę, 4 funty prochu i tyleż ołowiu, ale to było bardzo dawno, dziś nic nie dają. Czy to prawo już skasowane, czy nie jest wykonywanem tylko, nie wiem. Dotąd jednak w gubernji Jenisieskiej jest jeszcze kilkanaście wsi wybudowanych ongi dla posieleńców, i te zupełnie stoją pustkami. Dziś posileniec przybywszy na Syberję, przypisany do jakiej wołości i odstawiony do takowej, po jakimś czasie widzi całą trudność położenia swego, nikt nie przyjmie go do siebie, jako obcego, i ztąd też powstaje kasta włóczęgów.

Więźnie idący w partji na Syberję, skoro tylko przejdą Kazań, a wiosenna sprzyja temu pora, w pierwszym lepszym lasku, za umówionym znakiem, zaczynają się rozkuwać. Oficer najprzód, a za nim cała straż ucieka, więźniowie zaś najspokojniej jeden drugiemu pomagają. Starzy chorzy, kobiety i niechcący brać w buncie udziału, idą bez straży do najbliższego ostroga, gdzie meldują, że się partja odbiła. Tam ich przyjmują, zapędzają do ostroga, a potem

w dalszą odsyłają podróż i o tem raportują władzy, na tem zwykle koniec. Wprawdzie listy gończe za zbiegłymi rozsyłają, ale zawsze bezskutecznie; zbiegi kupą i traktem najspokojniej do Moskwy wracają. We wszystkich wsiach na trakcie syberyjskim u każdej chałupy nad drzwiami wchodowemi na półce znajduje się chleb, ser, mleko, a czasem i masło. Włóczęgi wracający do Moskwy, w nocy przychodzą do wsi, z pólki tych zbierają jedzenie, posilają się niem i najspokojniej w dalszą idą drogę. Nie ma przykładu, żeby kiedy ludzie ci dopuścili się jakiej swawoli lub złodziejstwa, owszem, kiedy pora sprzyja, zajmują się do sianokosu, lub innej gospodarskiej roboty, po ukończeniu której idą w dalszą drogę, a lud żadnego z nich nie zatrzyma, bo ci co zdołaliby uciec, spaliliby wieś całą. Nazywają ich powszechnem mianem brodiagi, a łączem wyrażeniem warnaki. Zdarzyło mi się raz, że jadąc z generałem Falkenbergiem do miasta Tary, na trakcie spotkaliśmy około 30 ludzi idących; było to w dzień, generał był zbrojny i na koźle

było dwóch żandarmów uzbrojonych. Jenerał kazał przystanąć i zapytał się: „co wy za jedni?” Poznali jenerała i widzieli żandarmów, lecz tem nie zmięszali się i najspokojniej odpowiedzieli: „Brodiagi, Wasze Prewoschoditelstwo, dajcie chlebca radi Boga“. Jenerał kazał im dać bochenek chleba i w dalszą puściliśmy się drogę, bo cóż było robić w czterech przeciwko 30tu. Często takie partje spotykać można na traktach w Syberji, a nigdy nie było wypadku rozboju, proszą tylko o jałmużnę z chleba i tak idą ku Moskwie, aż pierwsze upadną śniegi, wtedy nie mogąc już nocować w lesie lub w polu dla zimna, i pozostawiając ślad, za którym możnaby ich dojść, rozchodzą się po kilku i do najbliższych meldują się ostrogów jako włóczęgi, nie pamiętający miejsca swego urodzenia; tam ich przyjmują czerwonym sukniem umaczanem w spirytusie wycierają plamy, dla dowiedzenia się, czy który knutem nie był karany (bo przez to nacieranie uwidomniają się chociażby dawne znaki knuta), następnie dają im po 25 batów, dołączają do pierwszej

partji i posyłają napowrót do Syberji. Na wiosnę ta sama historia wiecznie się powtarza.

Jeszcze przed zaprowadzeniem tak zwanej policji ziemskiej, rząd chcąc się zabezpieczyć od zbiegostwa katorżnych z fabryk, polecił chwytanie zbiegów Burjatom (narodowi koczującemu około Bajkału, gdzie najwięcej jest fabryk obsadzonych katorżnymi). Za spostrzeżeniem uciekającego, Burjaci chwycić go byli powinni i odstawić do pierwszej władzy, a w razie niemożności dostania żywcem, dozwolono im strzelać i zabijać. Za każdego ujętego lub zabitego rząd płacił i płaci po 10 r. asygnacyjnych (prawie 3 r. sr.) za sztukę; Burjat na udowodnienie zabitego musi złożyć jego nos i uszy; oprócz tego odzież po zabitym zabiera sobie. Burjaci pomyliwszy się i zamiast włóczęgi zabijając podróżnego, mają zapewnioną bezkarność, a odzież zabitego zawsze im zostaje w zysku, i to co przy zabitym znajdzie. W strojach przez te koczujące narody zamieszkałych, nadzwyczaj niebezpiecznym jest oddalanie się choćby o kilka wiorst od wsi, bo pra-

wie napewno można spotkać polującego Burjata, który nie pyta się o paszport, ale zoczywszy, lub ślad napotkawszy, wytropi podejście i niezawodnie zabije. W takim to kraju przez 8 lat żył Filip Grodzicki, nie mając ani książek, ani towarzystwa, i nie mogąc nawet o wiorstę wydalić się na przechadzkę do wioski.

Wygnańcy polityczni wysyłani na osiedlenie przypisywani byli po większej części do miast i miasteczek i zostawali tam pod ciągłym dozorem policji. Każdy najmniejszy urzędnik miał prawo, nie ulegając za to żadnej odpowiedzialności, zelżyć go lub skrzywdzić, bo jako wyjęty z pod opieki prawa, wygnaniec nie ma żadnej wiary i skargi jego nic nie znaczą. Żadnego wsparcia nie dawano posileńcom, każdy więc starać się musiał o wyżywienie własne ręczną pracą, rzemiosłem jakim lub dawaniem lekcyj. Pietraszkiewicz i kilku innych dawali lekcje języków i innych nauk, ja uczyłem muzyki.

Stanisław Kiersznowski był złotnikiem, Żelwietr w Tarze uczył tańcować, i tak

każdy pracował jak umiał, aby siebie wyżywić i pomódz tym, którzy nie byli w stanie na siebie zapracować, bo nigdzie Polacy, nawet w kraju nie byli tak silnie braterskim węzłem złączeni, jak na Syberji. Był to prawdziwy komunizm w najczystszej i najszczytniejszym znaczeniu. Wszystko było wspólne, każdy z rozkoszą serdeczną dzielił się z drugimi wszystkim co miał — samolubów zupełnie nie było.

Przysłane z domu fundusze były rozporządzeniami rządu ograniczone do 1000 r. asygnacyjnych (blizko 300 r. sr.) na jedną osobę. Przesyłki te mogły tylko dojść za pośrednictwem rządu, więc łatwo było władzom zapobiedz przesyłaniu większych sum nawet dla ludzi bogatych, i każda przewyżka szła na korzyść skarbu prywatnego, car z niej nic nie widział. Użycie pośrednictwa np. Moskali kupców, było niepodobnem, bo wykrycie takiego pośrednictwa groziło Moskalowi utratą wolności i praw cywilnych. Każdy Moskal chętnie pożyczyl a nawet obdarzył, ale pod żadnym

względem nie ułatwiłby korespondencji pomiędzy wygnańcami a krajem.

Innych przesyłek i korespondencyj nie mogło być jak tylko przez rząd. Wszelkie listy od wygnańców oddawano zapieczętowane do najbliższej władzy (w Tobolsku do głównego zarządu), tam zebrane w pewnej ilości wysyłano je do 3go wydziału, carskiej kancelarji (wydział policji tajnej), będącego podówczas pod sterem hr. Benkendorfa*). Tam listy te czytano, a gdy prze-

*) Benkendorf umarł katolikiem; na wiarę katolicką nawróciła go baronowa Krüdener. Przejście jego na katolicyzm było tajemnicą przed Mikołajem. Był opiekunem szkółki elementarnej katolickiej, utrzymywanej przez OO. Dominikanów w Petersburgu, raz na rok hr. Benkendorf z panią Krüdener zwiedzali te szkółkę sekretnie, i ciągle zasilali ją funduszami. Przy nim prawą ręką jego był tajny radca, Adam, syn Aleksandra, Sagtyński. Benkendorf i Sagtyński byli ludzie bardzo zacni. Sagtyńskiego znałem blisko i bywałem u niego w Warszawie i w Petersburgu; musiał on pochodzić z Moldawji, bo rysy jego i całej jego familji były moldawskie, i mówili tym językiem. Oprócz moldawskiego, Sagtyński bardzo czysto mówił

szły przez tę szpiegowską cenzurę, odsyłane

po polsku, po moskiewsku, po niemiecku i po francuzku. Przed 1830 r. był on w kancelarji przybocznej W. k. Konstantego urzędnikiem do szczególnych poruczeń; mieszkał na 1em piętrze w domu księży misjonarzy, wprost Kopernika. Umarł niezonałym, miał cztery siostry. Jedna była za jakimś Milewskim i zostawiła dwóch synów, którymi opiekował się Sagtyński; druga była za Skladowskim, dyrektorem gimnazjum w Królestwie; a dwie siostry stare panny, Józefę i Salomeę, trzymał przy sobie. Obowiązkiem jego było odpieczętowywać wszystkie listy, pisane do Wielkiego księcia, i wypisywać ich treść na marginesie. Ojciec mój żył z nim w przyjaźni, i Sagtyński mówił ojcu memu o odebranych przez Wielkiego księcia listach w d. 26. i 28. listopada, donoszących o mającym nastąpić wybuchu, i że Wielki książę listom tym nie wierzył. Gdy wybuchło powstanie d. 29. listopada, wieczorem Sagtyński przysłał do mego ojca z prośbą, żeby go ratował. Ojciec żyjąc dobrze z księż. misjonarzami wyrobił, u nich, że przyjęli Sagtyńskiego na schowanie i przebrali go w księżą sukienkę. Łatwo to bardzo było, bo Sagtyński z podwórza swego przez kościół przeszedł do klasztoru, a jako urzędnik cywilny faworytów i wąsów nie nosił. Po trzech dniach Sagtyński zameldował się rządowi narodowemu i wraz z innymi jeńcami moskiewskimi odeslanym został do Częstochowy,

były do generał-gubernatora m. Warszawy,

zkaąd po upadku powstania przez Berlin udał się do Petersburga. Tam po śmierci Wielkiego księcia Konstantego urzędnicy jego kancelarji przybocznej wszyscy otrzymali po 1000 r. sr. dożywotnej pensji, z prawem pobierania jej przy innem nawet urzędowaniu lub emeryturze, oraz pozwolenie wybrania sobie biur, w których służyćby dalej zechcieli. Sagtyński prosił o pomieszczenie go w carskiej przybocznej kancelarji; został przyjętym i zaliczonym do IIIgo wydziału, który zawiaduje żandarmerją i policją tajną w całym państwie. Przy Wielkim księciu Konstantym w 1830 r. Sagtyński miał rangę VII czy VI klasy, do wydziału IIIgo wszedł z rangą radcy stanu. Wciągu całej służby ile razy w nagrodę miał otrzymać jaki order, zawsze się wypraszał od niego, a prosił o rangę. W Petersburgu gdy miał już rangę IV klasy, tj. rzeczywistego radcy stanu, zasłużył na jakąś nagrodę. Tajnym radcą nie wypadało go jeszcze zrobić, trzeba było dać order. Order 4ej, 3ej lub 2ej klasy dać tak wysokiemu urzędnikowi, było ubliżeniem, a jakże mu dać lentę z gwiazdą, kiedy niższych orderów nie miał. Po niejakich wahaniach, skończyło się na tem, że mu dali lentę św. Stanisława z gwiazdą.

Z Petersburga Sagtyński pisywał do mego ojca, zapewniając go o wdzięczności swojej. Gdy w 10 lat potem jechałem do Petersburga na służbę, między

który rozsyłał je za pośrednictwem żandar-

innymi listami polecającymi od ojca, miałem list i do Sagtyńskiego, który przyjął mię z radością, zobowiązał mię do bywania w domu jego, ile razy zechcę, a co niedziela na obiady koniecznie, i zaraz przy pierwszej mojej bytności powiedział mi: „Możesz w Petersburgu mówić i robić, co ci się tylko podoba, w każdym wypadku udaj się do mnie, pamiętaj tylko, byle krwi nie było.“ Był on już wtedy tajnym radcą i przyjacielem Benkendorfa. Protekcja taka pod moskiewskim rządem była czegoś warta. Bywałem u niego na niedzielnych obiadach, i zwykle zostawałem wtedy na herbacie. W jego domu, ale nie na obiadach, miałem sposobność widywania szpiegów arystokratycznych; takimi byli: jenerał Krywcow, Filipeus, baron Dolst, baron Hederstern (który przedtem był w Warszawie pomocnikiem Badeniego, jako wice-dyrektor wydziału administracyjnego w komisji spraw wewnętrznych), baron Los Valles, adjutant Don Karlosa, a właściwie La Riviere, Francuz, który przekradł Don Karlosa przez granicę francuzko - hiszpańską. Na obiadach niedzielnych prócz Sagtyńskiego i siostr jego Józefy i Salomei, bywałem tylko ja i Cyprjan Wąsowicz, który już po wyjściu Sagtyńskiego ze służby wysłanym został na Syberję i tam umarł. Bywali także biskupi nasi z Królestwa ściągani do Petersburga na konsekracje. Gdy biskupi byli u niego, Sagtyński nikogo więcej

mów. Ten sam manewr był z przesyła-

nigdy nie przyjmował prócz mnie, który zwykle wszędzie im towarzyszyłem. Z biskupami czasem Sagtyński na kilka chwil się zamykał, ale zawsze na kilka minut tylko. Wszyscy biskupi nasi byli z wielkiem dla niego poważaniem, a o rozmowach z nim milczeli jak grób. Jako gorliwy katolik, a był nim, uczył on ich zapewne, jak mają nie dać się podejść rządowi moskiewskiemu, bo ze ściągania biskupów naszych w 1841 — 1846 r. do Petersburga rząd nie osiągnął zamierzonego celu, tj. przyłączenia diecezji katolickich w Królestwie do kolegium Petersburskiego. Teraz nawet, gdy Sagtyński i biskup Płocki Pawłowski już nie żyją, mogę powiedzieć, że gdy biskup Pawłowski za bytności swej w Petersburgu otrzymał od cara Mikołaja uwolnienie wszystkich naszych księży z Syberji, według przedstawionej imiennej ich listy, to listę tę otrzymał od Sagtyńskiego.

Od Sagtyńskiego wiem także niektóre szczegóły, dotyczące rozruchu w Petersburgu w 1831 r. Między ludem chodziła wieść, że Polacy zatruli wodę w Newie, i że z tego powodu cholera grasowała w mieście. (Tę pogłoskę sam rząd zapewne puścił, bo podobnych fałszów i podłości jego mamy dosyć dowodów w historii naszej.) Doktorów posądzano o zмовę z Polakami. Na jednym z najludniejszych placów, gdzie zwykle targi się odbywają, Siennaja zwanym, był jeden ze szpitali cholerycznych; lud wzburzony rza-

niem listów do Syberji. Oddawano je

cił się na doktorów w tym szpitalu będących, i jednego z nich, co uciekając po dachu, spadł z niego, na kawalki w powietrzu rozerwał. W pałacu carskim panowała trwoga, na wojsko nie można było rachować, podsuwano myśl Mikołajowi, żeby sam jechał na plac, że tym tylko sposobem można bunt zażegnać, albowiem samo użycie wojska mogło jeszcze bardziej lud rozjuszyć. Mikołaj nie chciał jechać. Nadeszła nareszcie ostatnia chwila do ratunku; żona Mikołaja, Orłow i Benkendorf rzucili się do nóg jego, prosząc, żeby siebie i ich ratował, bo zginą wszyscy. Do powozu zaprzężonego w 4 konie obok, wsiedli: Mikołaj z lewej, Orłow z prawej strony a Benkendorf na przodzie, bez żadnej eskorty, prócz dwóch żandarmerów konno dla torowania drogi w tłumie. Gdy car wjechał na plac, w tłumie nikt czapki nie uchylił, miny kacapów były groźne, z pałkami w rękach. Gdy dojechał do środka placu, otworzyły się wielkie drzwi cerkwi na placu będącej, i w nich ukazał się metropolita Serafim w patryjarchalnym, aksamitnym, trójkolorowym płaszczu (biały, niebieski i czerwony w pasy $\frac{1}{4}$ lokcia szerokości), otoczony popami w ryzach; powóz carski zatrzymał się, car stanął w powozie z odkrytą głową (Orłow i Benkendorf siedząc w powozie, głowy odkryli także), wyciągnął rękę ku cerkwi i krzyknął: na kolien a! i zaczął przedstawiać ludowi, że Bóg karze ich cholera za to, że o nim

w kraju komendantom żandarmów, ci od-

zapomnieli. Lud padł na kolana, ale kilkunastu było widać stojących gdzieś w tłumie i z głowami nakrytymi, tych żandarmi w tłumie będący po przebierani za muzyków, mieli na oku, i w nocy wyłapali. Twarz Mikołaja była blada jak chusta. Rycinę przedstawiającego cara w powozie, z ręką wyciągniętą ku cerkwi, Sagtyński z polecenia Benkendorfa kazał zrobić w Paryżu, w ilości 100 sztuk tylko. Jeden egzemplarz ryciny tej dostałem od Sagtyńskiego, pożyczyłem jej malarzowi Szczodrowskiemu w Petersburgu, który mi jej nie zwrócił.

Jednego dnia o 8ej godzinie rano, gdym służył w ministerstwie spraw zagranicznych, Sagtyński przysłał kuczera swego do mnie, ażeby jak tylko mógł pospieszył najprędzej do niego. Ubrałem się natychmiast i pojechałem. Sagtyńskiego zastałem golącego się, i powiedział mi: „Będę dziś u Nesselrodego, powiedz, co chcesz, żebym ci u niego zrobił, a wszystko otrzymasz.“ Odpowiedziałem mu na to, że sam nie wiem, o co prosić, ale że pojedę do moich najbliższych zwierzchników, którzy mi byli bardzo przychylni, że się ich poradzę, i że za parę godzin przywiozę mu odpowiedź. Najbliższym naczelnikiem moim był Wiktor, syn Teofila, Kotowicz, Polak z Mińskiej gubernji; drugim po starszeństwie był Michajłow, obadwaj bardzo mi przychylni, trzecim dyrektor wydziału, Palenow, wróg Polaków, a czwartym Nessel-

syłali je do generał-gubernatora m. War-

rode. Kotowicz i Michajłow, każdy z nich osobno, otwarcie powiedzieli mi: „Przemówienie za tobą Sagtyńskiego, weźmie Nesselrode jako żądanie policji tajnej, i z całą pewnością zrobi to, co Sagtyński od niego zażąda; możesz prosić, żeby cię Nesselrode wziął na parę miesięcy do sekcji francuzkiej, a następnie posłał do jakiego poselstwa za granicę; raz wysłany, ciągle zostaniesz za granicą i do ministerstwa nie wrócisz, karierę zrobisz, ale w całym ministerstwie będą cię mieli za szpiega.“ Wróciłem do Sagtyńskiego z odpowiedzią, że tym razem nie mam o co prosić, i że łaskę jego zamawiam sobie na później. Sagtyński nic na to nie odpowiedział. W następną niedzielę, gdy przyjechałem na obiad, podałem rękę jak zwykle Sagtyńskiemu, ale on ręce swoje w tył założywszy, uklonił mi się tylko. Domyślałem się, że mu za to siostry jego uszów natrą, więc na następną niedzielę znów pojechałem, a gdy Sagtyński chciał pierwszy podać mi rękę, ja mojej mu nie podałem, a tylko mu ukloniłem się. Od tego czasu przestałem u nich bywać i wyjeżdżając w rok później zupełnie z Petersburga, z pożegnaniem u nich nie byłem. Pomimo drobnego zajścia tego, muszę oddać sprawiedliwość zacności Sagtyńskiego. Był on później prawą także ręką Orłowa, ale wielka różnica między Benkendorfem a Orłowem. Gdyby nie Benkendorf i nie Sagtyński, panowanie cara Mikołaja byłoby dziesięć

szawy, zamtąd szły znowu do szpiegowskiego biura w Petersburgu, a po przejściu tej cenzury przychodziły do głównego zarządu w Tobolsku, gdzie je nam roznosił urzędniczek kancelaryjny, mały, czarny, głupi i pijak zawołany, któremu daliśmy przezwisko małopozwierz. Urzędy pocztowe żadnych od nas listów nie przyjmowały, ani posyłek, i takowych nam nie wydawały.

Lubo wygnańcom politycznym, tak zwanym posieleńcom, nie wolno było wydalac się z miejsca zamieszkania dalej jak na 15 wiorst bez zameldowania się i uzyskania pozwolenia, jednak to nie było tak ściśle przestrzeganiem i jeździliśmy nieraz o wiorst

razy krwawsze, a czyż ono i tak nie krwawe? W IIIim wydziale był jeszcze Polak, niejaki Grzybowski niższym urzędnikiem, ale zaledwie parę razy widziałem go. Sagtyńskiego nie raz slyszalem żalącego się na jenerala Dubelta i Połozowa. Po wyjściu ze służby kolo 1850 r. Sagtyński pozostał w Petersburgu i w bardzo późnej starości tam umarł. Miał zwyczaj spać w łóżku siedzący. Bystrość umysłu w późnym wieku zachował nadzwyczajną.

(Przypisek p. Radomińskiego.)

30 i więcej na polowanie, i pomimo zakazu, każdy z nas myśliwych był zaopatrzony w strzelbę. Jeżeli zaś w Polsce lub w Europie nawet zrobiło się jakiegokolwiek zamieszanie polityczne, zaraz się to u nas czuć dawało: musieliśmy częściej meldować się na policji, broń zabierano, rewidowano książki i papiery. Im kto więcej był znajomy od osób wyższych, tem mniej to się czuć dawało, a zwykle po kilku tygodniach wszystko wracało do dawnego trybu, aż do nowego paroksyzmu głupoty i tchórzostwa.



ROZDZIAŁ VI.

Pietraszkiewicz. — Gustaw Zieliński. — Stanisław Dotkiewicz. — Sposób na karaluchy i prusaki. — Osiolek. — Scena z małpozwierzem. — Wypadek Romana Chelmieckiego. — Kara na muzykantów skuteczniejsza od bicia. — Historja djaka. — Knut. — Katy. — Knutowanie. — Piętnowanie. — Pędzenie przez różgi. — Chłosta.

W miesiąc przeszło po mojem do Tobolska przybyciu, t. j. dopiero we wrześniu, rozpoczął się na dobre ciąg partji wygnańców za sprawę emisariuszów. Wtedy jedni z pierwszych przybyli: Czermiński, Gustaw Zieliński (autor „Kirgiza“), Rościszewski, bracia Chelmiccy i inni. Już poznajomiony z wielu dygnitarzami w Tobolsku, mogłem moimi zachodami niektórym rodakom do-

pomódz, i tak pomimo najsurowszych rozkazów, ażeby Polaków nie zostawiać w zachodniej Syberji, a posyłać ich dalej do Syberji wschodniej, udało mi się, że Czermińskiego przypisano do miasta Iszymu w gubernii Tobolskiej, gdzie już około dwunastu znajdowało się Polaków; Gustawa Zielińskiego, do którego braterstwa ciotecznego przyznałem się, pozostawiono w samym Tobolsku; a Juljana Rościszewskiego, rzempolącego trochę na skrzypcach, na prośby moje przyłączono do tobolskiej orkiestry. Nie na wiele mu się to wprawdzie przydało, bo w kilkanaście dni później, z niewiadomej przyczyny przenieśli go do Iszymu, to tylko zyskał, że pozostał w zachodniej Syberji, i, że w Iszymie połączył się z krewnym swoim Czermińskim, a wkrótce potem przyjął służbę u propinacyjnego dzierżawcy Gorochowa i pracą powiększył swoje dochody, a uczciwością i ścisłością w obowiązkach pozyskał zaufanie ogólne i szacunek.

W pierwszych dniach po przyjeździe, Zieliński stanął u mnie w mojej chałupce, gdzie

z Pietraszkiewiczem mieszkałem. W późnej jesieni, gdy nam ciasno było, przenieśliśmy się do domu na ulicy Małej-Archangielskiej i zamieszkaliśmy znowu we trzech: ja, Zieliński i Dotkiewicz. W domu tym mieszkał kiedyś Kotzebue w czasie swego wygnania. Pierwszą zimę spędziliśmy pracując i żyjąc w małym kółku towarzysów, a każdego dnia prosząc Boga i oczekując uwolnienia, które nie nadchodziło i nadejść nie miało. Na wiosnę, nie pamiętam już dla jakich powodów rozłączyliśmy się z Dotkiewiczem, i najęliśmy mieszkanie u nowo ochrzczonego Tatara. Mieszkanie bardzo schludne składało się z trzech pokoi, jeden ja zajmowałem, drugi zajmował Zieliński, a salonik niby był wspólny. Do usług mieliśmy żołnierza, Polaka, Żłobickiego, danego mi z muzyki jako denszczyka, i kucharkę nazwiskiem Parentiniowę, żonę żołnierza, także Polaka, a która za mężem przyszła na Syberję. W skutku zasług kulinarnych, które Gustaw jeszcze w Ludwisarni ocenić umiał, byłem gospodynią naszego małego gospodarstwa.

Syberja niewypowiedzianie jest trapioną przez rozmaite robactwo, nadewszystko przez pluskwy, których niezliczona moc wszędzie się znajduje; zdawałoby się, że to jest ich właściwa ojczyzna. Kto nie widział tego i nie doznał, nie może mieć o tem wyobrażenia i uwierzyć nie zechce. Domy są tam zwykle drewniane, z okrągłaków stawiane, wewnątrz pokoje wyklejają na mech, obiciami papierowemi, które tam są bardzo tanie. To sprzyja nadzwyczaj ich mnożeniu się, i nie ma pokoju w Tobolsku, w którymby biljonu pluskiew nie było. Oddarłszy arkusz obicia, ujrzy się ich tysiące. Wchodząc na nowe mieszkanie, pierwszym naszym staraniem było pozbyć się tego robactwa; oddzieraliśmy więc obicia, całe ściany wycieraliśmy terpentyną i jeżeli można było bez niebezpieczeństwa, zapalaliśmy ją, a potem dopiero wyklejaliśmy nowemi obiciami. Zapach terpentyny ustępował po kilku dniach wietrzenia. Nie było nic śmiesznego, jak zdziwienie moskali, gdy widzieli te czyszczenia nasze; ruszali ramionami, mówiąc: „bez mozgłyj Polak kłopy boitsia“, im albowiem

żadnej pluskwy nie robią różnicy, owszem tak są zabobonni, że sądzą, iż im więcej jest w domu jakim robactwa, tem większe błogosławieństwo spływa na mieszkańców jego. Pluskwy tak są rozmnożone w Tobolsku, że zdarzało nam się widzieć, jak w lecie wędrowały z domu do domu całym sznurem jak mrówki.

Drugą plagą mieszkań w Syberji jest robactwo nazwane *tarakany*, (po naszymu *karaluchy*). Są dwojakiego gatunku, małe kasztanowate, zwane u nas *prusakami*, które tryljonami obsiadują ściany, a za wniesieniem jedzenia jakiego lub napoju gorącego z parą, krociami z sufitu opadają. Za wniesieniem zaś światła wieczorem, milionami po ścianach się ruszają, tworząc jakby w olbrzymim kalejdoskopie różne grupy i obrazy. Robactwo to w nocy jak się dostanie do obnażonej części ciała, obgryzie skórę zupełnie, tak, że się zrobi bolesna rana jakby po wizykatorji. Drugi rodzaj, czarny, duży, podobny do krówek lub żuków, tylko daleko większy od nich, kryje się po kuchniach, około pieców i po miejscach cie-

plych, gryzie on także, ale nie tak często, lecz jest nadzwyczaj obrzydliwy, bo zabity rozlewa się w paskudną masę białą, cuchnącą i plamiącą. Tych nieprzyjaciół tępiłiśmy innymi sposobami: w zimie na dni kilka przed wprowadzeniem się otwieraliśmy drzwi i okna, nie paląc w piecach, a mróz trzaskający wymrażał ich; a w lecie na pare dni przed wprowadzeniem posypywaliśmy podłogę mąką grochową, zmieszaną z arszenikiem i z małą ilością cukru. To wszystko kropiło się gorącą wodą i zostawiało przez noc. Nazajutrz robactwo potrute trzeba było wyrzucać szuflami na korce, a od smrodu powstałego przez kilka dni przewietrzać mieszkanie.

Oczyściwszy jak można, wprowadziliśmy się do domu Tatara i tam może najszczęśliwsze przeżyłem chwile mego wygnania, mieszkając z człowiekiem, którego kochałem i szanowałem, i któremu Bóg tak wzniosłą dał duszę, obok talentu poety. Chociaż jakie i trafiły się nieprzyjemne zdarzenia, takowe zagładzała przyjaźń wzajemna i współczucie. W czasie tego wspólnego zamie-

szkania, oceniłem dostatecznie Gustawa Zielińskiego jako człowieka i jako poetę. Nie męczył się on nad klejeniem wierszy jak zwykli wierszokleci, lecz najczęściej w chwili samotności, w zamyśleniu z natchnienia improwizował po kilkaset wierszy na raz, później dopiero w całości je na papier przelewał. W tych czasach stworzył poemat p. t. *Samobójca*, a ktokolwiek zna okolicę Tobolska, pozna je w czarownych obrazach tego poematu.

Ciężko to jest z Olimpu zstąpić na ziemię, lecz na tym padole ziemskim rozkosze niebieskie są tylko chwilowe, do których dusza i serce czasem się podnosi, ale życie zwykłe jest poziome, bośmy z błota i w błocie żyć musimy. Jeżeli rozkosz unosi nas ku niebu, przeciwności i cierpienia tłoczą nas do ziemi; z ziemią wszystko się kończy, a przeszedłszy dopiero grób ziemski, czeka nas nadzieja innego życia, innej szczęśliwości. Te smutne i abstrakcyjne myśli wywołało wspomnienie jednego tylko osiołka, lecz któż to był ten osiołek?

Dom, w którym zamieszkaliśmy, stał na ulicy niebrukowanej, pełnej śmieci i innych nieczystości. Powracając raz z miasta późno wieczorem, w czasie słotnym, i przebijając w błocie, gdy zbliżyliśmy się do domu, usłyszeliśmy jakiś pisk w kałuży. Sami nieszczęśliwi, i serca mieliśmy pochopniejsze do litości; zaczęliśmy szukać i znaleźliśmy szczeniaka kilka dni mającego, którego jakiś nieczuły człowiek chciał zapewne w kałuży utopić. Szczeniak się wygramolił i piszczał, wzywając matki. Jednym uczuciem przejęci schyliliśmy się po niego i utuliwszy płaszczem, przynieśliśmy do domu, powierzając go staraniom kucharki, która z chęcią go przyjęła i nakarmiwszy mlekiem, położyła w usłane z waty łóżeczko. Pod jej opieką szczenię odżyło i w kilka tygodni w dziwnego wyrosło psiaczka, albowiem trudno go było zaliczyć do jakiego znanego już psów gatunku. Był mały, myszaty, z cienkim ogonkiem i potwornymi stojącymi uszami. Te uszy jednomyślnie zyskały mu nazwisko osiołka. Równie od nas kochany rósł szczęśliwie w siłę pod macierzy-

stem okiem Parentyniowej, która go kochała, ale i nie psuła zbytmięmi pieszczoty, owszem, od złych narowów go oduczyła i przyzwyczała do ochędoństwa i czystości. Osiołek był naszą rozrywką i kochał nas całym piem sercem. Przepraszam, bo posiadał lwie serce; chociaż mały, z nieustraszoną odwagą rzucał się na każdego obcego przychodnia, a kotów nienawidził, jak Polak Niemca. Gustaw zawsze dbający o rozszerzanie oświaty, zajął się jego edukacją. Ale gdzież jest radość bez smutku, pogoda bez deszczu, bogactwo bez nędzy? Naprzeciwno okien naszych na ulicy była wielka kupa śmieci, na którą w piękne czasy schodziły się psy z całego miasta, i osiołek także. Ganiliśmy mu to nieraz, ale to, „jakby na psa łyko wdział“. Dnia jednego z Gustawem siedzieliśmy w oknie, gdy zgraja psiej Tobolskiej młodzieży na owej kupie nuż w pląsy, gry niewinne i zalotne zabawy; między niemi gburowatością odznaczał się wyżeł żandarmski, który w nadskakiwaniach osiołka upatrując coś politycznego, schwycił go za kark. Wybiegliśmy z Gustawem na

obronę psiny naszego, lecz już było za późno. Pies żandarm go zadusił, a drugie psy go rozszarpały i uciekły. Taki smutny był koniec poczciwego osiołka.

Sens moralny: w Moskwie niebezpiecznie rywalizować z żandarmem w miłości.

W czasie jednego z paroksyzmów trwogi, o jakich wspominałem, postanowiono Zie-lińskiego wyprawić z Tobolska do miasta Iszyna na mieszkanie. Rozstawanie się nasze było bolesnem. Sam pozostawszy, nie mogłem tak drogo płacić za mieszkanie (25 r. assygnacyjnych, tj. trochę więcej jak 7 r. sr. miesięcznie), prócz tego opał i utrzymanie kucharki. Nająłem więc mieszkanie w oficynie domu Potapowa na placu paradowym, lecz przed samem wyprowadzeniem się na dawnem mieszkaniu miałem scenę, o której warto wspomnieć, bo nie każdy ujrzeć może takie widowisko, charakteryzujące zwyczaje.

Naprzeciwno zajmowanego przezemnie mieszkania, na drugiej stronie ulicy znajdował się dom dosyć obszerny, do drzwi wchodowych prowadziły schodki z ulicy, a przed temi była obszerna kałuża. W domu

tym zamieszkiwał wspomniany przezemnie urzędniczek, co nam listy roznosił, przeważny przez nas Małpozwierzem. Był szczupły i mały, a żonę miał ogromną i tłustą babę, która nielitościwie tłukła go za pijaństwo. Często krzyki i kłótnie wabiły nas z Gustawem do okna; otóż i po odjeździe Gustawa podobne krzyki do okna mię ściągnęły. Małpozwierz miał widać ochotę wybiedz gdzieś na hulankę, lecz żona stanęła we drzwiach wchodowych wzbraniając wyjścia. Małpozwierz najpieszczotliwszych używając wyrazów, błagał ją, a gdy baby zmiękczyć nie mogły, udał się do ostateczności: zniżywszy głowę, uderzył naprzód chcąc przejść jak pod kolosem rodyjskim; baba zmiarkowawszy, że on się tamtędy prześliznąć usiłuje, przysiadła go i dalej kuć pięściami po części, do której była obrócona twarzą, wrzeszcząc z całego gardła: „niet, nie pajdiosz szelma“. Małpozwierz zaś dobył wszystkich sił i jął wynosić babę na sobie z domu. Takiego centaury ujrzałem we drzwiach, ale nie dosyć tego, bo gdy przyszło zleźć po schodkach, Małpozwierz zsunął się po nich

na pysku, chybiwszy schodów ręką, a baba zakreśliwszy parabolę, zanurzyła głowę w kałuży. Porwali się na nogi. Małpozwierz nie tracąc czasu umknął w ulicę, zanim baba błoto wypluła. Widząc już zdala małżonka, szereg obelg i przekleństw puściła za nim, i to tak dzielnie, jak w „Panu Tadeuszu“:

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało, że Wojski wciąż gra jeszcze — a to echo grało.

tak i ona, bo po jej odejściu wszystkie zakątki jej krzykiem brzmiały.

Nowe mieszkanie moje znów z robactwa czyścić byłem przymuszony z wielką uciechą gawiedzi, która pojąć nie mogła, dla czego robią to Polacy. Był to już schyłek 1835 roku i silne zawitały mrozy. Pierwsze dni po przeprowadzeniu się mojem zasmuczone zostały okropną wiadomością o wypadku Chełmickiego.

Chełmiccy bracia Roman i Eustachy zesłani byli do miasteczka Narim w Tomskiej gubernii o 600 wiorst od Tomsku ku północy. W miasteczku tem, tysiąc kilkaset ludności liczącem, był niejaki Sa charow za-

siedatkiem (podsędkiem) i gorodniczym razem.

Znajdowało się tam również kilku innych wygnańców. Po kilku miesiącach mieszkania, Roman Chełmicki poszedł do kupca po herbatę i zastał tam pijanego już Sacharowa, który do wchodzącego Romana odezwał się: „sztoż to Roman Fadijewicz (syn Tadeusza) nie znajesz szto sicwodnia dień majewo angiela (imieniny), wypijka riumoczku za mojo zdorowje.“ „A i owszem panie naczelniku, odpowiedział Roman, ale ja wódki nigdy nie piję; panie kupiec, daj mi kieliszek wina, abym wypił je za zdrowie naczelnika“, i z podanym sobie kieliszkiem obrócił się do zasiedatela winszując mu imienin, gdy ten krzyknął: „ach ty worka (włóczęga, wyrażenie pogardliwe), to ty smiejesz wino pit’, kaħda tvoj naczalnik potczywajet tiebia wodkoju“, i silnie uderzył go w policzek. Roman Chełmicki choć mały i szczupły, tak silnie oddał policzek zasiedatelowi, że ten nakrył się nogami, i krzyknął: „karau!“ Na ten głos wpadło kilku w sieni będących kozaków, Zasieda-

tiel zawołał: „kataj jewo plet'mi buntowszczika!“ Kozacy też porwali Romana, rozciągnęli zaczęli bić batami. Chelmieckiego zostawili wpół martwego. W takim małym miasteczku wieść o tym wypadku rozeszła się lotem strzały. Nadbiegli natychmiast brat Romana Eustachy i inni koledzy, zbitego Romana zanieśli do domu, gdzie kilka tygodni przeleżał. Nazajutrz zasiedatiel wytrzeźwiałszy, przysyłał pośredników, ofiarując 1000 r. asygnacyjnych (blizko 300 r. sr.), byle skargi nie podawał Chelmicki. Lecz Chelmicki pieniędzy nie przyjął i skargę podał. Pomimo najlepszego usposobienia jenerała Sulimy, przeniesiono tylko Chelmiczickich do Iszyna, a zasiedatiela oddano pod śledztwo i translokowano go na inną posiadłość, bo i cóż można było więcej zrobić? Zasiedatiel twierdził, że Chelmicki zelżył go słowami; zeznania Chelmickiego jako posilenca wiary nie miały, a świadkowie, jak to w Moskwie, nic nie widzieli i nic nie słyszeli. Może się dziwnem wydawać takie lekceważenie przysięgi przez świadków, lecz powiem tu, co się mnie samemu zdarzyło:

W muzyce był Polak Chojnowski; wpada on raz do mnie z rana, uskarżając się, że go urjadnik Karnauchof ukarał setką kijów w obliczu wszystkich bez zadnej przyczyny. Rozgniewany biegnę z nim do koszar, gdzie wszystkich zastaję muzykantów obecnych, przypadam do Karnauchowa, pytając się, za co ukarał Chojnowskiego. Urjadnik stojąc jak we froncie, odpowiada spokojnie, że go bić wcale nie kazał. Odwracam się do muzykantów i pytam o to samo, wszyscy w jeden głos odpowiedzieli: „ni kak niet.“ Do ostatniej przyprowadzony passji, kazałem Chojnowskiemu zrzucić odzienie i pokazać im różgami i kijami posieczone ciało; zapytałem a to co? Znowu jednogłośnie odpowiedzieli: „nie możem znat' wasze blahorodje.“ I przysięgniecie? pytam ich. „Prysiagniem“, odrzekli.

Moskał na gorącym nawet złapany uczynku, nigdy się nie przyzna. Należałoby mi wszystkich kazać bić bez miłosierdzia, nie mogłem tego zrobić, nie miałem serca kazać bić niewinnych z winnymi. Kara skończyła

się tem, że kazałem im grać cały dzień, aż do wieczora.

Przez cały ciąg siedmiu lat mego kapelmajstrostwa ani razu nie uderzyłem nikogo, chociaż miałem do tego prawo. Obmyśliłem środki który na ich moralną stronę podziałał więcej jak kara cielesna, do której od dzieciństwa są przyzwyczajeni i dla tego też nie robi na nich wrażenia. Skoro który na karę zasłużył, a trzeba wiedzieć, że cały chór muzyczny składał się z największych łotrów i pijaków, kazałem winowajcy ubrać się w paradny mundur, pulpity wynieść do wychodka, zabrać sobą nóry, i tam grać pół godziny, godzinę całą lub dwie. Miejsce to, jak w koszarach, licznie bywa uczęszczane, a usłyszawszy tam muzykę wszyscy się zbiegali, szydząc z grającego.

Środek ten okazał się nadspodziewanie silnym hamulcem i bardzo wielu poprawił zupełnie; w następstwie często się zdarzało, że skazany na tę karę włożył mi się u nóg błagając, żebym go na śmierć różgami zaćwiczył kazał, a od wstydu tego uwolnił.

A kiedy już wdaliśmy się w kary, opuścić nie mogę wspomnienia kary knuta jako najwięcej barbarzyńskiej i najciekawszej w Moskwie, a ponieważ ta później przez Mikołaja zniesioną została, opisanie więc jej będzie śladem historycznym.

W górnej części miasta Tobolska, przy jednej cerkwi był djak, który razem z popem odprawiał tam nabożeństwo, z żoną i ośmioletnią córką mieszkał obok cerkwi w domku osobnym i parkanem obwiedzionym. Był to sobie jak zwykle djak głupi, zabobonny, w wolnych od nabożeństwa godzinach pijany i obdzierający parafjan, o ile mu pop do obdarcia zostawił. Do djaka jednego wieczora zajechała telega, parą dzielnych koni zaprzężona. Wkrótce do izby wszedł tęgi chłop brodaty, i przeżegnawszy się przed obrazami, zaczął djaka ścisnąć jako z młodości znajomego. Przypomniawszy się sobie wzajemnie, zasiedli do herbaty, rozprawiając o różnych kolejach losu, jakie w ciągu niewidzenia się przechodzili. W końcu przyjezdny dodał, że mieszka w okolicach m. Jałutorska, że mu Pan

Bóg poszczenił i że przywiózł z sobą 20.000 r. asygnacyjnnych, gdyż pragnie podjąć się dostawy mąki dla wojska, i że mając tak znaczne pieniądze przy sobie, zajechał do djaka, jako do swego przyjaciela, na dni kilka. Djak i żona byli mu niezmiernie radowi, a że całe mieszkanie ich składało się z jednej izby, w niej więc usłali mu łoże i sutą uczęstowali wieczerzą, przy której niepoślednią rolę grała wódka Jerasieicz (zwykle używana, bardzo tęga, ma nazwisko od swego wynalazcy). Chcąc dobrze pojąć cały ten dramat tamże odegrany, należy znać topografię mieszkań moskiewskich. Składa się ono zwykle z dużej izby, okolonej ławą, w jednym kącie stoi piec ogromny, w który po napaleniu wstawiają garnki z jedzeniem, ażeby się ugotowało, i otwór zakrywają zastawą blaszaną. Potrawy tam zostają aż do ich spożycia. Również z wysokości pieca aż do drugiej ściany jest duża polica z kilku desek, na której kładą pościel i tam wszyscy sypiają. W przeciwnym rogu izby zawieszono są obrazy świętych, i ten kąt jest najszczytniejszym

miejszem w izbie, gdzie tylko tych sadzają, którym zaszczyt zrobić pragną; tamże i łoże dla przyjezdnego było usłane. Gdy już wszystkich sen uspił, djak z żoną zleźli z przypiecka i przerznąli gardło gościowi; po ograbieniu pieniędzy, konie do telegi gościa zaprzęgli, trupa na telegę włożyli i wyjechawszy wiorst parę za Tobolsk, porzucili telegę i konie w tundrach (tak nazywają stepy bagniste, porosłe małą brzezina i cedrami; takie tundry od Tobolska ciągną się aż do morza lodowatego). Djak był pewny, że konie z trupem przepadną na zawsze, pożarte przez dzikie zwierzęta, lub zbłąkane w stepie. Powróciwszy nadedniem do domu, umył się i poszedł do cerkwi spiewać jutrznię i podziękować Bogu, że mu się udało. (Moskał przed każdą kradzieżą lub zbrodnią, i po spełnieniu takowych, zawsze się żegna krzyżem świętym, a często nawet i świeczki za to pali w cerkwi. Zwyczaj ten jest powszechnym w całej Moskwie od cara aż do muzyka. Kradzież i zbrodnia są w ich religji.) Żona djaka uprzątnąwszy posłanie gościa, zaczęła palić w piecu, córka

obudziwszy się, zawołała: „mameńka daj kołacza“. A gdy matka kołacza odmówiła, córka rzekła: „mameńka daj kołacza, a to skażu“. „A szto skażesz?“ zapytała matka. Tu córka powiedziała, że widziała, jak matka z ojcem zarżnęli podróżnego, że słyszała, jak on chrapał, gdy go rżnęli i t. d. Matka na to rzekła: „zleż z przypiecka, a dam ci kołacza“. Dziecko zlazło i przyszło do matki, stojącej przed piecem, ta dziecko schwyciła i wrzuciła głowę naprzód do pieca, a potem otwór blachą zakryła. Bóg nie chciał bezkarnie zostawić tak okropnej zbrodni. Lud idący do cerkwi, dostrzegł niezmiernie czarny dym, idący z komina w domu djaka, zaczął się przed domem gromadzić, a następnie pukać do domu, że się pali. Żona djaka nie otwierając drzwi, zaprzeczała, ale tłum wzrastał, nakoniec tłumnie wpadli do domu i poczuli swąd niezwykły; żona djaka tłómaczyła się rozlaniem tłuszczu na blachę, ale z dopuszczenia boskiego wiatr z komina do drzwi otwartych wywrócił blachę, piec zamykającą, i wśród tlejącego się zarzewia ujrzano dwie nóżki dziecięce i całe ciało już

zgorzale. Lud zdrętwiał z przerażenia na widok tak okropnej zbrodni; babę i djaka przy wyjściu z cerkwi aresztowano. Przy śledztwie nie zapierali się i wszystko wyznali. Djaka skazano na 9 uderzeń knuta, a żonę jego na 5 uderzeń, a potem na piętnowanie i do ciężkich robót na całe życie.

Szczegóły te wyjęte są z aktów kryminalnych głównego sądu w Tobolsku, znajdujących się i dziś zapewne w miejscowym archiwum.

Byłem świadkiem ich knutowania, o czem poniżej, a teraz wróćmy się do knuta.

Knut jest to rodzaj bicia, czyli harapnika. Składa on się z dwóch części: najprzód z samego knuta tak zwanego, który corocznie stosownie do przepisanej prawem formy jako wzór (*obraziec*) do każdej gubernji przysyłany bywa z Petersburga. Jest to kawałek rzemienia w kształcie pryzmatu, długości ćwierć łokcia, a grubości na $\frac{3}{4}$ cala, z grzbietowej skóry wołowej, na jucht wyprawionej; koniec jeden zaopatrzony jest uszkiem, i cały w oleju wygotowany, później zaszuszony tak, że twardością wyró-

wnywa kości prawie i nawet nożem naderżnąć się nie daje. Druga część składa się ze zwykłego harapnika długości około $2\frac{1}{2}$ łokcia, z rzemienia plecionego, osadzonego na trzonku łokciowym. Do chlastu tego harapnika, t. j. do jego cieńszego końca, przytwierdza się za uszko ten kawał rzemienia, wygotowanego w oleju, i ten harapnik z tym rzemieniem razem nosi nazwisko knuta.

Katów takich jak w Europie nie ma w Moskwie, tam każdy zbrodniarz skazany do ciężkich robót, byle był zdrow i silny, i byle życzenie swoje do tego objawił, może być katem i złożyć dowody uzdolnienia swego, a te są: kładą deszczułkę z łubu zwykłego, na ćwierć cala grubą, pochyło przytwierdzoną na zwykłej desce; kandydat odstępkuje od niej na jakie 15 kroków, a zatrzymawszy się chwilę, szybkim napowrót do niej zbliża się krokiem, w czasie zbliżania się robi odmach, trzymając knut w prawem ręku za trzonek, i stanąwszy u deski, uderza w łubową deszczułkę tak, żeby tylko przyzmowy rzemień przyległ do łubu, a za

każdym uderzeniem, żeby wyciął z tego łubu na wylot okienko równe wielkości knuta. Uderzenia te padać muszą regularnie w podłużnym kierunku, w równej od siebie odległości i w równej ilości, najprzód po lewej a potem po prawej stronie na deszczulce. Ślady te muszą pozostawić kształt ukośnej kraty. Po wykazaniu zdatowności swojej, kandydat zostaje rzeczywistym katem, zostaje uwolniony od ciężkich robót, lecz resztę życia musi przemieszkać w zabudowaniach więziennych, z kąd mu nie wolno wychodzić bez straży, dostaje 120 r. asygnacyjnych (koło 35 r. sr.) płacy rocznie i małe wynagrodzenie od każdej egzekucji knuta.

Przechodząc raz przez plac bazaru, usłyszałem odgłos bębna, i ujrzałem liczne zbiegowisko ludu. Dowiedziałem się, że to na widowisko knutowania zapraszają, a lubo mam wstręt od podobnych przedstawień, wszelako ciekawość przemogła, bo nie widzieć knutowania w Moskwie, byłoby to samo, co będąc w Rzymie, nie widzieć papieża. W okręgu mającym średnicy może

50 łokci i podwójnie okolonym szpalerem wojska, znajdował się wkopany pochyło pal, może 2 cale grubości mający, a 3 łokcie wysokości, wierzchni jego koniec był wyżłobiony, a tuż pod tem dwa wycięcia półkolne. Wewnątrz okręgu z boku stał policmajster na koniu z jakimś urzędnikiem w mundurze, przeczytali wyrok stojącemu obok nich zbrodniarzowi, otoczonemu strażą, potem rozkuto skazanego, obnażono go po pas i poprowadzono ku wkopanemu palowi, tam bosc nogi jego włożono w rodzaj kaloszów, będących przy dolnym końcu pala i rzemieniami mocno przytwierdzono; mając nogi tak skrępowane, skazany leżał piersiami na palu, szyja jego trafiła na wierzchnie wyżłobienie, a pachy w boczne ujęcia, ręce pod palem związane. Kat wtedy szerokimi jak dłoń rzemieniami przywiązał mu kilkakroć kark do pętli, zrobionych przy palu. Te przywiązania rzemieniem robią dlatego, żeby najprzód unieruchomić winowajcę, a powtóre, żeby kark osłoniwszy zabezpieczyć go od śmierci, bo gdyby kat przez niezręczność uderzył go knutem w to

miejsce, zabiłby niechybnie, a pod najsurowszą osobistą odpowiedzialnością kata nie wolno mu zabić skazanego. Po dopełnieniu tych wszystkich formalności, policmajster, staje z jednej, a doktor z drugiej strony skazanego. Po każdym uderzeniu, doktor bada puls skazanego, czy resztę kary wytrzymać może. Gdy doktor widzi, że skazany więcej razów wytrzymać nie może, daje znak, natychmiast skazanego odwiązują, wiozą do lazaretu, leczą, a po wyleczeniu tyle razy knutowanie powtarzają i leczą naprzemian, dopóki skazany nie odbierze naznaczonej wyrokiem ilości knutów. Kat, silny chłop, w czerwoną ubrany koszulę, odstąpił kroków może 13 od pała, chrapowato krzyknął: „dierżyś“, i szybkim napowrót do pała zbliżył się krokiem, świsnął knut w powietrzu, skazany jęknął, na plecach krwawa wystąpiła bródka, wyrwane knutem ciało krwistą wstążką uleciało, i doktor za puls wziął pacjenta. Troskliwość rządu o zdrowie pacjenta wśród takiego barbarzyństwa, jest charakterystyczną i ma w sobie coś tak podłego, jak zabawy kota

z myszą. Odwróciłem się i więcej patrzeć nie mogłem, dochodził tylko do uszu moich jęk karanego i świst knuta 8 razy powtórzony. Po odwiązaniu, ze zboczonymi plecami przywleczony został przed kata, ten miał już w ręku 3 pieczętki nabite sztyftami (jak u nas do znaczenia owiec używają), te po kolei przykładał na czoło i na policzki, wbijając je pięścią drugiej ręki w ciało, i przygotowanym proszkiem z miałkiego prochu zatarł te miejsca. Zwyczajem jest, że po egzekucji lud zebrany rzuca jałmużnę skazanemu. Z niemałym zadziwieniem ujrzałem, jak skazany cały krwią zboczony, rzucane mu pieniądze zbierał, skacząc w „prysiuły“ i w dodatku popisywał się więziennymi conceptami. To był właśnie ten djak, którego zbrodnię wyżej opisałem. Żonę jego poprzednio karano, czego nie widziałem, lecz powiadano, że nie tak obojętnie zniosła karę swoją, chociaż mniejszą.

Dawnymi czasy za ojcobójstwo i świętokradztwo karano 303 uderzeniami knuta, zamiast zaś piętnowania, wyrywano nozdrza i obcinano końce uszu. Za panowania Ale-

ksandra I zmniejszono tę liczbę do 33 uderzeń i zniesiono wyrywanie nozdrzy i obcinanie uszu, a na to miejsce wprowadzono piętnowanie. Mało wprawdzie, ale zdarzyło mi się widzieć kilka egzemplarzy z wyrwanymi nozdrzami; odrażający to widok. Piętnowanie nie musi być tak bolesnem i nie uzwierzęca tyle twarzy, gdyż winowajcy zaraz po piętnowaniu przykładają na te miejsca szmaty, maczane w serwatce, i to przez kilka tygodni, zamieniając je od czasu do czasu wezykatorjami, przez co znikają ślady prochu i pozostaje tylko na zawsze miejsce czerwone, które długimi włosami i faworytami zakrywają.

Mówiono mi, że wyroki skazujące na pędzenie przez różgi, dwojako bywają dawane. Jedne bez żadnej wzmianki, i takowe są wykonywane w przytomności doktora, puls badającego, gdzie po wycierpianej karze, winny koniecznie żyć jeszcze musi, a to pod osobistą odpowiedzialnością doktora, choćby za każdym uderzeniem przyszło odwozić skazanego do szpitala dla leczenia; drugie ze wzmianką: *bit' bez poszczady* (bić

bez miłosierdzia, i w takim razie w przeddzień egzekucji winny spowiada się, i choćby umarł w czasie egzekucji, żadna za to odpowiedzialność na nikim nie ciąży.

Skazanych wyrokiem tego ostatniego rodzaju przywiązują w lecie na półwozu, a w zimie na sankach, i przeciągają pomiędzy dwoma szeregami żołdatów, dopóki liczba oznaczona wybitą nie zostanie. Jeżeli wytrzyma, co bardzo rzadko się zdarza, odwożą skazanego do szpitala, a przewodniczący egzekucji surowe dostają napomnienie; a jeżeli umarł, po wybiciu reszty uderzeń na trupie, zakopują go w dół, i woła carska spełniona.

Naoczni i wiarogodni świadkowie opowiadali mi, że był jakiś rozbójnik, który 5 razy uciekał z Syberji, i za każdym razem a zawsze za nowe morderstwa był knutowany i odsyłany do Syberji. Za szóstym razem skazany został na najwyższą karę, tj. na 33 knutów, z dodatkiem *bił bez poszczady*. Sprowadzono trzech katów, żeby każdy po kolei odliczył część trzecią tej kary. Winny 30 już knutów wytrzymał, naigrawając się

z katów, że bić nie umieją, i zdawało się, że i ostatnie 3 knuty wytrzyma. Policmajster zbliżył się do knutującego kata i rzekł mu: „Szelmo, jak go nie zabijesz, to ciebie każę knutować“. Kat z zimną krwią na to odpowiedział: „Jaśnie wielmożny panie, pozwól, żebym go lepiej przywiązał, bo się obluzował“. Policmajster skinął głową, kat podskoczył do pała i szyję winnego silnie rzemieniami ścisnął. Winny ochryplym i przyduszonym głosem zaczął wrzeszczeć: „Prawosławny narodzie, nie karzą lecz duszą mię“, ale już knut w powietrzu świsnął, a po drugim uderzeniu skazany skłonił głowę, a po trzecim odwiązano już trupa.

Jest jeszcze rodzaj kary *pletju*, tj. batem, kat ją wykonywa w więzieniu, bez pomocy, sam jeden. Jest do tego deska blisko 3 łokcie długości mająca, z wyłobieniami w obu końcach. Deskę tę skazanemu przykładają w poprzek od piersi a ręce przytwierdzają w wyłobieniach na końcu deski będących. Na nogi zakładają petlę, kat podrywa koniec powrozu do petli i powróż przystępuje nogą, winowajca po poderwa-

niu nóg pada na twarz, a kat batem ukośną kratę wycina na plecach obnażonych.

Chociaż bolesna ale i zabawna jest kara żołnierzy kijem. Oficer wywołuje żołnierza przed front, o 10 kroków przed frontem żołnierz staje, spuszcza broń do nogi i opiera się na niej. Przybliża się dwóch podoficerów, dobywają kije (które powinni mieć zawsze gotowe w lufach), a w braku kijów biorą stemple, podnoszą poły i biją; podówczas karany musi w takt przeskakiwać z nogi na nogę. Po skończonej karze spuszcza poły, ukarany bierze broń na ramię i wraca do frontu.

Ale dosyć o tych karach, które nie wiem jakie na cierpiących robią wrażenia, ale przytomnych przejmują zgrozą i oburzeniem, a czytających wstrętem.

ROZDZIAŁ VII.

Teatr amatorski. — Doktor homeopata. — Jenerał Gołasiejew. — Szelmstwo jenerała Broniewskiego. — Krantz. — Hildenhagen. — Markiewicz. — X. Sierociński. — Doktor Szokalski. — Wyrok. — Egzekucja. — Krwawa sala. — Arnold Byszewski.

Już mroźna nastąpiła jesień, śniegi ziemię pokryły, jenerał Gołasiejew wyjechał był na objazd wojsk i w podróży miał zabawić kilka tygodni. Na wieczorze w domu jego Jakób Iwanowicz Czerniawski, krewny jenerałowej, podał myśl, żeby w styczniu na imieniny jenerała urządzić teatr dziecinny, w którym prócz dzieci jenerała wzięłyby udział i inne dzieci z towarzystwa miejscowego. Mnie jako kapelmistrzowi poruczono dorobić muzykę do części literackiej, t. j. do sztuki mającej być napisaną przez Czerniawskiego i Czyżowa. Urządzenie sceny i

dekoracji wziął na siebie tenże Czerniawski. Gdy projekt był zrobiony i przyjęty, wszyscy się wzięli z zapalem do jego wykonania, i wybrano osoby i dzieci, które w przedstawieniu tem figurować miały. Czerniawski z Czyżewem napisali sztuczkę stosowną do okoliczności, ta była rodzajem operetki przeplatanej prozą djalogowaną, i miała tytuł: *Udacznyj wystrzał, ili Gussar uczyciel* (dobry strzał, czyli huzar nauczycieli).

Osnowa jej była: Roztrzepany i niepoprawny malec, syn oficera, przez swoje pustoty i nierozwagę stał się ciężkiem zmartwieniem dla ojca, a gdy pomimo prośb siostry i nauczyciela nie chciał się poprawić, oddał go ojciec pod nadzór starego huzara; ten przestraja chłopca po huzarsku, jakby przyjętego do wojska, a gdy i karność niby wojskowa nie była w stanie uskromić młodzieńca, robią więc niby na niego sąd wojenny, który skazuje go na rozstrzelanie pomimo prośb za nim matki, siostry i guwernantki. W tem daje się słyszeć wystrzał, z razu nie wiedzą co to znaczy, sądzą,

że to stary huzar się zastrzelił z rozpaczy, że syn jego pana tak haniebnemu uległ wyrokowi. To tak wpływa na umysł chłopca, że się wyrzeka wszelkich zdrożności i przysięga poprawę matce. Ojciec mu przebacza i huzar się zjawia, mówiąc, że rzeczywiście był w rozpaczy, i że pistolet przypadkowo mu wystrzelił. Radość ogólna, dzieci tańczą rodzaj baletu, kortyna zapada. Treść pokazuje, że autorowie nie wiele nad nią smażyli głowy, dla mnie jednak chociaż głupiem ale trudnem było to zadaniem, bo z osób wchodzących do sztuki, połowa dzieci ledwo początkowo pojmowała muzykę, a z 6ciu dorosłych mężczyzn i kobiet, jedna tylko pani Iwanowska śpiewała i to dawno już przekwitłym głosem. Całą więc resztę, jakkolwiek łatwych melodyj, trzeba było uczyć przy skrzypcach jak kanarków. Przy skrzypcach nareszcie już jako tako śpiewali, ale jak przyszło do próby z orkiestrą, tak ani rusz, aż rozpacz brała. Tym czasem styczeń się zbliżał, Nikolskie były mrozy, a sala, w której próby bywały była nieopalaną, i często przechodząc z ciepłego

pokoju do zimnej sali, zachorowałem na gwałtowne zapalenie gardła. Dr. Sadowski utrzymywał, że to zapalenie migdałów, zwane żabą, radził mi wziąć na wymioty, obstawić gardło 20tu pijawkami i ze trzy tygodnie nie wychodzić z domu, a tu 10 dni tylko zostawało do przybycia generała i do wykonania kompozycji mojej. Ból mój dokuczał mi srodze, ani jeść, ani mówić nie mogłem, lecz chęć popisania się i usłyszenia własnego utworu, usuwała zdrowie na drugi plan, stawiając mi na przodzie laurowy wieniec kompozytora. W sztuce, którą grać miano, rola guwenera powierzoną była generał-doktorowi korpusu, Iwanowi Iwanowiczowi Arnhold; był to człowiek lat 60 mający, o którym różne rzeczy prawiono, i tak: że w 1812 r. był żydkiem i konowałem w konnicy, tam miał się przechrścić na wiarę ewangelicką; że w skutku tego i dla braku doktorów w czasie kampanji został felczerem, a następnie lekarzem bataljonu. Będąc w tym stopniu, przeszedł na prawosławie, dosłużył się stopnia inspektora aptecznych zapasów w Kijowie, z kąd posu-

nięty został na jenerał-sztabs-doktora oddzielnego korpusu syberyjskiego. Pokryty wstęgami i orderami, zyskał sobie ogólną opinię u podwładnych i u kolegów, że nic nie umie. Ujrawszy mię na próbie z mocną chrypką i z gardłem obwiązaniem, prosił mię, żebym do niego udał się po radę.

W Sadowskim, znamienitym doktorze, miałem całe zaufanie, ale cóż kiedy mi zagroził 3ma tygodniami pokuty w domu i innymi specjałami lekarskimi, a tu sam mi się nastrecza drugi doktor, nieposiadający żadnego u mnie zaufania i z ustaloną reputacją największego osła. Trudno było się zdecydować, ale trzymając się przysłowia: „kupić, nie kupić, potargować wolno“, naza-jutrz rano otuliwszy się futrem, poszedłem do p. jenerała sztabs-doktora. Przyjął mię grzecznie bardzo w salonie, zajrzał mi do gardła, i nie macając pulsu, zaczął mię się wypytywać o rzeczy, które mi się zda-wały dziwnymi drobnostkami, potem wyszedł do drugiego pokoju i wrócił niosąc dwie flaszeczki. Jedna była zupełnie próżna; odkorkowawszy ją, przytknął do mego no-

sa i silnie powąchać kazał. Zrobiłem to, lecz żadnego nie czułem zapachu. Zatknąwszy próżną flaszeczkę, schował ją do kieszeni i podał mi drugą w której było ze 20 piguleczek białych, wielkości ziarnka maku, z których polecił mi codziennie, po 3 ziarnka zażywać wieczorem, idąc spać, a potem miałem znowu zgłosić się do niego. Nie wiem, czy to siła wyobraźni, czy inna jakaś przyczyna, ale na drugi dzień było mi lepiej, a na trzeci dzień tak byłem zdrow, że mu nawet podziękować poszedłem. Pomimo tego, żem codzien wychodził, wyzdrowiałem zupełnie i obszedłem się bez pijawek i innych leków.

Wyzdrowienie moje przypisując jedynie jakiemuś wypadkowi, którego sobie wytłómaczyć nie mogłem, puściłem je w niepamięć, żadnej nie przywiązując wiary do branego lekarstwa. W rok później zachorowałem. Stubendorf, nadworny doktor ks. Górczakowa, Kurlandczyk, uczeń uniwersytetu Dorpatskiego, przez 3 miesiące pasł mnie ciągle miksturami i proszkiem z tartego rumianku, który po 3 razy na dzień

po łyżce stołowej zażywać musiałem bez żadnego skutku. Przypomniałem sobie mego p. Arnholda i znowu jakby dla próby udałem się do niego. Odbywwszy ze mną taką samą jak poprzednio scenę i wypytując się o różne rzeczy, dał mi coś powąchać i kilkanaście ziarneczek białych, które polecił zażywać pod wieczór codziennie po trzy, idąc spać. W trzy dni znowu wyzdrowiałem, a lubo w czary nie wierzyłem, musiałem jednak przyznać, że jeżeli to był szarlatanizm jaki, to nie był on tak złym bardzo, kiedym od niego wyzdrowiał. Wówczas nie znałem jeszcze systematu Hane-mana i o homeopatji nic nie słyszałem, gdy skutków jej doświadczyłem i przekonałem się, że opinia o p. Arnholdzie była mylną.

Tymczasem nadszedł dzień imienin jenerała Gołasiejewa. W gmachu gimnazjalnym, położonym naprzeciwko mieszkania jenerała, miała miejsce reprezentacja mojego utworu z powszechnym aplauzem. Była to wielka nowość dla Tobolska, bo chociaż przed laty istniała tutaj trupa aktorów, z posieleńców

złożona, i był budynek teatralny, jednak ten przed 50ciu laty został rozebrany. Łatwy więc bardzo był tryumf i można sobie wyobrazić, z jakim zapalem przyjęto tę nową dla siebie zabawę. Sława moja kompozytorska zolbrzymiała do niepojętych rozmiarów i poszczycić się mogę na przekor moim europejskim kolegom, że przez pół roku w Tobolsku tylko o mojej kompozycji mówiono jedynie, nie mając nic innego do mówienia.

W czasie owej zimy przejeżdżało przez Tobolsk dwunastu młodych urzędników, jadących na służbę do Kamczatki. Byli to prawie wszyscy Litwini, którzy chcieli tym sposobem los swój polepszyć. Rząd albowiem zapewniał znakomite korzyści tym urzędnikom, którzy pragnęli się poświęcić na służbę w te oddalone miejsca. Jadący na służbę do Kamczatki, dostawał rangę wyższą o jeden stopień, podwójne koszta podróży, i jedną trzecią część pensji na zaprowadzenie gospodarstwa jako gratyfikację, a po 3ch latach służby znowu awansował o jedną rangę wyżej. Dla każdego, co chciał

w urzędowaniu zrobić karierę, były to znakomite korzyści, ale do tego trzeba było być młodym i zdrowia silnego.

W Moskwie wszystkie urzędy dzielą się na klasy, a urzędnicy mają rangi. Wymieniać ich tu nie będę, bo są znane. Były one zaprowadzone przez Piotra Wielkiego, każda ranga ma inny właściwy tytuł i inne prerogatywy, które rozmaitym zmianom uległy i ulegają.

Roku tego 1836 odegrał się w miesiącu lutym d. 22. v. s. najsmutniejszy i najokropniejszy dramat dla nas Polaków, t. j. wykonanie wyroku na uczestnikach tak zwanego buntu Polaków, zręcznie ukartowanego przez Moskali, korzystających z lekkomyślności naszej. Dla zrozumienia całego tego wypadku cofnąć się nam trzeba aż do r. 1832. Był to rok, w którym jeńców wojennych i przestępców politycznych massami przesyłano na Syberję. Tobolsk był punktem, przez który wszystkie partje przechodziły, a w każdej Polaków było najmniej kilkunastu, wielu z nich tak w wojsku jak i na mieszkaniu zostawało się w Tobolsku,

reszta zaś rozpraszała się po wszystkich stronach zachodniej Syberji. Wielu bardzo potrafiło się umieścić w pułkach kozaków liniowych syberyjskich, bo natura Polaka ciągnie zawsze do konia i zawsze lepiej woli służyć w jeździe, niżeli w piechocie. W tej masie przesłanych Polaków z Królestwa, Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, mnóstwo było krewnych z sobą i przyjaciół, a wszyscy prawie z sobą znajomi jeżeli nie dawniej, to przechodząc przez Tobolsk, poznajamiali się nawzajem. Korespondencja przez pocztę była niepodobna, jako wzbroniona, ale przechodzący partjami podali zręczność przenoszenia listów do znajomych w różne punkta Syberji. Wówczas powstała między Polakami myśl desperacka, szukania swobody uciekając *en masse* przez Bucharję do Indji, a ztamtąd do Europy. W skutku powziętego zamiaru rozpoczęto wiązać się w pewien rodzaj spisku, ropowszechniając go za pomocą korespondencyj, przesyłanych przez partje przechodzące. Twórcą tego związku miał być dr. Szokalski z uniwersytetu wileńskiego, zesłany na służbę do 1go bata-

ljonu tobolskiego i z pozbawieniem praw cywilnych. Domiemanymi zaś naczelnikami całej wyprawy Moskale uważali Piotra Mo-
szyńskiego i ks. Romana Sanguszkę, wówczas znajdujących się w Tobolsku i skazanych jednego na posilenie, a drugiego w soł-
daty. Zamiarem działających miało być niby wpływanie moralnie na lud i wojsko, w ra-
zie potrzeby owładnięcie bronią i przerznię-
cie się do Bucharji, a gdyby się udało
zbuntować Syberję, oderwać ją od Moskwy
i utworzyć nowe oddzielne państwo. Cho-
ciaż myśl ta wydaje się bardzo romantyczną,
miała jednak i pozory za nią przemawiające :
odległość 1000 wiorst od Moskwy, nie-
praktyczna do przebycia dla wojska droga
w rychłym czasie, korpus syberyjski z 19.000
złożony, rozsiany po całej Syberji, liczył trze-
cią część Polaków, a w rządzie całej Syberji
zaledwie i to z trudnością naliczyłby kilku-
nastu ludzi zdolnych. Czy zamiar ten istniał
rzeczywiście, czy był po prostu gawędką
na wiatr, dociec trudno, bo rząd prócz kilku
niejasnych listów i niedorzecznych zeznań,
nie miał żadnych innych dowodów, podo-

bało się jednak rządowi uznać to za bunt i ukarać najokrutniej, najniełitościwej.

Znajdował się wtedy w Tobolsku niejaki Krantz, brat zegarmistrza z Warszawy (w domu Petyskusa), zesłany był do wojska i służył w inwalidach. Stary, chorobę nieuleczoną cierpiący, bywał jako Polak we wszystkich polskich towarzystwach, tam wśród innych gawędek słyszał, jak coś o Bucharji i Indji rozmawiali, a jako ewangelik, żyjąc w ścisłej przyjaźni z pastorem gminy Tobolskiej, Hildenhagenem, powtórzył to co niedokładnie zasłyszał, wymieniwszy przy tem nazwiska wszystkich udział w rozmowie mających. Hildenhagen zaraz nazajutrz pospieszył do Siemiona Bohdanowicza Broniewskiego, ówczasowego jeneralnego naczelnika sztabu, i donosząc mu wszystko co słyszał, zwrócił jego uwagę na niebezpieczeństwo grożące rządowi carskiemu. Broniewski z przyczyny popełnionych nadużyć był źle od rządu widzianym, chwycił więc tę wiadomość jako sposób do zatarcia swoich przestępstw, i doniesieniem o tej mniemanej zbrodni chciał przekonać

rząd o sprężystości swojej i niezachwianej wierności. Zawiadomiony przez niego generał-gubernator Weljaminow, łagodny i poczciwy starzec, nie mógł uchylić się od wydania rozkazu aresztowania podejrzanych Polaków, wyznaczył komisję śledczą, w której prezydował dyżurny sztabs-oficer podpułkownik Lew Iwanowicz Czerkasow, i prowadzenie całej tej sprawy zdał na Broniewskiego.

Natychmiast rozprószyli się gońcy na wszystkie strony z rozkazem aresztowania wszystkich podejrzewanych w tej sprawie Polaków, i tejże nocy wszyscy Polacy znajdujący się w Tobolsku, aresztowani byli i osadzeni w ostrogu i w koszarach. Co w tem najdziwniejszego było, że Moskale nie ufając swoim żołnierzom, żeby się przekupić lub spoić nie dali, wszystkie warty i sztydwachy obstawili Polakami, więcej im ufając jak swoim; i tak Polacy musieli na Syberji pilnować swoich współbraci.

Był wtedy w Omsku pułkownik kwatermistrzostwa, Markiewicz, podobno z polskiej rodziny, człowiek bardzo wykształcony i

światły, zajmował on tam miejsce obłastnego naczelnika, t. j. jakby gubernatora tej części kraju, która nosiła miano Omskoj obłasti. Obarczony liczną familją i dbały o jej wychowanie, poznał się z przechodzącym w partji x. Sierocińskim kanonikiem wileńskim, który za udział w rewolucji 1831 r. skazany został na posilenie w Syberji z pozbawieniem wszystkich praw. Markiewicz poznawszy w x. Sierocińskim człowieka prawego i wykształconego, wyrobił mu, że go w Omsku pozostawiono, zdaje mi się przypisując go do jednego z pułków kozackich; ofiarował mu miejsce nauczyciela w domu swoim, oraz mieszkanie i stół. W oczach rządu już to było wielką zbrodnią, że tak znaczny urzędnik považał się przyjąć do siebie Polaka, wygnańca politycznego, a tem większą, iż mu wychowanie swych dzieci powierzył. Znajdował się tam także Góski, posileniec, który się mianował księciem Druckim-Górskim, zesłany na Syberję nie za polityczne przewinienia, lecz za sromotne i nieczne przestępstwa. Człowiek ten życia rozpustnego i najpo-

dlejszych namiętności, mając urazę do Markiewicza, który nie pobył w jego sprośnym postępowaniu, denuncjował go do generał-gubernatora: że Markiewicz sposobem myślenia nie zasługuje na zaufanie rządu, że wychowanie swych dzieci powierzył Polakowi, przestępcy politycznemu, i że tegoż Polaka sposób myślenia podziela. Denuncjacja ta zbiegła się w Tobolsku prawie jednocześnie z denuncjacją Hildenhagena i Krantza. W pierwszej zaraz chwili aresztowano Sierocińskiego i Górskiego, a nad Markiewiczem tajemnie rozciągnięto ścisły dozór; papiery ich zabrano, opieczętowano i odesłano do komisji, śledczej w Tobolsku. Sierociński, człowiek światły ale marzyciel, bardzo pracowity, lubiący wszystko sobie notować, jako uczony kochał się w drobnostkowym porządku. Projekt ucieczki do Bucharji silnie uderzył jego umysł, a może nawet i w jego ulął się głowie. Wszystkie myśli jakie mu się marzyły, spisywał on codziennie w rodzaju dziennika, utrzymywanego jak najporządniej, wymieniając w nim wszystko z całą ścisło-

ścią, nazwiska osób, miejsca ich pobytu, gdzie, co, kiedy i od kogo słyszał lub dowiedział się, od kogo i przez kogo list jaki odebrał, zgoła tak szczegółowo były wszystkie jego stosunki opisane, że żadna w świecie policja nie byłaby w stanie podobnego zrobić sprawozdania. Oprócz tego miał kompletne akta całej swej korespondencji, w których wszyte były jak najporządniej porządkiem dat wszystkie listy, jakie odebrał z treścią odpowiedzi zanotowanych na drugiej stronie każdego listu. Poczciwy Sierociński nie przypuszczał, żeby mogły być rewidowane papiery jego, gdy mieszkał u naczelnika tej części kraju. Kardynał Richelieu miał powiedzieć: „Dajcie mi dwa słowa przez kogokolwiek napisane, a będę mógł prawnie go za to powiesić.“ Cóż dopiero mogła uczynić komisja śledcza w Tobolsku, dostawszy w ręce taki obfity w rozliczne szczegóły materiał. W kilka dni potem wielu z aresztowanych wypuszczono na wolność, między nimi Sanguszkę, Piotra Moszyńskiego, Dołkiewicza i innych do których przyczepić się nie mogli. W więzie-

niu zaś pozostałych komisja śledcza badała, używając sposobów zwykle przez Moskwę używanych, które w niczem nie ustępują sposobom przyjętym przez komisję śledczą w Warszawie.

Między listami zabranymi u Sierocińskiego, nic nie znaleziono godnego potępienia. W jednym z listów znajdowały się słowa: „Cóż sobie teraz pocnie ta biedna Polusia, kiedy ją tak haniebnie Franusia i Anielka zdradziły?” Ten to list uznano jako politycznej treści, jakby imiona własne dziewcząt w nim użyte, oznaczać miały Polskę, Francję i Anglję. Po kilku miesiącach śledztwa w Tobołsku, wszystkich więźniów przeniesiono do kazamat w Omsku, gdzie już do końca całej tej sprawy siedzieli. Tam także odbywał się sąd wojenny, ale wszystko pokryte było taką tajemnicą, że z milczenia tego rokowaliśmy, że się to skończy bardzo małą karą, albo niczem. W początkach zimy doszła nas tylko wiadomość, że dr. Szokalski uciekł z więzienia, a wkrótce potem dowiedzieliśmy się, że o sto kilkadziesiąt wiorst zamtąd schwytanym został przez prapor-

szczyka Ledeniewa w bliskosci miasteczka Petro-Pawłowska, i odstawiony napo zró t do więzienia. I znowo było cicho, aż w środku lutego przyleciał z Petersburga feldjeger. Nazajutrz po jego przybyciu, naczelnik sztabu generał Gałasiejew wraz z swoim adjutantem kapitanem Choroszkiewiczem wyjechali do Omska. W tydzień dopiero kiedy się wszystko już skończyło, przeraziła nas okropna wiadomość, że wyrok w sprawie tej zapadł i wykonany został.

Skazani w liczbie sześćdziesięciu kilku podzieleni byli na 6 kategorii, z których pierwsza tylko czterech obejmowała skazanych każdy na 6000 różg, a jeżeli wytrzymają, na zesłanie do ciężkich robót.

Druga kategoria obejmowała skazanych każdy po 4000 różg i do ciężkich potem robót.

Trzecia kategoria obejmowała skazanych każdy po 2000 różg i potem do rot aresztanckich.

Czwarta kategoria obejmowała skazanych każdy po 1000 różg.

Piąta obejmowała skazanych każdy po 500 różg, a potem do aresztanckich rot w Orenburskiej gubernji, i

szósta obejmowała skazanych na wieczne czasy w żołdacy na Kaukaz i bez wysługi.

W d. 22. lutego v. s. o 6ej godzinie z rana, na placu koszar kozackich w Omsku stanęły 3 bataljony w kolumnach, cały zaś plac otoczony był kozakami i artylerją kozacką. Około 8 godz. gdy ledwie o tej porze świtać zaczynało, bataljony sformowały się w 3 szpalery, w środku których było zbudowane rusztowanie. Wkrótce potem nadjechał generał Gołajiejew z całym sztabem, i zdaleka słyszeć się dały dzwonki sanek wiozących z kazamat więźniów na plac egzekucji. Na czele ich przywieziono Markiewicza i wraz z innymi więźniami wprowadzono go na rusztowanie, na którym się już znajdowali Gołajiejew z orszakiem. Po oddaniu honorów wojskowych, generał-ober-audytor otworzył kopertę, w której znajdował się wyrok przez cara potwierdzony, skazający

najprzód Markiewicza na pozbawienie wszelkich stopni wojskowych, orderów i szlachectwa, dozwalając mu w drodze szczególnej łaski i przez wzgląd na jego poprzednie zasługi żyć na wolności w państwie całym, wyjąwszy stolicę obie. Dalej wyrok obejmował kategorie wyżej wspomniane.

Po odczytaniu wyroku, zdarto szlify i ordery z Markiewicza, a nad głową jego złamano szpadę. Następnie skazanych przywiązano na sanki i zaczęto wozić pośród trzech uformowanych przez wojsko szpalerów. Sierociński ledwo 500 różg przeszedł, Bogu ducha oddał; resztę kary już tylko na trupie jego różgami doliczono. Za ledwie o 5tej godzinie wieczorem, gdy już dobrze ciemno było, skończyła się ta okropna uroczystość carska. Umierających, posieczonych, zawieziono do szpitala, a w sali gdzie ich złożono, krew grubo zbroczyła podłogę, tak, że od dnia tego sala dostała miano krwawej sali. Jedenastu zasieczono na śmierć, ciała ich w grobie wspólnym zagrzebano na cmentarzu miejscowym, a niewiadoma

ręka na ich mogiłę wtoczyła wielki kamień granitowy i na nim wykula nazwiska jedenastu ofiar, spoczywających pod tym głazem. Zadziwiająca jest rzeczą, że rząd obojętnie przyjął ten pomnik; w kilka lat później oglądałem go naocznie i odjeżdżając widziałem go jeszcze nietkniętym.

Z wszystkich trzech pierwszych kategorii, jeden tylko karę wytrzymał dr. Szokalski. Gdy wyleczony później przechodził z partją jako skazany do ciężkich robót, widziałem go w Tobolsku. Okropny był jego widok, na twarzy zwłaszcza, gdyż różgami miał nos przecięty, i zagłębienie chociaż zagojone widocznem było; winien on był życie litości doktora, który przy egzekucji zalecał żołnierzom, żeby go lekko bili. Doktora tego natychmiast wydalili, posyłając go na służbę w step kirgizki. Niedługo się cieszył biedny Szokalski uratowaniem życia, bo w kilka miesięcy zapadł na tyfus i umarł w gubernij Krasnojarskiej. Z wszystkich tych, którzy ten okropny przeszli dramat, jeden jeszcze żyje w okolicach Łowicza Arnold Byszew-

ski; jako szlachcic i jeniec wojenny nie był karany różgami, tylko skazany został do rot aresztanckich w Orenburgu, z których później był uwolniony.

ROZDZIAŁ VIII.

Książę Piotr Dmitrjewicz Gorczakow. — Michał Koźmiński. — Przyjazd następcy tronu (teraźniejszego cara). — Amnestja ogólna, z której tylko jeden żyd defraudant korzystał. — Decembrzyści. — Krzyżanowski. — Słowa Konarskiego przed egzekucją. — Ewa Felińska. — Rząrzewska. — Paulina Wilczopolska. — Scena z jenerałem Tałyzinem. —
Historja Magdaleny Sakowskiej.

W tymże 1836 r., powołany na członka Rady wojennej w Petersburgu, opuścił nas poczciwy jenerał Sulima, a na jego miejsce przybył nowy jenerał-gubernator ks. Piotr Dmitrjewicz Gorczakow, brat rodzony ks. Michała Gorczakowa, który tak smutną pamięć zostawił z czasów swojego namiestnictwa w Polsce. Nowy gubernator był to człowiek młody, koło 40 lat liczący, pełen prawości i energji; przyjechał z żoną Lo-

puchiną z domu, i z pięciorgiem dzieci. Z nowym panem zmieniły się i wszystkie prawie figury rządowe; jako adjutant, przyjechał z nim Piotr Iwanowicz Szulgin, syn sławnego oberpolicmajstra moskiewskiego; miejsce dyżurnego oficera po Czerkasowie, zajął przybyły z księciem podpułkownik Martin; dr. Stubendorf był lekarzem księcia; miejsce cywilnego gubernatora zajął radca Stanu Powało Szwejkowski, człowiek bardzo wykształcony i wyróżniający się dobitnie od całej kasty urzędników moskiewskich. Na prezesa Izby kryminalnej w miejsce Kukuranowa przyjechał radca Stanu Ławrentjew, a radcą wydziału skarbowego zamianowanym został radca Stanu Piewcow, mający dwie młode i ładne córki wychowane starannie. Jako urzędnik do szczególnych poruczeń przy jenerał-gubernatorze przyjechał Polak z kancelarji Turkułła, Michał Koźmiński; skończył on był nauki w gimnazjum Krzemienieckiem; człowiek bardzo wykształcony i bardzo byliśmy szczęśliwi z jego przybycia, bo znaleźliśmy w nim przyjaciela i pomoc w każdym wypadku.

W całym mieście Tobolsku, 19.000 mieszkańców liczącem, zaledwie 3 były murywane domy i 4 cerkwie, zresztą nietylko wszystkie budynki są z okrągłaków postawione, ale nawet wszystkie ulice drzewem są wyłożone, z powodu, że na 500 wiorst w około nigdzie nie ujrzy kamyka. Nie w murach więc, ale w drzewie swoim, w końcu 1837 r. miał ten gród szczęście (retoryka Kurjerka warszawskiego), oglądać oblicze następcy tronu (teraźniejszego cara Aleksandra II). Pierwszy to członek carskiej rodziny, co raczył zwiedzić ziemię wygnanców. Przyjechał na schyłku jesieni i 3 dni odpoczywał w Tobolsku. Miasto wyłoniło cały przepych, na jaki tylko zdobyć się mogło. Małpiarstwo było kompletne, radośne niby zbiegowiska, przymusowe iluminacje, urzędowe bale, wojskowe parady, przedstawianie dygnitarzy, słowem wszystko choć koszlawo, ale było. Był także projekt przedstawić w teatrze amatorskim operę zastosowaną do okoliczności, pod tytułem: „Sybirski dzień“, której treść napisał nauczyciel moskiewskiej literatury w Tobolskiem

gimnazjum, Piotr Pawłowicz Jerszow, sławny poeta, twórca ludowej pieśni: „Kaniok Garbunek“, a do tej opery naturalnie ja dorobiłem muzykę, ale niestety następca tronu nie chciał zachwycać się naszymi talentami i opera moja pozostała w tece, partycję jej wszelako wraz z prośbą o uwolnienie oddałem na ręce rzeczywistego radcy Stanu Żukowskiego, będącego w orszaku następcy tronu. Za ofiarowanie to otrzymałem 500 r. asygnacyjnych (około 150 r. sr.).

Aleksander Mikołajewicz, następca tronu, miał lat wtedy 19, i ładny był chłopiec. Wyjechawszy z powrotem z Tobolska, gdyż dalej nie jeździł, przejeżdżał przez miasteczko Kurhan, gdzie znajdowało się kilkunastu przestępców politycznych, Polaków i Moskali. Przepisy policji moskiewskiej zabraniają, ażeby jaki przestępca polityczny znajdował się tam, gdzie się znajduje car lub jaki członek carskiej familji, i dlatego na parę dni przed przybyciem następcy tronu, znajdujących się w Kurhanie przestępców powysyłano do bliskich wołosti. Następca tronu zapytał się tamtejszego naczelnika

okręgu żandarmów, czy znajdują się tam jacy przestępcy polityczni. Naczelnik zapytany, generał Falkenberg, odpowiedział: „Są rzeczywiście, lecz z powodu przejazdu waszej cesarzewiczowskiej mości, usunięci zostali do sąsiednich wołosti.“ — „Chciałbym ich widzieć, jak będę wyjeżdżał“ — rzekł następca tronu. To było dostatecznem, żeby w ruch wprawić całą policję. Nigdy w piekle czarei tak chyżo za grzesznemi nie polecą duszami, jak się rozpryśli żandarmi i policjanci za rozesłanymi wygnańcami. Nazajutrz rano już wszyscy byli napowrót zwięzieni do Kurhanu. Wyjazd carewicza miał nastąpić o 9tej godz. rano, przed tą więc godziną wygnańców zgromadzono w kruchcie koło cerkwi i ustawiono z nich szpaler w dwa rzędy. Carewicz wychodząc z cerkwi, wolnym krokiem przeszedł wśród szpaleru, i pojechał.

Dla uwiecznienia pamiątki bytności następcy tronu na Syberji, car Mikołaj w parę miesięcy później wydał manifest i ulaskawił wszystkich posieleńców, którzy znajdowali się tam od 5ciu lat i nieskazitelnem

postępowaniem na to zasługiwali, wyjąwszy wszystkich wygnańców politycznych i innych wyjątków objętych 12tu artykułami. Manifest ten, tak jak wszystkie moskiewskie manifesta, był tak ciemno napisany i niezrozumiały, że zmusił władze sybirskie do pięciokrotnego żądania wyjaśnień, i po dwóch latach korespondencji objaśniającej, i po sformowaniu listy, okazało się, że w skutku manifestu tego wolniono dwóch żydów, najwyraźniej piszę dwóch żydów, którzy z nad granicy austriackiej za przemykanie wódki zesłanymi byli na posilenie; z tych dwóch uszczęśliwionych jeden umarł, nie doczekawszy się rozwiązania zagadkowego manifestu, a drugiego uwolniono, ale nie do miejsca urodzenia, a tylko do sąsiedniej gubernii na mieszkanie. Macie próbkę manifestów moskiewskich i pamiętajcie dobrze, że one wszystkie takie.

Szczegółowych za to ulaskawień przyszło dosyć; a najprzód przestępcy polityczni Moskale, znajdujący się w Czecie, tak zwani:

Dekabryści vel Decembrzyści *), z ciężkich robót uwolnieni zostali na posilenie, a także wielu z nich posłano w żołdacy na Kaukaz, jako to: ks. Trubecki, Anienkow, Licharew i t. d., niektórzy z nich śmierć znaleźli od Czerkiesów, a inni dosłużyli się stopni oficerskich i wzięli następnie dymisje. Los Moskali w ciężkich robotach był znośniejszym od losu Polaków, albowiem prawo moskiewskie nie dopuszcza konfiskaty majątków. Majątek skazanego na śmierć cywilną przechodzi pod opiekę rządową, złożoną z urzędnika cywilnego i z najbliższych członków familji skazanego. Oni zarządzają majątkiem i wyznaczają fundusz na utrzymanie wygnańca, ograniczony przepisami, jak o tem mówiłem. Żony wszystkich prawie Moskali przyjechały za nimi, majątki żon żadnej opiece rządowej nie

*) Spisek Pestla i Bestużewa, dwóch jednocześnie wydało: Jabłonowski (zdaje się księżą), oficer wojsk polskich, który następnie ciągle mieszkał za granicą, i Rostowcow, Moskal, który w kilkanaście lat później był w Petersburgu jenerałem i naczelnikiem wszystkich szkół wojskowych. (*Przyp. Radomińskiego*).

ulegały, a były bogate, i pieniędzmi, które wszystko mogą, słodziły los mężów swoich. Dekabryści siedzieli z początku w Petropawłowsku, a następnie przeniesiono ich do Czety za Bajkałem, gdzie pobudowano dla nich koszary pod nazwiskiem kazamat, w których bardzo wygodnie mieszkali. Ciężka zaś robota, na którą skazani byli, ograniczała się na dwóch godzinach dziennie mielenia w żarnach. Robota ta nie była zbyt utrudzającą, owszem była ruchem potrzebnym dla tych, którzy z kazamat wydalać się nie mogli. Mieli oni tam wprawdzie bilardy, czytelnię i bibliotekę, ale to ruchu na wolnem powietrzu zastąpić nie mogło.

W tych czasach przybył do Tobolska mieszkający w Jerymie Seweryn Krzyżanowski, były pułkownik gwardji polskiej, który za udział w spisku 1826 r. lat kilka siedział w Petro-Pawłowskiej fortecy w Petersburgu, a za wybuchnięciem rewolucji w 1831 r. wysłany został na Syberję, gdzie lat kilka przemieszkał w Berezowie. Długie w wilgotnem więzieniu siedzenie, a nastę-

pnie ostry klimat Berezowa tak wpłynął na jego zdrowie, że zaczął tracić władzę w nogach. Gdy z drzewa już tylko próchno zostaje, wtedy car zwykle zaczyna się litować, a i to nie zawsze. Krzyżanowskiego pozwolono przenieść do Iszyma, będącego więcej ku południowi. Tam choroba jego wzmagać się poczęła, pozwolono mu więc przyjechać do Tobolska dla porady lekarzy, których za bardzo mądrych poczytywano. Ci w rok później uwolnili go od cierpień wszelkich na tej ziemi. Był to człowiek szczupły, średniego wzrostu, pięknych i wyrazistych rysów twarzy; chociaż znękany chorobą, widać było, że swojego czasu posiadał wielką siłę ciała i duszy, lecz teraz miał już zupełnie bezwładne nogi, tak, że kroku żadnego bez cudzej pomocy zrobić nie mógł. Dzielnego rozumu śladu już nie zostało, marzył rzeczy niestworzone, jakby był młody i pełen zdrowia; nie mógł dwie myśli związać rozsądnie, tak był jednak do konnej jazdy nawykły, że gdy na silne domaganie się wdźwigano go prawie bezwładnego i z trudem na konia, lubił ostro go

zażywać i dziwne na nim wyprawiał harce, nie spadłszy nigdy, jakby niewidzialną trzymany ręką. Z początku przybycia jego, gubernator nazначył mię i Pietraszkiewicza opiekunami Krzyżanowskiego, jako bezwłasnowolnego. W roku następnym, gdy ze sztabem wyjeżdżałem do Omska, na moje miejsce opiekunem został major Schröder. Pomimo mądrości doktorów tobolskich choroba coraz bardziej wzmagała się, i ku jesieni 1838 r. skończył życie Krzyżanowski, jeden z największych męczenników naszych.

W tych czasach prawie przyjechali ze wschodniej Syberji na mieszkanie do Tobolska, rzeczywisty radca stanu von Wiesen, skazany do ciężkich robót za udział w buncie petersburgskim, następnie uwolniony na posilenie do Tobolska, mąż pełen rozumu i wykształcenia, lat koło 50ciu liczący; z nim przyjechała także żona jego, która dzielila z nim cały czas wygnania, zacna bardzo kobieta, krewna księżny Gorczakowej; powitaliśmy ich z całym uwielbieniem, na jakie zasługiwali.

Drugim przywiezionym był Krasnokucki, były ober-prokurator senatu, który również za bunt petersburgski zesłany był do Berezowa, gdzie surowy klimat północy sparaliżował mu całą dolną połowę ciała, tak, że go w łóżku nosili. Raz z noclegu wynosząc go z łóżkiem do powozu, wystającą z łóżka nogą w drzwiach zaczepili i takową złamali. Chory ani poczuł tego nawet; złamanie to spowodowało gangrenę, a następnie i śmierć chorego. Odwiedzaliśmy go wszyscy, co mu przyjemność sprawiało; towarzystwo jego, jako człowieka bardzo światłego i wykształconego, było bardzo miłym, i pojąć nie można było, żeby tak bystry rozum, tak zdrowy sąd o rzeczach, tak silne rozumowanie, mieściło się w tym półtrupie, połową tylko ciała żyjącym.

W tym właśnie czasie ukończyły się sądy w Wilnie i Kijowie, ze spraw emisariuszów Konarskiego i Wołłowicza, których w zimie jeszcze stracono w Wilnie śmiercią na szubienicy. Doszła do nas wiadomość, że Konarski prowadzony na śmierć podczas silnego mrozu, zażądał futra dla okrycia się

w czasie drogi, a gdy mu ober-policmajster tamtejszy zrobił uwagę, że mu to niepotrzebne na te kilka chwil życia, odpowiedział: „Dlatego chcę płaszczą, żebyście nie sądzili, że drżąc z zimna, drżę ze strachu“. Bibikow, jeneral-gubernator kijowski, człowiek okrutny i bez serca, dostawił znakomity kontyngens wygnańców na Syberję. Pierwszym z nich przyjechał Karol hr. Marchocki, skazany na mieszkanie w Tobolsku, lat około 40, syn owego Marchockiego, sławnego na całym Wołyniu z dziwactw i oryginalności, szczupły, uprzejmy, małego wzrostu, bardzo wykształcony i namiętnie miłujący muzykę, której zasady i naukę pobierał od słynnego Albrechtsbergera; przytem znakomitym był fortepianistą.

Ku nadchodzącej wiosnie, w ślad za nim przyjechały pierwsze kobiety Polki, skazane przez sąd wojenny na Syberję; temi były pani Ewa Felińska, już w średnim wieku, wdowa po Gerardzie Felińskim, obywatelu Wołynia, bracie sławnego autora „Barbary“. Z nią przywieziono także pannę Rząrzewską i pannę Paulinę Wilczopolską, wszystkie

jako skompromitowane w sprawie Konarskiego, ostatnia zaś Wilczopolska była oprócz tego obwinioną o zawiązywanie jakoby wyprawy w rodzaju krucjaty, której celem miało być namawianie bogatych pańien z Wołynia, ażeby dla osłodzenia losu wygnańcom, zebrawszy się razem, pojechały na Syberję dla żenienia się z nami, i dla polepszenia posagami swymi bytu naszego. Panna to już była dojrzała, ale tak zapalenie przejęta mrzonką swoją, że z największym zapalem tylko o niej mówiła. Ponieważ w całym Tobolsku nie było ani jednej oberży, więc damy te za przyjazdem swoim stanąć musiały u nas Polaków na te dni kilka pobytu swego w Tobolsku, na co rząd mimo woli swej musiał zezwolić nie mogąc zrobić inaczej. Pani Felińska z panną Rzęrzewską stanęły u Marchockiego, a panna Wilczopolska u mnie. Tymczasem władze przeznaczyły na mieszkanie miasto Berezow dla pani Felińskiej i panny Rzęrzewskiej, a miasto Tarę dla panny Wilczopolskiej, i nagliły je do spieszego wyjazdu do miejsc przeznaczonych.

Był to wtedy początek wiosny, w którym wszystkie rzeki wylały; Tobolsk był jakby wyspą na dwadzieścia kilka wiorst wodą oblaną, drogi błotniste i niepodobne prawie do przebycia, pogoda dżdżysta, a przytem czas mroźny, wszystko to było powodem, że damy te znużone tak daleką podróżą, chciały dla wypoczynku i dla porobienia sprawunków pozostać dni kilka. Był wtedy gubernatorem cywilnym Iwan Dmitrjewicz Tałyzin, dawny adjutant czy oficer sztabu sławnego Jermołowa. Był on człowiekiem nie głupim, ale miał rozum czysto moskiewski, tylko do szelmostwa i do zręcznego zaspakajania najohydniejszych i najsprośniejszych namiętności; pijak nałogowy, sprośny rozpustnik, zdzierca, zgoła najdoskonalszy typ moskiewskiego urzędnika, a musiał być takim, kiedy na pamiątkę i podobieństwo słynnego niegdyś w lasach Muromskich rozbójnika nazywano go powszechnie „Wańka Kaim“.

Na zasadzie znajomości wszystkich znaczniejszych figur w Tobolsku, zaufany w dobrem przez nich przyjmowaniu i w sobie,

zamierzyłem wyprosić przedłużenie pobytu dla tych pań na dni kilka, i w tym celu udałem się do Tałyzina; zastałem go, gdy po obiedzie wybierał się na drzymkę poobiednią, zczekałem więc w sali jadalnej, poprosiwszy lokaja, żeby mię zameldował. Niebawem zjawił się i p. Tałyzin, niskiego wzrostu, pękaty, cały rozmamany i pijany po formie, twarz zaogniona, pucołowata, trądem pokryta, wybitnie malująca podłość, rozpustę i nikczemną duszę. Pokłoniwszy się z należnem uszanowaniem, przedstawiłem cały interes, prosząc o pozwolenie tym paniom przedłużenia pobytu przez dni kilka. Silnie mu się najprzód odbiło, a woń wina i wódki rozeszła się po sali, potem zwrócił na mnie maślanką zaszele oczy, i przerywane czkawką wyrzekł słowa: „A ty coś za jeden taki protektor?“ — a gdy oburzony dałem mu uczuć nieprzyzwoitość jego odpowiedzi, wrzasnął ochryplym głosem: „Kazaki siuda!“ — a było ich czterech w przedpokoj. Nie czekając więc na ich przybycie, i stojąc blisko okna, wyskoczyłem przez nie na ulicę i pędem udałem się do jeneral-gu-

bernatora ks. Gorczakowa. Za ledwie zdążyłem całą rzecz opowiedzieć księciu, prosząc go, aby mię zasłonił od wściekłości tego zwierza, gdy i sam Tałyzin przyjechał. Książę poprosił go do osobnego pokoju, i widać, że mu coś nie zbyt miłego musiał powiedzieć, bo Tałyzin wyszedł wkrótce rozwścieklony, nie spojrzawszy na mnie pobiegł na dół i pojechał. Książę pożegnał mię zapewniając, żebym był spokojny. Pospieszyłem do domu ze smutnym rezultatem z protekcji mojej. Przyszedszy do siebie, zastałem tam policmajstra z kozakami i dwie zaprzężone kibitki. Wańka Kaim choć tem swoją złość pokazał, że tym paniom kazał natychmiast wyjechać i policmajstrowi rozkazu tego dopilnować. Nie było co robić. Najprzód Wilczopolska zabrawszy się, wsiadła do kibitki i w towarzystwie kozaka pojechała do Tary. Następnie Felińska z Rzarzewską pojechały o parę wiorst od Tobolska ku Suzgunowi, gdzie stał statek Deszczennikiem zwany, na którym miały popłynąć do Berezowa, wszelka bowiem komunikacja lądowa z przyczyny wy-

lewu rzek przerwaną była. Wszyscy będący w Tobolsku Polacy zebrawszy się, poszliśmy pożegnać je na statku. Z czułością żegnaliśmy Polki nasze, podniesiono kotwicę i prąd rzeki uniosł je ku północy. Znakomicie i wymownie opisała Felińska pobyt swój w Berezowie w pamiętnikach swoich. Rżarzewska zaś znalazła tam męża w osobie Wakulskiego, dr. z uniwersytetu wileńskiego.

Dotychczas Tobolsk był siedliskiem władzy centralnej zachodniej Syberji, granice jej na południe stanowiła linija tak nazwana kozacka, idąca od Uralska przez Petropawłowski, Presnogorkowski pomimo Omska i spuszczała się na południe do Semipałatyńska, gdzie dotykała granic Syberji wschodniej; lecz gdy później wcielonym został cały step Kirgizki z małą i wielką hordą, kraj zasiany nowozalążonemi forteczkami, a który podzielono na 13 okręgów, granice zachodniej Syberji posunęły się na południe, dotykając pustyni Grobi i granic Chiwińskich i Bucharskich, przeszło na 1000 wiorst w linji prostej ku południowi od dawnych granic Syberji zachodniej. Zabór ten był

powodem, że rząd władzę centralną generała-gubernatora, jako głównie-komenderującego wojskami tej części Syberji, przeniósł do twierdzy Omska, posuniętej o 600 wiorst ku południowi, a tem samem zbliżoną więcej do nowych granic. Ukaz o tem przeniesieniu miał być w wykonanie wprowadzony i sztab główny ze wszystkimi kancelarjami przenosić się miał do Omska, a wraz ze sztabem i muzyka po większej części z kozaków złożona. Nie mając żadnego oprócz mnie kapelmajstra, częścią z potrzeby, częścią w skutku protekcji i zachodów moich, postanowiono i mię przenieść do Omska. Już o tem stosowne otrzymałem zawiadomienie, gdy jeden ze smutnych wypadków zasmucił nas wszystkich.

W okolicach Kijowa mieszkał obywatel zamożny, który miał dwoje dzieci, córkę lat 18 i syna o rok młodszego. Syn uczęszczał do gimnazjum w Kijowie. Bibikow nie próżnował i wszelkimi środkami starał się uciemieżyć Polaków; policja bezprzerwanie odbywała rewizje po domach, a szpiegi zarzucali rząd doniesieniami. Przy jednej

z takich rewizyj u młodego ucznia gimnazjum znaleziono różne wiersze patriotyczne, w skutku czego tenże został uwięzionym i pod sąd oddanym; już miał wyrok zapisać, skazujący go w żołdacy bez wysługi, gdy siostra widząc rozpacz ojca, poświęciła się za brata, przyznając się, że wiersze te ona pisała, że takowe były jej własnością, i że nie wie jakim sposobem znaleziono je u brata. Bibikow odpłacając za to szlachetne jej postąpienie, kazał ją uwięzić i wraz z bratem sądzić. Wkrótce wyrok zapadł skazujący brata w żołdacy na Kaukaz, a siostrę na posilenie do Syberji. Pomimo wszelkich starań i pieniędzy, wyrok nie był zmienionym i Bibikow srogość swą posunął, bo nie pozwolił ojcu, ażeby córce swej dał furmankę własną i kobietę do posługi, gdy to największym pozwala się zbrodniarzom. Młoda dziewczica, przyzwyczajona do lepszego bytu i wysoko wykształcona, połączona łańcuchem z najohydniejszymi zbrodniarkami, iść musiała pieszo na Syberję. Szczęśliwie doszła do ostrogu o dwa etapy od Tobolska, tam wypadła dniówka; przy

apelu wygnańców ujrzał ją komendant etapu, pijak najwyuzdańszych namiętności; piękność jej zrobiła na nim wrażenie i obudziła jego zwierzęcość. Nazajutrz w czasie dniówki, gdy wszyscy w łaźni byli, kazał ażeby ona przyszła do jego pokoju myć podłogę. Nie było co robić, opór był niepodobnym, wzięła więc szaflik z wodą i wiecheć z rogożki i poszła myć podłogę. Ledwie zaczęła robotę, wszedł komendant i drzwi od pokoju za sobą na klucz zamknął. Na pierwsze nieprzyzwoite jego zalecania się, nieboga milczeniem odpowiadała, a gdy nikczemnik coraz natarczywiej na nią nastawał, padła mu do nóg i ze łzami w oczach błagała, żeby ją w spokoju zostawił. Rozjuszony nikczemnik porwał ją i rzucił na łóżko. Pasując się ze zbrodniarzem, zoczyła kindżał wiszący nad łóżkiem, jak błyskawica zrodziła się myśl u niej, własną śmiercią od hańby się uwolnić, wyrwała kindżał z pochwy, chcąc sobie nim śmierć zadać, i przesuwając kindżał koło czoła nachylonego nad nią nikczemnika, zadrasnęła go w czoło. Nikczemni w podłym sercu swoim nigdy nie mają

odwagi. Nikczemnik porwał się i uciekł, wrzeszcząc na całe gardło, że Polka chciała go zabić. Na ten krzyk wypadli żołnierze, a widząc oficera swego skrwawionego, na rozkaz jego porwali nieszczęśliwą, rozciągnęli na ziemi i zbili różgami bez miłosierdzia.

W tydzień potem przywieziono ją prawie martwą do Tobolska; ks. Gorczakow dowiedziawszy się o tym wypadku, kazał ją zostawić w Tobolsku, a z komendantem (nazwiskiem Woronin) cóż miał robić? Posał komisję na śledztwo, Woronin zaparł się wszystkiego, oskarżając biedną o usiłowanie zamordowania go, i udowadniając to draśnięciem na czole. On miał wiarę jako oficer, ona żadnej nie miała, bo wygnanka, a świadkowie zeznali jak im kazano. Książę wszelako dobrze wiedział, czego się trzymać, ale nie mógł więcej zrobić, jak przenieść nędznika na takąż posadę w step. Imię nieszczęśliwej ofiary było Magdalena, nazwisko Sakowska.

Później wracając do kraju i przejeżdżając przez Tobolsk, dowiadywałem się, co się z nią stało; mówiono mi, że mieszkała u pp. Wakulskich w Berezowie; znały się z Wakulską jeszcze na Wołyniu.

ROZDZIAŁ IX.

Czynownik moskiewski. — Rząd. — Wychowanie. — Prawa. — Wnętrza biur moskiewskich. — Ziercalo. — Ukazy. — Swod zakonów. — Procedura. — Wady główne administracji. — Śledztwa. — Pożegnanie Tobolska.

Lubo Buffon i Lineusz wiele bardzo zwierząt przeżuwających naliczyli w Moskwie, nigdzie jednak znaleźć w książkach nie mogłem opisu zwierzęcia tam powszechnego, jakim jest urzędnik moskiewski. Brak ten w dziełach najslawniejszych naturalistów, chciałbym niejako zastąpić dla pożytku nauki.

Urzędnik moskiewski, vulgo czynownik, jest to powszechne w Moskwie zwierzątko, pomiędzy rodzajem homo i rodzajem simia, dwunożne, ssące, pokryte zwykle wi-

cemundurem z 12tu świecącymi z przodu guzikami; piersi i plecy niby ciemno-zielone licznymi plamami, łatami i rozdarciami upstrzone, bez ogona, za to zwierzchnia barwa spuszcza się do kolan prawie, i z tyłu znów kilka świeci się guzików; nogi do ludzkich podobne ubrane w porteczki ciemne w zimie, koloru brudno poplamionego w lecie, nankinowe, zwykle zabłocone i nieprane, a zawsze u dołu obszarpane; kończą się te nogi nieodmiennie parą koślawych butów. Łeb u niego z przodu podobny nieco do człowieczej twarzy, napuszony z tyłu, nigdy nie czesany, z czupryną zawsze pełną pierzy; twarz na czole, pod oczami i na policzkach jak u jędora trądem ukameryzowana, oczy zawsze zasze maślanką.

Samica zwykle jest kształtniejszą i czystsza od samca; żywo rodzi zwykle po jednym i pług piersiami karmi. Zwierzę to bardzo powszechne we wszystkich strefach Moskwy, najliczniej przebywa po miastach i miasteczkach, gdzie przesiaduje po kancelarych i po szynkach. Żywi się zwykle najędźniejszą strawą, złożoną z mięsa, chleba i kwaśnej ka-

pusty, zwykłym zaś napojem jego jest wódka i kwas. Zwierzątko to Polskę bardzo polubiło, widać, że mu klimat sprzyjać musi, bo się u nas rozmnaża jak robactwo na Syberji. Te są ogólne rysy charakterystyczne, wyjątki są bardzo rzadkie i możnaby je nieledwie zaliczyć do rodzaju homo.

Rząd w Moskwie jest samowładny, w jednej zamykający się osobie, t. j. w carze. Jest on głową całej administracji, finansów, wojsk i duchowieństwa; wprawdzie wszystkie wydziały rządu posiadają swoje ministerstwa, lecz zakres ich działań ogranicza się wolą najwyższą, której żadne prawo nie tamuje i roztrząsać jej nie pozwala. W takim systemacie rządu koniecznem następstwem być musi, że jak władza najwyższa główną atrybucję ma samowładności, tak też i wszystkie inne władze całej hierarchji rządowej są samowładne w promieniu działalności swojej, i jak car nieodwołalnie wyrokuje w całym państwie, również i zasiadatel w powierzony sobie części powiatu.

Zaledwie uwierzyby można, że rząd taki i teraz jeszcze istnieć może, i zaprawdę

w jednej tylko Moskwie jest w stanie utrzymać się. Do systematu tego bardzo ogólnie i praktycznie zastosowano wychowanie publiczne i prawa obowiązujące. I tak np. nie ma prawa, któreby wyraźnie zmuszało szlachtę do służby, ale są określenia i prerogatywy, które zniewalają ją do służenia. Szlachcic jeżeli nie posiędzie przynajmniej pierwszej rangi w służbie cywilnej lub wojskowej, całe życie swoje będzie małoletnim (niedorośl) i pod ciągłą opieką. Każda rodzina, w którejby trzy pokolenia po sobie idące nie były w żadnej służbie rządowej, traci szlachectwo i schodzi na chłopów. Również i wychowanie publiczne w tym kierunku jest poprowadzone; szkół wiejskich nie ma, gimnazja zaś i szkoły obwodowe oraz wszelkie inne zakłady naukowe stoją wyłącznie otwarte dla szlachty i dla młodzieży, których rodzice posiadają rangi, a i tu są odcienia, czyje dzieci i dokąd mogą być oddane, i jaki mogą uzyskać stopień oświaty. Dzieci jeneralskie, szlachty rodowej, sztabs- i oberoficerskie, popów, kupców każdej gildy osobno,

wszystkie mają osobne szkoły i osobne w nich programaty nauk. W szkołach tych w ogóle nauki ściśle są dość obszernie wykładane, jako to: matematyka, fizyka, budownictwo, żeglarstwo, górnictwo; o filozofji, statystyce, ekonomji politycznej mowy żadnej nie ma, historia moskiewska wykładaną jest fałszywie w duchu rządu. Historji innych krajów zupełnie nie uczą.

W wyższych dopiero naukowych zakładach coś podobnego do historii powszechnej wykładają, jeżeli z nią mogą mieć jakie podobieństwo bajki i łgarstwa w rodzaju tym, jak np. że cała Europa początkowo należała do Moskwy, że carowie przez dobroć swą pozwolili niektórym kraikom obrać sobie królików i rządzić się samym. Śmiesznem jest niezmiernie w czasie jakiej wojny moskiewskiej słyszeć wyrażenia: „Turok, albo dajmy na to: Francuz zbuntował się przeciw naszemu carja“. Byłem raz obecny na popisie uczniów gimnazjum tobołskiego; wobec archiereja, gubernatora i innych dygnitarzy, profesor zapytał ucznia: „Jakie narody nie mają ojczyzny?“ — Uczeń

odpowiedział: „Żydzi, Cyganie i Polacy“. — Odpowiedź zyskała ogólne zadowolenie władzy. W gimnazjach uczą języków francuskiego i niemieckiego, ale rzeczywiście dlatego tylko, żeby uczniowie wykładem ich zrażeni zostali. W seminarjach uczą po grecku, po łacinie i po hebrajsku, ale muszą chyba zamiast tych języków wykładać im trzy narzecza mowy czuchońskiej, bo z ich łaciny albo greczyzny nic pojąć nie można. Zasada moralna wychowania publicznego w Moskwie streszcza się w dwóch słowach: posłuszeństwo i delacja. Uczeń od najmłodszych lat, od najniższej klasy ma wpojone w umysł, że każdy rozkaz przełożonego święcie i bezwzględnie wykonanym być winien. W takich zakładach kształcą się tam młodzież, i z takich zakładów nie mogą wyjść inni ludzie jak tylko nikczemni i nieoświeceni. Wszyscy ludzie zacni i wykształceni, jacy są w Moskwie, otrzymali wychowanie domowe lub za granicą, a to co wychowane w kraju, bydło.

Systemat samowładny te jeszcze skutki wywiera, że tam od najniższego do najwyższego urzędnika nie ma takiego, któryby pojmował, że służy ojczyźnie i dla dobra współbraci. Urzędnik moskiewski nie służy krajowi, a służy carowi. Nie poświęca swoich umysłowych zasobów dla dobra kraju, tego nie rozumie i nie przypuszcza nawet; służy dlatego, żeby niewolniczym posłuszeństwem, doniesieniami i złodziejstwem, zjednać sobie naczelnika, awans, lub orderek, a nadewszystko docisnąć się do zyskowej jakiej posady. Płacę albowiem przywiązaną do urzędu uważa za rzecz zupełnie podrzędną, za główne zaś uposażenie poczytuje możliwe zdzierstwa i kradzieże; im pole jest obszerniejsze do kradzieży, tem samem i miejsce to jest więcej poszukiwane. — Miejsca takie nazywają się ciepłemi (tiopłoje miasto).

Prawa w Moskwie składają się z ukazów carskich: są to wyroki lub rozporządzenia w różnorodnych wypadkach i przez różnych panujących wydane. Pięćdziesiąt i kilka tysięcy ukazów w 120 tomach in folio sta-

nowią „Corpus juris“ w Moskwie. Car Mikołaj kazał je uporządkować i utworzyć z nich pewien rodzaj Poli-kodeksu pod tytułem: „Swod Zakonow“. Z bezładnego chaosu zrobiono porządną chaos; ukazy w nim ułożone są chronologicznie według materji, ale cóż z tego, kiedy jeden ukaz mówi biało, następny w tejże materji mówi czarno, trzeci pomarańczowo i t. d. Swod ten obejmuje prawo cywilne, kryminalne, procedurę, rozporządzenia administracyjne, uchwały we wszystkich gałęziach rządu, słowem, *Codex de omnibus rebus et quibusdam aliis*, a gdy dodamy jeszcze kilka tomów dopełnień, możemy mieć dopiero wyobrażenie o tem niby prawie moskiewskiem, które stosownie do woli panującego może być w każdej chwili zmienione, odroczone, przywrócone, objaśnione i t. d.

W urzędniku przedewszystkiem ceni się znajomość prawa, ale nie taka jak my ją w Europie pojmujemy, t. j. żeby prawo wskazywało postępowanie w danym wypadku, lecz żeby prawo zastosować do woli przełożonego, zwierzchnika. Tacy praw-

nicy bardzo poszukiwani i cenieni, są to ludzie bez żadnej czci i wiary. Drugim przymiotem dobrego w Moskwie urzędnika jest sprężystość w wykonywaniu rozkazu. W głowie urzędniczej nigdy nie pomieści się myśl, ażeby rząd lub władza pragnęły szczęścia lub dobra narodu; rząd jest to tygrys lub hyena, czyhająca ciągle na rozszarpanie swoich podwładnych, i każdy rozkaz lub rozporządzenie nie może, podług nich, mieć innego celu jak pogwałcenie. Jeżeli czasem dla pewnych celów, których urzędnik przenikać nie powinien, rozporządzenie jest łagodniejsze, to rzeczą jest zmyślnego urzędnika wykonać je ostrzej niż władza chciała. Takowe pojęcie obowiązków urzędnika jest powszechne i cechuje w oczach władzy jego gorliwość (usierdje).

Dla dopełnienia tego obrazu urzędników wstąpmy do pierwszej lepszej kancelarji. Pierwsza izba zajmowaną zwykle bywa przez służbę, t. j. przez kilku weteranów w stopniu podoficerskim, którzy zastępują naszych woźnych, posługując urzędnikom, zamiatając biuro i opalając je w zimie. Część tej izby

przegradzaną bywa drewnianą kratą, i w schowaniu tem mieszczą się buty i wierzchnie odzienia urzędników kancelaryjnych. Naczelnicy nie mogą powstrzymać kancelistów w czasie godzin biurowych od wybiegania na miasto (t. j. do szynku), używają tego sposobu, jako pierwszy stopień, że notowanym zaraz przy wejściu do biura posługacze ściągają buty i takowe zamykają za rzezoną kratą. Urzędnik taki siedzieć musi w biurze boso, aż po skończonych godzinach biurowych oddają mu buty, ażeby mógł iść na obiad lub do domu. Niepoprawniejsi zaś mają w izbach biurowych klatki z kraty drewnianej, w których przez cały czas są zamknięci; klatki te tak są urządzone, że wewnątrz jest mu wygodnie siedzieć i widno pracować, lecz z zewnątrz bliskiego do nich nie ma przystępu, dlatego żeby interesant nie mógł dla przekupienia ich podać im pieniędzy lub wódki z flaszką, a trafia się jednak często, że trzeźwy zamknięty z rana, niedocieczonym fortem spije się jak można najlepiej. W owem schowaniu za kratą w pierwszej izbie znaj-

dują się gotowe pęki różg, gdyż wszyscy ci, co nie mają rangi jeszcze żadnej, mogą chłostę otrzymać. Ażeby więc długo nie czekać i wykonania sprawiedliwości daleko nie szukać, w razie przewinienia może być kara *stante pede* wykonaną. Z tej pierwszej izby posługaczów przechodzi się do drugiej obszernej, zastawionej stołami i obejmującej kilka wspomnianych klatek; przy tych stołach i w tych klatkach wszyscy prawie urzędnicy siedzą bez butów, a owi za klatkami wyglądają jak w menażerji i zaprawdę przy odorze niemiłym z nóg obnażonych, gdy się ujrzy te trądem osypane twarze, tę odzież poplamioną i podartą, te łby opierzone i niewyczesane, i to wszystko za kratkami, z ruchami niedźwiedzimi i z głosami przepitemi, przekonanym się jest, że to nie ludzie, a raczej dzikie jakieś zwierzęta.

Dalej znajdują się pokoiki naczelników, zaopatrzone w szafy, zastępujące archiwum, gdyż nigdzie archiwum ogólnego nie ma, bo gdyby akta nie były pod kluczem, to

byłyby rozkradzione dla zniszczenia dowodów lub sprzedania papieru na wódkę.

Główną izbą w kancelariach jest ta, gdzie się posiedzenia odbywają; na środku izby stoi wielki stół, pokryty sukniem (niegdyś) czerwoniem, na środku stołu stoi krucyfiks, a zaraz za nim szafeczka trójkątna, ozdobiona na wierzchu orłem moskiewskim, a w trzech bocznych jej ścianach za szkłem znajdują się trzy ukazy trzech carów moskiewskich o przyzwoitem zachowaniu się w izbie posiedzeń, z wymiennieniem kar, jakie spotkały tych, którzy gorszącem postępowaniem swoim dali powód do tych ukazów. Szafeczka ta nazywała się zwiercało i w równem jest poszanowaniu jak krucyfiks.

Dla dokończenia tej urzędniokografji muszę wspomnieć o dwóch jeszcze rodzajach, które jedynie w Moskwie znaleźć można. Pierwszym wymienię topografów, których rysunki są zadziwiającej ścisłości, a pięknoscią sztych przechodzą, pomimo że żadnych zasad teoretycznych topografi ci nie mają; na zapytanie: dlaczego kąt ten równa się temu, lub dlaczego powierzchnia tego

kwadratu równa powierzchni tego trójkątu i t. d., odpowiadają zawsze: „bo tak kazano“. Drugim rodzajem są pisarze wojskowi, których używają do przepisywania największych tajemnic i do korespondencji z najwyższymi władzami; pismo ich jest rzadkiej piękności, a pisarze tę mają zaletę, że nic nie wiedzą i nic nie rozumieją tego o czym pisali; największymi torturami nie wydobyłby nic od nich, bo nic nie wiedzą. Zdaje się, że ich uczą przepisywać litera po literze, nie sylabizując, a zatem i nie czytając, ale za to zachowując odstępy pomiędzy wyrazami jak w oryginale. Można się założyć, że w każdej kancelarji znajduje się taki z pisarzów, co przepisałby własny swój wyrok śmierci, nie wiedząc o tem. Zaprawdę są to rzeczy nie do uwierzenia i łatwe do zarachowania na karb przesady. Niedowiarku, bąknij tylko w Polsce słówko przeciw carskiemu rządowi, a niewątpliwie przejedziesz się bez kosztu na Syberję i ujrzysz te dziwy.

Dwie są głównie zasady czyli raczej wady rządu moskiewskiego: pierwsza, będąc arcy-

zachowawczym, nic nie zmienia i w niczem nie odstępuje do prawideł przyjętych przed laty, bez względu na postęp i okoliczności czy to w stosunku rządzonych z rządem, czy też rządzonych pomiędzy sobą. Zdaje się, że w Moskwie nie urodził się jeszcze taki, co objąwszy cały byt kraju, zasoby i przyszłość, wskazałby zmiany konieczne w całej administracji. Do dziś dnia w jakimkolwiek zdarzeniu nikt nie umie lub też nie śmie postąpić sobie inaczej tylko tak, jak w takimże wypadku postąpiono sobie przed 100 laty, czego w aktach szuka, dopóki nie znajdzie. Wszystkie zaś rozporządzenia i ukazy tak są niezrozumiałe i dwuznaczne, że nie było jeszcze ukazu, któryby mógł być wprowadzonym w wykonanie od razu bez dopełnień i licznych objaśnień drugiego ukazu, wydanego przed laty w tejże materji. Każdy ukaz będąc tylko dopełnieniem jakiegoś poprzedniego ukazu, zmieniającym tylko część jakąś, a zostawiającym resztę w swej mocy, nawiązuje jedno ogniwo więcej na ten

łańcuch ukazów, w jednej i tej samej materji wydanych. Nic więc łatwiejszego, jak z tej litaniji ukazów wybrać sobie najdogodniejszy, nie wspominając nic o niewygodnych i niekorzystnych dla siebie. Często się zdarza, że senat, czyli najwyższy sąd w Moskwie, po 20 razy kasuje wyroki, własne swoje wyroki, zawsze na korzyść tego, co lepiej zapłaci.

Drugą zasadą wadliwą jest system wspólnego i ogólnego szpiegostwa. Każda denuncjacja podpisana lub bezimienna, jest ważną i dochodzoną być musi, a lubo prawa moskiewskie fałszywego denuncjanta skazują na taką samą karę, jakiej uległby obwiniony, gdyby się winnym okazał, to prawo jednakże nigdy się nie wykonywa, albowiem rząd przypisuje denuncjację gorliwości o dobro rządu (usierdje). Zwykle w razie niewykrycia niczego, milczenie pokrywa źródło denuncjacji, i dlatego nigdy oskarżonym denuncjacji nie pokazują i denuncjanta nie wymieniają.

Niemniej jest wadliwą procedura krymi-

nalna, gdyż pomimo stałych sądów, każdy doniesiony wypadek pociąga za sobą ustanowienie osobnej komisji śledczej działającej dowolnie, a do składu której muszą koniecznie należeć żandarmi. Fakta przez takie komisje wykryte przechodzą następnie do sądów właściwych. Z tego uprawnienia denuncjacji dziwny wynikł stan ludzi w kraju, t. j. znajdujących się pod sądem, a nie osądzonych. Zdarza się często, że urzędnik bywa pod kilku od razu śledztwach, że w skutku tego nawet stracił posadę, ale to mu nie przeszkadza bynajmniej drugą posadę zajmować, chociaż śledzwa toczą się i sprawy nieukończone. Znałem w Tobolsku prezesa izby skarbowej W. J. S., który tę wysoką i zyskową posadę zajmował pomimo czterech śledztw, toczących się przeciwko niemu. Długiego przeciągu lat potrzeba, żeby te chropowate pierwiastki, po oczyszczeniu ich z gnoju i śmieci, mogły się zlać w jedną całość moralną, podobną do europejskiej, ale zanim się proces odbędzie, jakże to wielkie przejść muszą kataklizmy i krwawe po-

topy, bo dzikie zwierzęta tylko krwawą walką przerobić się mogą.

Nadeszła wreszcie chwila, w której cały sztab korpusu miał się przenosić do Omska, i ja także, a przyznam się, choć Tobolsk był miejscem wygnania mojego, jednakże blisko pięcioletni pobyt zezwyczał mię z nim, nadzieja uwolnienia już mi się nawet nie marzyła, nie powiem więc, żebym ze smutkiem, ale z niespokojnością opuszczałem Tobolsk, gdzie myślałem, że kości me złożę. Zamieniałem pustynię, ludzi obojętnych dla mnie, na innych, między którymi dopiero wypadało szukać powinowactwa myśli i uczuć, a jednakże jest iskierka, która w duszy człowieka, go pędzi ku nieznanemu, i w zbolełym sercu stawia jakiś majak pomyślności przed oczyma. Grób zresztą skoro nie na rodzinnej ziemi, to już wszystko jedno, czy się znajdzie o 600 wiorst bliżej, czy dalej. Schwyciwszy w obie ręce odwagę, zarzuciwszy na siebie płaszcz wesołej obojętności, w którego bocznej kieszeni troszeczkę zwie-

trzęcej zachowałem nadziei, puszczam się
w drogę, *alea jacta est*, żegnam cię To-
bolsku, i niech cię djabli wezmą wraz
z carem.

ROZDZIAŁ X.

Tobolsk górny. — Dzwon oknutowany. — Czyczeryn. — Pomaik Jermaka. — Zawalnaja Dierewnia. — Tobolsk dolny. — Podczuwasze. — Jarmark na mięso. — Nasi księża. — Tobolsk w zimie i w lecie. — Wycieczki. — Iwanowsk. — Gubernator Czyczeryn i Archirej Arsenij. — Dwa obrazy sądu ostatecznego. — Święci z lentami i orderami.

W szkołach uczą geografji, zwłaszcza w 30tu ostatnich latach starają się młodzież naszą dokładnie obznajomić z opisami północnych stron Azji; zawsze się to na coś przyda. Każdy uczeń 3 klasy wie, pod jakim stopniem szerokości i długości geograficznej znajduje się Tobolsk, nie myślę więc z malcem rywalizować w erudycji geogra-

licznej, pomijam te szczegóły i rzucę tylko zarys fizjonomji miasta.

Irtysz płynąc z południa pod brzegiem wysokich i stromych gór gliniastych, dążąc do połączenia się z przyjacielem swoim, Tobolem, wydał się olbrzymim brzuchem, odpychając się ku zachodowi od gór, które mu nierozzerwaną stawily tamę i zmusily pokornie płynąć u ich stóp. Przyjaciele łączą się w milczeniu i razem wracają do stóp tychże gór i pod ich osłoną aż do Obi płyną. Na tym to brzuchu Irtyszowym, tworzącym błotnistą dolinę, rozesłał się jak wachlarz cały Tobolsk dolny, brat zaś jego młodszy, zwany Tobolsk górny, zasiadł na wyżynach, gdzie błyszczy soborną cerkwią. Na górę masz tylko dwie drogi: w prawo wjazd szeroko rozkopany i drzewem wyłożony, a na lewo schody drewniane na palach i arkadach pnące się; jest ich 400 przeszło, z wieżycą, przez którą wchodzisz do górnego miasta, a z której jęczy ci godzinami dzwon wygnaniec, co za ogłoszenie buntu w Ugliczu skazany został przez cara Borysa Godunowa, na wyrwanie mu nozdrzy, na oba-

tożenie knutami i na zesłanie do Syberji; lecz nie na tem koniec kary: żołdat carski, stojący pod wieżą, co godzina liczy mu czas wygnania, uderzając w boki dzwonu własnem jego sercem.

Jeżeli pod tę wieżę pójdziesz o zmroku, pomimowolnie usłyszysz szmer jęku i staną ci fantastyczne postacie trupów, bo te schody, tę wieżę i te gmachy wzniesli ręką swoją jeńcy z pod Pułtawy, Szwedzi i Polacy. Ówczesny groźny rządzca Syberji, Czyczeryn, postanowił użyć jeńców do tej pracy; prawie ostatnią już kładziono cegielkę i prawie ostatnie obcierano krople potu, gdy przybiega goniec cara, zwiastujący wolność jeńcom. Wieść jak błyskawica przeleciała między jeńcami; rzucili kielnie i młoty, dziękując na kolanach Bogu za łaskę i cud jego. Było to południe. Ukaz najwyższy w chwili odebrania uwalniał jeńców, lecz nie tak chciał Czyczeryn, jemu brakowało jeszcze kilka gzymsów, kilka cegiełek do dokończenia pomnika swego, odsyła więc gońca z ukazem o wiorst kilkadziesiąt, z poleceniem wrócenia po zachodzie słońca,

a sam nagli jeńców do roboty. Gdy ci wzbraniają się, otacza siepaczami więźniów i na przyległym wzgórzu każe knutować. Większa połowa pod razami śmierć męczeńską znalazła, i gdy goniec cara przywiózł powtórnie łaskę carską po zachodzie słońca, większa połowa jeńców stała już wolna przed tronem Najwyższego. W wspólnem dole zagrzebano ich ciała, a lud w podaniu zachowuje pamięć czynu tego, mianując wzgórek ten pagórkim pańskim (Panin bugor). Wzgórek ten jest z prawej strony wielkiego wjazdu, który wiedzie jadących do górnego miasta. Na nim Sybiracy z własnych składek wystawili pomnik Jermakowi, który strony te dawnego państwa Tatarów carowi Kuczumowi wydarł i oddał moskiewskiemu władcy.

Opisów jest bez liku, jak rozbójnik unikając kary za morderstwa i grabieże w Moskwie, z garstką kozaków i włóczęgów, wsparty później ludźmi kupców Strogonowych, podbił naród liczny, w którym panował car Kuczum, zniewieściały następcą Gengis-Chana. Nie sami tylko Hiszpanie

niewdzięcznymi okazali się Kolumbowi, który im świat nowy odkrył, zawojował i do berła ich królów przyłączył. I moskiewscy carowie, niepomni na zasługi Jermaka, nie mogli się zdobyć na pomnik dla niego; dopiero potomkowie wygnańców, w krainie przez niego do Moskwy przyłączonej, wspólną składką wzniesli pomnik Jermakowi; car raczył na to zezwolić — i to wiele.

Tym wjazdem, nad którym pomnik Jermaka czuwa, dostaniesz się do górnego miasta; na lewo będziesz miał sobór, dom Archireja z ogrodem, i zabudowania zarządu generał-gubernatora Syberji zachodniej. Na prawo z po za cerkwi Spaskiej wygląda główna tiurma czyli więzienie i przykaz o ssylnych, wprost zaś ciebie idzie ulica zabudowana drewnianymi domami i wyłożona balami aż do samych rogatek, za którymi oddzielone jarem ścieli się przedmieście zwane *Zawalnaja dierewnia*. Znajdziesz tam domy *Strumiły* i *Cejzyka*. Lecz nim tam dojdiesz, spojrzysz na lewo i schyliwszy kornie czoło, westchnij za dusze braci wygnańców, co tam na obcej zmarli

ziemi. — Nieokazały cmentarz tobolski i w pomniki ubogi. Przywiązana żona i rodzina pułkownika Oskierki wzniesli mu pomnik z białego marmuru; jedyny to grobowiec Polaka, ale za to iluż ich tam leży bez grobowców! Ziemia, która nigdy głębiej jak na arszyn nie rozmarza, zachowuje ich ciała w całości, i gdy dla nowego przychodnia grób kopią, w przypadkowo odkopanym dawnego często ujrzysz przyjaciela. Lecz jeżeli ziemia zachowuje nietknięte szczątki zmarłych, powietrze niszczy je natychmiast i owionąwszy trupa osobliwie w lecie, w proch go obraca.

Powyżej przedmieścia Zawalnaja derewnia, po prawej stronie głównego traktu stoi letni dom Archireja pośród brzozowego gaiku, zwanego Archirejskaja roszcza. Tamtędy idzie trakt główny, tworzący główną arterję ruchu; ciągnie się on aż do Irkucka i przecina na wpół Syberję jakby zaludnionym pasem. Na lewo z traktu tego nie schodź wędrowcze, bo zginiesz wśród błot i manowców w labiryncie tundrów, które ztąd ciągną się aż do morza lodowa-

tego. Tam tylko dzikie zwierzęta hulają i czasem zabłądzi noga Ostjaka, śledząc za zwierzyną.

Wróćmy się teraz do dolnego Tobolska. U stóp góry, wiodącej z górnego do dolnego miasta, jest cerkiew Bogarodzicy, sławnej cudami. Co rok w miesiącu lipcu w święto jej imienia lud idzie z procesją do Obołaku i święty jej obraz przynosi do Tobolska na 10 dni, po upływie których odnoszą go napowrót. Prosto od tej cerkwi ciągnie się ulica Wielka-Archangielska, na niej kształtne drewniane domy, w środku ratusz główny, za nim po lewej stronie zabudowania sztabu głównego, nad błotnym osiadle rynsztokiem, a na przeciwko po prawej stronie koszary; na końcu ulicy z lewej strony mały ogród brzozowy jest ogrodem publicznym. Za miastem na prawo ciągnie się obóz, a droga koło niego prowadzi do przewozu przez Irtysz, i tam są magazyny solne, na przedmieściu zwanem Podczuwasze.

W mieście od cerkwi Archangielskiej idąc w lewo, znajdziesz się na placu parady, oto-

czonym z trzech boków rzędami armat żelaznych bez lawet i połączonych między sobą piramidami kul i granatów. Na prawym rogu od wejścia stoi dom piętrowy, w którym generał-gubernator mieszka; idąc wzdłuż domu tego ulicą zajdziesz na rynek, gdzie w środku jest główny bazar. Tam wszystkiego dostanie, nawet cygara. Niżej ku Irtyszowie leży mały plac, zwany rybnym bazarem, i oko twoje zdziwi się na widok nieznanych, wielkich i różnorodnych ryb syberyjskich. Obok ogromnego jesiotra leży nieporównany w smaku sterled; biała nielma obok olbrzymich karasi, okoni i karpów, ale jeśliś synem polskiej ziemi, rzuć się na szczupaki, płacąc po groszu za funt. Za to znowu cała Syberja raków nie posiada i nie zna ich zupełnie. Mięsa raz tylko na rok dostanie kupić na Syberji. Na trzy dni przed Nowym rokiem jest jarmark na mięso na placu parady, i wtedy dziwne znajdziesz tam wojsko: na około placu jakby grenadjery stoją odarte i zamrożone woły, dopełniają tych szeregów wieprze i cielęta, a prosięta i zwierzyna kupami leży

po bokach. Tam dobrze porachuj się z twoim żołądkiem, bo od razu musisz kupić na rok cały, a wielkich na to nie trzeba pieniędzy; za 25 r. asygnacyjnych (koło 7 r. sr.) zaopatrzysz się dostatecznie, choćbyś posiadał Heliogabalski apetyt, a każdego domu piwnica jest naturalną lodownią gotową do przechowania tych zapasów.

Od domu jenerała-gubernatora, ale z przeciwnego rogu idąc ulicą w miasto, dojdiesz do małego placu, gdzie ujrzysz wielki dom drewniany z czterema filarami od frontu; jest to dom zabaw, zwany dworjanskoje sobranje. W tym jednym domu w Tobolsku odbywają się publiczne zabawy, w których mogą brać udział tylko ci, co rangi mają. W tylnej części tego budynku jest kilka pokoików, w których przyjezdni mieścić się mogą za pozwoleniem policji. Przebiegły Niemiec nazwiskiem Schlau, za oszustwo na Syberję zesłany, zaopatrywał ich potrzeby i umiał ich obdzierać nie gorzej od europejskich oberżystów. Żadnych innych oberż, cukierni, bilardów i t. p. miejsc publicznych Tobolsk nie posiada, widać rząd

obawia się takich miejsc do schadzek. Czytelnia jest tylko prywatna; przez hr. Mozyńskiego pozostawiona jego własna biblioteka, pod nadzorem Pietraszkiewicza z darów dobrowolnych od wygnańców urosła w znaczny księgozbiór. Tytuł wygnańca daje prawo do użytkowania z tego zbioru bezpłatnie.

Fizjonomia Tobolska przedstawia się dosyć smutnie, 1-dwie tam znajdziesz 6 mурowanych cerkwi i tyleż takich domów rządowych i bogatych kupców, jako to Pielanki i Zmyszlajewa, zresztą wszystkie domy drewniane i wszystkie prawie ulice, osobiwie w dolnem mieście, wyłożone balami zamiast bruku. Przy małym kościołku luterskim jest pastor, katolickiego kościoła nie ma zupełnie; w Tomsku jest katolicka kaplica, przy której mieszka dwóch OO. Dominikanów, przysłanych z Wilna, aby udzielać pomoc religijną wygnańcom. Mają oni obowiązek co 2 lata objechać wszystkie miasta i włości zachodniej Syberji; o dniu przyjazdu ich policja zawiadamia każdą miejscowość. W naznaczonej obszerniejszej

izdebce urządza się ołtarz i odbywa się publiczne nabożeństwo.

W 1838 r. jeden z tych księży przyjechał do Tobolska i mieliśmy sposobność słuchania mszy św. i nieszporów. Damy moskiewskie z arystokracji tobolskiej rozciekawione przyjechały na ostatnie nieszpory zobaczyć jak się to Polacy modlą. Było nas do dwóchset zgromadzonych, i w końcu nabożeństwa, gdy zaczęliśmy śpiewać suplikacje, widok tych wygnańców tak daleko od rodzinnej ziemi ryczących z płaczem do Boga, błagając jego miłosierdzia głosem, który grzmiał jak wyrzut carowi, chociaż w języku niezrozumiałym, tak oddziałał na te damy, że dwie omdlałe wynieść musiano.

W czasie bytności księdza, odbywają się także i śluby, ale to bardzo rzadko się zdarza, bo Polacy silnie do wiary przodków przywiązani, bardzo rzadko żenią się z Moskiewkami, i bez małżeństwa bardzo łatwo obejść się można na Syberji. Chrztu zwykle odbywał Pietraszkiewicz, a pogrzeby odprawiali popy podług ich obrzędu, bo trudno było na razie szukać księdza naszego, o ty-

siąc kilkaset wiorst oddalonego. Wygnaniec polityczny nie może być pochowanym, dopóki nie zjedzie komisja delegowana do przekonania się o tożsamości osoby zmarłego. Fuhrman zmarły w Pałymie, 6 miesięcy po śmierci swej musiał czekać na komisję, zanim dozwolono go pochować; szczęściem trafiło się to w zimie.

Wiara mahometańska ma tu także licznych wyznawców, pierwotni albowiem mieszkańcy krajów tych, Tatarzy, są wszyscy bez wyjątku tego wyznania i część miasta Tobolska Piłacka zwana, przez samych wyłącznie Tatarów jest zamieszkałą; tam mają oni swój meczet, w którym zamieszkuje Mułła, reszta tej części miasta, oprócz gimnazjum murowanego, nic wzmianki godnego nie zawiera.

Okolice Tobolska chociaż dzikie, wiele mają piękności, ale tylko w czasie lata, t. j. przez 3 miesiące, bo już ku końcowi września (naszego) śniegi padają; październik zwykle ładny, lecz 10^o Reaumura niżej zera prawie ciągle panuje, a w połowie tegoż miesiąca już sanna zupełnie ustalona.

W grudniu, styczniu i lutym często mrozy do 36 stopni dochodzą; w czasie mrozów żadnego zwykle wiatru nie ma, zupełna w powietrzu cisza, a mróz oddech taje. Straszny i zadziwiający jest widok Tobolska w zimie, domy wszystkie nika pod śniegiem, który całe miasto do wysokości pięciu arszynów pokrywa, i wjeżdża się w przekopane wąwozy tego śniegowego Herculanium. Wąwozy te tworzą ulice, z których małe na bok przekopy tworzą wnijścia do domów i otwory do okien. Z górnego miasta patrząc na dolne, widzisz przed sobą bezkoneczny ocean śniegu, z którego jak maszty okrętów wynurza się kilka kopuł ciekawnych pomiędzy niebotycznymi słupami dymów kominowych, a gdy zorza północna, która tu jest częstym zjawiskiem, oświeci różowo te dziwy, tak to ci wyda się niezwykłym, tak czarującym i okropnym razem, iż ci się zdawać będzie, żeś uleciał nad ziemię i ku eterycznym dążąc krainom, zamarł w przestrzeni.

W końcu maja naszego nika wszystkie cechy zimy, jakby na skinienie jakiego czar-

noksiężnika roztopią się śniegi, wezbrany Irtysz z Tobołem 40 wiorstowem otoczą Tobolsk jeziorem; po tygodniu trawa puści, nieledwie widać jak rośnie, powódzie znikną, drzewa ożyją i lato bez wiosny w gorącej wita cię szacie. Wtedy żyj i odychaj, i nie trać chwili czasu, bo za trzy miesiące wszystko się skryje do śnieżnego grobu. W lecie nocy nie ma, słońce między 10tą a 11tą godziną wieczorem twarz ku ziemi skłoni, a o 2ej godzinie po północy z drugiej strony jaskrawem już wygląda okiem. Nocy wcale nie ma, a te kilka godzin, przez które się słońce chowa, oświeca zmierzch, lecz tak jasny, że przy nim z łatwością czytać można.

Mieszkając z Gustawem Zielińskim, w takiej porze do czarownych okolic robiliśmy wycieczki. Nie jedna chwila spędziła się tam w marzeniu, które ówczesne goiło troski, a wspomnienie tych chwil słodziło długo lata wygnania. Idąc wstecz biegu Irtysza, jarem o wiorst cztery znajdujemy się w Żukowie, w małej osadzie z kilku chat złożonej, w której osiedlili się wy-

gnani tu Czuchońcy. U nich jedynie dostanie masła świeżego funt po 2 r. asygnacyjne (blisko 4 złp.). Wszystkie masła w Moskwie zwykle są topione i z chlebem niesmaczne. Pan Juchniewicz, Litwin, wygnaniec, takie wyborne wypieka bułeczki, że trudno sobie odmówić przyjemności jedzenia jej przy kawie i posmarowanej świeżem masełkiem z Żukowa.

Tu także nieraz zsiadłe mleko z śmietaną przypominało nam wiejskie rozkosze rodzinnego kraju, a cudną była ta okolica; nie śmiem jej opisać, chyba słowami wieszczki Gustawa, bo jeżeli pędzel może odtworzyć widoki natury, wieszcz oprócz wizerunku jeszcze zidealizuje przyrodę.

Ach! bo czarowną była okolica,
 Co mi się w prawo i lewo odkrywa,
 Pod nogą przepaść, na której brzeg stromy
 Wzburzona rzeka mętne fale ciska,
 A nad przepaścią jak olbrzymów domy,
 W dziwacznych kształtach sterczą gór urwiska
 I na widokrąg półwieńcem rzucona
 Nadbrzeżna ściana zniża się i ginie.
 I widać rzekę, jak w biegu kręcona,
 Nadaje życie spokojnej dolinie.

W głębi doliny, którą wiosny tchuienie
 Wśród pieszczot stroi w różnobarwne szaty,
 Widać gdzieniegdzie rozrzucone chaty,
 Spokojnych ludzi spokojne schronienie.
 Dalej las ciemny, nad nim góra splywa
 A czoło góry znowu las odziewa;
 Lasy i góry mieszają się, błedną,
 To się rozchodzą, to znów w oddaleniu
 W nierozróżnioną jakąś całość jedną
 Zlewają kształty, to nikną w mgły cieniu,
 To znów na chwilę, jak błędne obłoki,
 Zmieniając światło, zmieniają widoki.
 A tak daleką jest już ta kraina,
 I tak wzrok słaby człowieka źrenicy,
 Że dojść nie może tej wietrznej granicy,
 Gdzie się las kończy, a niebo zaczyna.

(„Samobójca.“ Pieśń III strofa 4ta.)

Ale już czas, choć słońce wysoko jeszcze,
 ale komary prozaiczne dosiedzieć nie dają;
 dążmy więc spiesznie między góry i gaje,
 gdzie przytulona na łączce leży Sieriebrianka,
 tam nas Antoś Pausza w swoim domku,
 jakby w bukiecie błyszczących kwiatów
 czeka z przepiórkami upieczonemi z rzepą.
 O, bo rzepa jest to najdelikatniejszy produkt
 tego kraju, jest to ananas syberyjski,
 i szczerze wyznam, że chociaż roz-

maite jadałem rzepy w Europie, nawet Feltauerską, główny specjał szwabski w Prusach, żadna smakiem ani aromatem z tu-tejszą porównać się nie może.

Słońce skwarzy, upał nie do wytrzymania, lecz dniem wprzód umowy przechadzki i na niebie żadnej nie widać chmurki, więc w dość licznej gronie puszczamy się zwiedzić Iwanowsk, miejsce o 12 wiorst odległe, a na głównym trakcie Irkuskim położone w kotlinie między górami i jarami. Sióło to przez samych Moskali zamieszkane, wygląda zamożnie i schludno, główną jego ozdobą jest żeński monastyr z wspaniałą dosyć cerkwią, a w niej obraz, który nie pięknoscią pędzla słynie, ale wspomnieniem krotofilnej przygody.

Za czasu rządów Czyczeryna, Arsenij był archirejem tobolskim. Dwaj ci najwyżsi w tych stronach dygnitarze zgodzić się z sobą nie mogli, i nienawidząc się nawzajem, a nie mogąc sobie nic złego wyrządzić, starali się dokuczać jeden drugiemu. Czyczeryn w sąsiednim mieszkający gmachu, odbywał musztry z ogniem o 4ej godzinie

z rana i na takowe spędzał wszystkich doboszów, ażeby palbą ognistej broni i łoskotem bębnow uprzyjemniać chwile ranego wypoczynku archireja. Archirej chcąc się nawzajem odplacić, ile razy był jaki obiad, wieczorek lub posiedzenie u gubernatora, kazał bić we wszystkie dzwony, dopóki nie porozpędzał gości gubernatorskich, którzy się słyszeć i rozmawiać nie mogli.

I tak przez lat kilka dokuczali sobie, a zawsze całując się publicznie. Jednego dnia nie wiedzieć skąd zjawił się jakiś malarz w Tobolsku. Archirej dowiedziawszy się o tem, wezwał malarza i kazał mu na ścianie soboru wymalować sąd ostateczny, a w dolnej części obrazu z prawej strony, zapewne z polecenia archireja, malarz przy wejściu do piekieł wymalował Czyczeryna w paradnym mundurze, jak go djabli do piekła ciągną. Po skończeniu obrazu, Czyczeryn dowiedział się o tem, ale nie mógł się mieszać do cerkwi, bo to przechodziło jego władzę, zataił więc gniew i czyhał na sposobność odplacenia archirejowi, lecz ten w pół roku potem umarł. Czyczeryn nie

mogąc za życia archireja, odemścił się po jego śmierci. Kazał także odmalować sąd ostateczny w obrazie takichże rozmiarów jak ten wymalowany w soborze tobolskim, lecz w nim djabli do piekła ciągną archireja, i obraz ten darował do cerkwi zakonnic w Iwanowsku. Natchnięty myślą gubernatorską artysta, chciał się stać godnym takiego zaszczytu. W obu rogach wierzchnich obrazu stoją dwie grupy trębaczów i dobuszów pułku Preobrażeńskiego gwardji. Z wydętych policzków trębaczy i z wyprężonych mięśni doboszy widać, że energicznie ogłaszają rozpoczęcie sądu ostatecznego. W środku obrazu stoi stół pokryty sukniem czerwonym, a na środku stołu stoi wymalowane zwiercało z orłem moskiewskim na wierzchu. Za stołem siedzi pan Bóg, jak go zwykle malują, przed nim księga roztwarta z tytułem „zakony“ (prawa). Nad stwórcą unosi się Duch św. w postaci gołębia, za stołem z obu stron, jakby rada najwyższa siedzą: zbawiciel, patriarchowie, ewanieliści i święci, każdy z nich z atrybucjami swojemi, a wszyscy

w lentach i z gwiazdami i orderami na piersiach. Na rogu stołu, po lewej ręce, siedzi widać sekretarz z papierami, widać jakiś młody święty, bo ma tylko order św. Anny. W głębi po za sądem stoi pułk Izmajłowski gwardji w paradnej formie, prezentując broń, tym pułkiem komenderuje św. Jerzy. Pod stołem poniżej wymalowane jest piekło, t. j. płomienie ognisto czerwone, w tych płomieniach smażą się potępienicy. W środku piekła na samem dole widać gotującą się smołę w ogromnym kotle, do którego poddmuchują ogień różne djabły w postaci mnichów. Od bram piekieł ciągną archireja Arsenja czterech kozaków, przed nimi postępuje policmajster w szarście i w kapeluszu stosowanym, policmajster i kozacy mają długie ogony i małe rożki na głowie, jako oznaka, że należą do piekielnej policji. Pomysł obrazu czysto narodowy, szkoda, że rysunek i koloryt nie odpowiednie, albowiem nie wytrzymałyby porównania nawet z Częstochowskimi obrazami.

ROZDZIAŁ XI.

Myśliwstwo. — Burze, powozy, wozy i wozidła. — Tarrantas. — Suzgun. — Piękna Tatarka. — Opowiadanie Jerszowa o carze Kuczumie. — Omsk. — Kazimierz Gutkowski. — Nowe szelmstwo generała Broniewskiego. — Silvenhelm. — Piotr Wysocki.

Główny trakt, prowadzący do Tomska, przechodzi przez Iwanowsk; o 12 wiorst ku południowi, idąc po prawym brzegu Irtysza, napotykamy Uroczyszcze, położone o kilkaset kroków po prawej stronie traktu. Wśród dzikiej okolicy znajduje się wysoka góra, okryta lasem cedrowym i wznosząca się stromo nad samym brzegiem Irtyszu, oddzielona od traktu głębokimi jarami; dzikość i posepność tej okolicy jest wielka i zdumiewająca. Wieść niesie, że na tej gó-

rze stał niegdyś potężny zamek ostatniego cara tatarskiego, Kuczuma, dziś ledwo kilka napotkać jeszcze można pogniłych i poopalanych kłoców z dawnej budowli potężnego władcy. Siedziba cara, władającego obszernem państwem Tatarów, znikła bez śladu, pożarta zgnilizną, tak jak i państwo całe przez zniewieściałość rozwiane zostało. O wiorst 4 tymże traktem postępując, napotyka się sioło Obolak, przez Moskali zamieszkałe. Ztąd to Matkę Boską co rok na 10 dni w miesiącu lipcu noszą w procesji, na którą to uroczystość lud płynie z dalekich stron. Okolica dzika, pokryta lasem cedrowym, ojczyzna cietrzewi, głuszców i jarząbków. W początkach lipca, gdy się już cietrzewie wylęgły, odbywaliśmy tutaj nasze myśliwskie wycieczki. Mieszkańcy tych stron nie znają polowania z psem legawym i strzelania w lot. Nie mają też innej broni oprócz małych karabinków z nadzwyczaj grubą lufą gwintowaną, lecz z tak małym wylotem, że zaledwie lotką nabić się dają. Z tej broni strzelają za pomocą podpórki (soszek), ale strzelają nadzwyczaj celnie i

nie ma prawie przykładu, żeby o sto sążni nie trafili do małego nawet celu, lecz za to nie mają pojęcia o strzelaniu zwierzyny w biegu lub w locie. Zwierzynę wszelką czworonożną i ptaki łowią w sidła. Pierwszą parę wyźłów w 1830 r. sprowadził sobie na Syberję Szukszta, wygnaniec z Litwy, z tej pary powstał terazniejszy ród wyźłów na Syberji. Pierwsze zaś dwa ogary sprowadził tam sobie w 1832 r. także z Litwy wygnaniec, marszałek Bilgorajski. Jak niegdyś Grecy z Bizancjum przynieśli nauki do Włoch, tak w XIX wieku Polacy przynieśli na Syberję sztukę myśliwską.

Wyszędłszy tutaj z wyźłem na cietrzewie, z łatwością można jednemu ubić ich 50, z których połowę prawie sam pies złapie. Nieraz wyszedłszy w kilku z ogarami, musieliśmy najmować Tatarów do noszenia zwierzyny ubitej, gdyż w ciągu kilku godzin po kilkadziesiąt ubijaliśmy zajęcy. Zając tu-tejszy jest daleko mniejszy od naszego, i zimą i latem biały, a tutejsi mieszkańcy łowią go tylko dla skórki, gdyż mięsa nie

jedzą, i brzydząc się nim, twierdzą, że zając jest kotem. Na wiosnę gdy ciąg pta-ctwa wodnego rozpocznie się, wszystkie wody jakby kobiercem pokrywają, a spło-szone gdy rwać się zaczną, powstaje huk do grzmotu podobny i zaciemniają masami pra-wie światło słońca. Po skończeniu moich zatrudnień, koło 7ej godziny wieczorem wy-chodziłem zwykle z psem i z bronią w stro-nę przedmieścia Podczuwaszy, jakie ćwierć wiorsty od Tobolska, na błonia bagniste pod zabudowaniami komisarjackimi, i bez żadnego zmęczenia wracałem na herbatę, przynosząc kilkanaście do 20 dubeltów, po-mimo, że już na błoniu zastałem często wielu innych myśliwych.

Już dobrze nieraz mija południe, żadnej na niebie nie ma chmurki, a jednak upał i duszące gorąco powiększa się. Jest to nie-omylnym znakiem burzy, które tu często i gwałtownie przechodzą w porze letniej. Na-sze europejskie burze nie są w stanie na-wet w karykaturze przedstawić burzy sy-beryjskiej. W Europie mijają godziny, a cza-sami i dnie, nim się wyszykuje szlamazarne

burzątko, niebo zasepi się i pomarszczy jak zmartwiona baba, a tak nędznie i nikczemnie błyska, jakby burzy tej przedstawienie działa się na jakim prowincjonalnym teatryku wszechświata, gdzie kalafonija jest błyskawicą, gdzie taczana z kamieniami beczka grzmoty udaje i uderzenie w stary tułumbas piorun przedrzeźnia. Na Syberji inaczej: tu żartów nie ma, tu wszystko jest dzikie, ale olbrzymie; tu człowiek nie śmie się schronić pod konduktory; pada na kolana i w pokorze czeka śmierci. Niebo zupełnie czyste, w jednej zaczerni się chwili, lotem błyskawicy zetkną się chmury, deszcz lunie potopem jakby jakaś wodnista tkanina połączyła niebo z ziemią; błyskawice jakby bramy piekła co chwila roztwierające się, nigdy napróżno nie przyświecają, bo każda z nich ciska piorun. Dlatego też Bóg nie dopuszcza długo tutaj trwać takiej burzy; dziesięć minut przejdzie i burzy już nie ma; słońko jakby po kąpieli jasnym znowu świeci okiem, kwiatki wonniejszym dyszą tchnieniem, a kałuże prędko parują. Burze takie trafiają się zwykle po kilkakroć

w ciągu tygodnia, a czasem bywa ich kilka w dniu jednym. Pioruny to rzecz powszednia, corocznie po kilkanaście ich uderza w domy i cerkwie, lecz rzadko wzniecają pożary i przyznać należy, że piorunowa służba w tych stronach dobrze urządzona, bo jeżeli jeden piorun coś przypadkiem zapali, to zaraz następny ugasi.

Trudno wymagać, ażeby w Tobolsku znajdowały się fabryki powozów; koczki i karety są wyrobu europejskiego, niemi przejeżdżają się tylko najwyżsi dygnitarze i ich rodziny. Ogólnem wozidłem w Moskwie i Syberji są telegi czyli kibitki, już przez nas opisane. Zamożniejsza klasa do dalszych podróży używa tarantasów. Są to dwa półwozia z okutemi kołami na drewnianych osiach, które idą oddalone jedne od drugich o jakie 5 łokci, połączone z sobą trzema lub czterema drągami brzożowemi; w środku tych drągów osadzony jest wasąg, jakby krytej bryczki. U niektórych tarantasów, mających większą pretensję do wykwintu, wasąg ten jest w kształcie koczobryka, opatrzonego budą ze szpryglami. Wygodnisie

zaś zamiast wasągu przytwierdzają na tych drągach pudła starych karet poczwórnych lub podwójnych. Wozidła te lubo z pozoru nie elegancko wyglądają, jednakże jak na tujsze drogi są nadzwyczaj wygodne i praktyczne; pudło albowiem zawieszane na drągach łączących osie i zastępujących resory, bardzo lekko niesie, a miejsca przed i z tyłu pudła można zapęłnić pakunkami licznymi; odległość kół o 5 łokci od siebie idących, zabezpiecza od wywrotu, choćby się przebywało największe dziury i wyboje; największą zaś ich zaletą jest, że w kraju, gdzie zaledwie co kilkadziesiąt wiorst znaleźć można jaką kuźnię i kowala, w razie zepsucia się, lada kto jest w stanie sporządzić, bo wszystkie części składowe są z drzewa. Podobnego rodzaju tarantasy używają się także do spacerów w licznych towarzystwach, tylko są lżej i zgrabniej robione jak te, co do podróży służą. Drągi łączące osie, są pokryte deskami, na których kładą materace, sienneki lub poduszki, a jadący siadają bokiem do koni. Pomiedzy kołami z dwóch stron są znowu przytwierdzone deski, żeby po nich

wsiąć można i nogi na nich oprzeć. Tarantas taki 10 osób może łatwo pomieścić, woźnica siedzi na samym przodku frontem do koni, a z tyłu jest skrzynka na zapasy.

Takim tarantasem puściliśmy się raz przez górne miasto i Zawalnię-Dierewnię traktem głównym ku Berezowu. Trakt ten ma tylko 20 wiorst długości do wioski Bronikowej, dalej już płynie się lub jedzie po lodzie Irtysza i Obi. Przejechawszy przez Zawalnię-Dierewnię, jechaliśmy jarem wiorst 12 i wyjechaliśmy na błonia Nad-Irtyszowe; w środku tej płaszczyny okolonej jakby wieńcem górami i jarami leży duża wieś tatarska z meczetem, zwana Suzgun, na lewo od niej po nad Irtyszem wśród łąk dosyć bagnistych wznosi się góra lasem cedrowym pokryta, nazwiskiem także Suzgun, i na niej spełniło się wielkie i okropne poświęcenie w czasach zawojowania Syberji przez Jermaka.

Dwie ciekawe rzeczy sprowadziły nas tutaj: najprzód widzieć piękną okolicę i przypatrzeć się miejscom, gdzie ostatecznie skończyło się panowanie Kuczuma, a powtóre wi-

dzieć najpiękniejszą dziewczę tatarską w tych stronach. Zaczniemy od żyjących, a następnie mówić będziemy o umarłych.

Szybko-ręcza trójka przywiozła nas do Suzguna. W środku wioski wjechaliśmy w dziedziniec otoczony parkanem naokoło porządnego domu z okrągłaków. Z boku domu był ganek ze schodami jakby na pierwsze piętro. Sybiracy bowiem nie zajmują nigdy dolnej części domu, którą obracają na schowania, piwnice, a często na stajnie lub obory. Przed gankiem stały dwie ławki, obok których tliło się kurzewie dla odpędzenia komarów. Wsiadłszy, pierwszym staraniem Sybiraka, a zatem i naszym było, nastawić samowar.

Bez herbaty nie ma życia dla Sybiraków, nie ma rozkoszy, nie ma zabawy, i gdyby herbata jakim wypadkiem zaginęła, wymarliby wszyscy Sybiracy, albo przynajmniej utraciliby rozum. Dzwonek naszej trójki już był wszystkie psy rozbudził i ściągnął do parkanu wszystkich Tatarów, Tatarki i Tatarzątka, i czarne oczy świeciły zewsząd przez szpary parkanu, jakby w nocy święto-

jańskie robaczki w trawie, a zapach właściwy Tatarom więcej dał się czuć nosom naszym, jak smród kurzywa na dziedzińcu rozłożonego, jednakowoż musi to być rzecz względna, bo komary były przeciwnego zdania. Dom, na którego dziedzińcu rozłożyliśmy się, należał do Tatara Gelena, ojca owej sławnej Wenery tatarskiej, i gdyśmy uzbrojeni szklankami herbaty w jednym zasiedli kółku, zjawiła się piękna jego córka. Na imię jej było Salme (Salomea), wzrostu średniego, kibić nadzwyczaj kształtna i wątła, ręce i nogi jakby utoczone, włos i oko kruczej czarności, spojrzenie śmiałe i przenikające, a z różowych ust wyglądały dwa rzędy pereł prześlicznych, płeć tak biała, że z kredą mogła walczyć o pierwszeństwo, a patrząc na ojca i matkę, których twarze wyglądały jakby wykrojone z toruńskiego piernika, snuły się jakieś dziwne myśli o defraudacji europejskiej. Salme mogła mieć lat 17, krucze jej warkocze strojne w końcach w świecidła i pieniążki spadały w dwóch promieniach na jej plecy i piersi, głowa kryła się w muślinową zasłonę haftowaną

złotem, ręce objęte były świecąciami się manelami, gorset naszywany różnemi pieńżkami, krył piersi, na które z szyi spływało kilka sznurów koralu; żółta jedwabna spódniczka uwydatniała kibić i biodra, a spódniczkę okalało kilka czarnych obszewek; z pod tej spódniczki dwie prześliczne po wyżej kostek wyglądały nóżki w białych pończoszках z klinami, na bokach złotem zahaftowanymi. Stopki kryły się w dwóch czerwonych trzewiczkach, obszytych marszczoną niebieską tasiemką. Piękną była Salme i wiedziała o tem, a zgrabny ukłon, którym nas uraczyła, dowodził, że tego rodzaju wizyty nie były jej obce. Zasłużoną miała piękności sławę i do Wenery mogła być przyrównaną, ale czy miała jakie podobieństwo z Minerwą, tego nie wiem, bo ja po tatarsku nie umiem, a ona po polsku mówić nie umiała.

Po herbacie zaprzężono konie. Do góry Suzgunu dojechać nie można, a piechotą przez błota droga trudna; jadąc więc tylko z dala będziemy patrzeć na górę, gdy Jersow, dziecię stron tutejszych, jako poeta, opowie

nam walki i przygody ostatniego cara Tatarskiego. Jerszow przyjął wezwanie i oto treść jego opowiadania :

Car Kuczum panował, miliony Tatarów zaludniały tę ziemię; pod błogiem panowaniem dobrobyt i swoboda wzrastały. Jakby chmura gromem brzemienna, wtargnęła od zachodu najezdników zgraja. Jermak syt mordów i grabieży, zebrał szajkę łotrów i z nimi na tę ziemię krwawe zapuścił zagony. Allah ciężkie ramię swoje spuścił na Kuczuma, rycerze jego rozprószeni, dobytki pożogą niszczały, on sam stał się tułaczem, bez przytułku błąka się po stepach; już najezdniczy minęli, gdzie się Toboł z Irtyszem łączy, i żądni łupieży spieszą wzdłuż Irtysza. Tam na samotnej nad Irtyszem górze stał zamek, w nim już nie ma Kuczuma, lecz jest Suzge, córka jego, a z nią stu rycerzy; oni za księżnę z chęcią oddadzą życie, byle ją zbawić i ochronić mogli. Jermak nadbiegł w te miejsca i szturmy przypuszcza; już runęły wały i bramy się zachwiały, lada chwila zbójca stanie się panem tej twierdzy. Pod wieczór Suzge zbiera ry-

cerzy swoich, w środku zamku każe stos ułożyć, i gdy wśród ciemnej nocy rycerzy swoich na drugi brzeg Irtysza wysyła, sama śle gońca do Jermaka, że nazajutrz ze świtem odda mu zamek i siebie. Zaledwie błysły pierwsze promienie skąpane rosą, niecierpliwy Jermak dąży z drużyną na zamek. Cicho i bezludno w nim... wpada w dziedziniec wewnętrzny i widzi stos zapalony, a na nim dziewica ze strzałą w rękę. „Oto mnie masz Jermaku i zamek mój“! Dziewica mówiąc to, strzałę w swem sercu utopiła. Stos gwałtownym objął ją płomieniem i na ognistej swej dłoni jej duszę poniósł ku niebu. Od dymiących zgliszcz Jermak uchodził zdjęty zgrozą i strachem, a chcąc się połączyć z namiestnikiem swoim, który z resztą wojska i z łodziami czekał, gdy skoczył z lądu na statek, w nurtach Irtysza marną śmiercią zginął. Lud sybirski w podaniu uwiecznił pamięć o księżniczce, a jej imieniem uświęcił miejsce, gdzie stał jej zamek.

Wiek XIX tak płodny w wynalazki, ten twórca parostatków, kolei żelaznych i tele-

grafów elektrycznych, zdaje się, że ma przeznaczenie, ażeby wyczerpał wszystko co jeszcze ludzkości pozostaje do przeżycia. Cała albowiem dążność, całe usiłowanie na to tylko skierowane, ażeby w jak najkrótszym czasie jak najwięcej przeżyć. Dziś żądza i spełnienie muszą być jednoczesne, a cierpliwość i wytrwałość zdają się jakby usunięte z przymiotów człowieka. Każdego jutra inne jest pragnienie, bo dzisiejsze już musiało być spełnione. Pomysł każdy zaledwie poczęty, już chciałby być dokonany, ztąd powstał chaos żądz, usiłowań, rozpacz, ztąd każdy nie wie rzeczywiście czego chce, czego pragnie, jak żyje i jak żyć będzie, bo dziś nie wie, czego zapagnie jutro lub pojutrze. Dziś żyjemy tak prędko, jakby wiek ten był ostatnim wiekiem istnienia świata całego. Wyglądamy zawsze czegoś, co określić nawet nie umiemy, a chociaż od początku świata, jak dzieje sięgają, nigdy człowiek nie był zadowolony stanem swoim, jednakże umiał czekać; dziś czekania nie pojmują. Wynalazki wieku tego przekształciły życie i charakter człowieka. I ja, co to piszę, chciał-

bym, żeby ten ciąg myśli, które mi się snują, lotem telegrafu kładła na papier jaka machina parowa o sile 100 koni.

Nadszedł d. 20. maja 1839 r., i zabrawszy się z porucznikiem Bielajewem, pojechałem do Omska tarantasem, zaprzężonym w trójkę dzielnych koni pocztowych. Oj, wy nie znacie, co to są poczty tamtejsze, a chociaż tam para wydobywająca się z koni nie przyczynia się do ich chyżości, jednakże w dobę 32 wiorst ujechać można. Wiosna czyli roztopy zaledwo się rozpoczęły i gęsto jeszcze po jarach i wąwozach można było widzieć śnieżne zasy, droga była błotnista i dosyć gęsty deszczyk padał. Na trzeci dzień z rana jadąc dniem i nocą, stanęliśmy w miasteczku Tiukała, odległem o 480 wiorst od Tobolska. Nędzna miejscina, z półtorasta domów złożona, a tem szczególna, że w całym mieście nie ma ani jednej studni, po wodę mieszkańcy muszą chodzić o 5 wiorst do jeziora i tam bydło poją. Przenocowawszy dla odpoczynku, nazajutrz rano w dalszą ku Omskowi puściliśmy się drogę; wszystkiego pozostawało nam 120 wiorst jeszcze.

Przebywszy nad ranem Irtysz, o 12 wiorst od Omska oddalony, stanęliśmy wkrótce u kresu podróży naszej. Najprzód pokazała się nam mała forteczka nad brzegiem Irtysza, oszańcowana ziemnymi robotami, z czterema bramami na cztery świata strony; w środku forteczki wielki plac okolony koszarami, zabudowaniami sztabu i mieszkaniem jenerała-gubernatora; wszystkie te budowle murywane, ale bez pięter. Wały kilku staremi opatrzone armatami, i to bez lawet, więcej dla militarnej ozdoby, jak dla wojennego użytku. Wjeżdżając od północy, przejeżdża się przez dość wielkie przedmieście w którym po prawej stronie są obszerne budowle, mieszczące w sobie główny zarząd jenerała-gubernatora, biura zarządu kirgiskiego, intendanturę i komisarjat z magazynami, po lewej zaś ręce zabudowania głównego lazaretu. Przejechawszy zaś bramę wschodnią, wyjeżdża się na przedmieście kozackie, gdzie po prawej stronie widzi się budynek dwupiętrowy, mieszczący w sobie instytut naukowy kozacki, a za tem przedmieściem ku południowi ciągną się

obszerne koszary piechotne kozackie i artylerji kozackiej.

Na tem przedmieściu zająłem wyznaczoną mi kwaterę w domu kozackiej wdowy Iwanowej, dosyć schludnym, lecz równie zapluskwionym jak wszystkie mieszkania na Syberji. Tu odkrył mi się pierwszy widok stepu, ztąd bowiem zaczyna się step kirgiski, kraj płaski, smutny, jak daleko oko sięgnąć może ani jednego nie widać drzewa, tylko płową stepu zieloność bez końca, bez granicy, a Omsk w tym stepie, jakby murowana wyspa samotnie zalega.

W kilka dni później przybyła i cała muzyka z Tobolska, którą pomieszczono w koszarach fortecy. Zająłem się niebawem uporządkowaniem takowej, zwłaszcza, że przybyło mi zatrudnienia, albowiem oprócz przybyłej muzyki, zastałem miejscowy chór artylerji konnej kozackiej, złożony z samych trębaczy. Połączywszy ten chór z muzyką, dokompletowałem brakujące głosy muzyki trąbkowej, i uformowałem dwa chóry muzykantów, jeden zwykły piechotny, drugi muzyki strzeleckiej, i tak wyuczyłem, że na

przemian grywały na paradach. Dużo mnie to czasu i trudów kosztowało, lecz wytrwalością i zamięłowaniem zwyciężyłem przeszkody. Ks. Gorczakow dziękując mi za moje starania, naznaczył mi 500 r. as. (około 150 r. sr.) pensji i kazał dać mi kwatery w koszarach, gdzie mieściła się muzyka, co było wielką dogodnością dla mnie, albowiem codzienne chodzenie z przedmieścia do fortecy na próby muzyczne było bardzo utrudzającym dla mnie, osobliwie też w dniie dżdżyste.

Pod te czasy po ukończeniu nauk w akademji wojennej, przyjechał do Omska Kazimierz Gutkowski, Polak, jako porucznik kwatermistrzostwa. Miłe mi będą zawsze wspomnienia czasów, które z nim przeżyłem, miał bowiem kwaterę swoją tuż obok mnie, na tym samym korytarzu. Był rodem z królestwa, a gdy stracił rodziców w rewolucji 1831, car kazał go jako sierotę pomieścić w korpusie paziów, z kąd przeszedł na koszt skarbowy do akademji wojennej, z której po ukończeniu dwuletniego kursu naznaczony został na służbę do tutej-

szego korpusu. Od pierwszej chwili poznania przyjaźne zawiązały się między nimi stosunki i nie rozerwały się niczem do końca mego wygnania. Był to człowiek młody, przystojny, choć małego wzrostu, z niepohamowaną żądzą nauki i namiętnie oddający się chemji i naukom przyrodzonym.

Trudno sobie wyobrazić niektóre oryginalności jego; kwatery jego warta jest opisu. Była to wielka izba o dwóch oknach, w rogu stał tapczanik z bardzo nędzną na nim pościółką, około tego posłania na ziemi i na stołkach pojedynczo i kupami porozrzucane książki, niedopalona na stołku świeca, prosta fajka i inne graciki, pod oknem wielki stół sosnowy, a na nim pełno rurek szklanych, retort, flaszek i flaszeczek różnego rodzaju z rozmaitymi odczynnikami, kwasami, pierwiastkami, spirytusami; na przeciw tego stołu urządzony komin chemiczny, w którym tliły wiecznie żarzące się węgle; z boku stało kowadło z całym zapasem potrzebnych do kucia narzędzi; dalej na kołku wisiał mundurek, który jeden tylko posiadał, a pod płaszczykiem sy-

piał; w drugim rogu izby, w kącie odgrodzonym, na słomie leżało jego cielő ulubione i oblaskawione, które pieścił jakby najpiękniejsze stworzenie; dodać do tego trzeba, że w izbie tej nigdy szcotka albo miotła nie powstała z przyczyny, żeby kurzu nie poruszać, a głównie żeby dać pokój pająkom, które po wszystkich ścianach i kątach porozpinały sieci swoje, i które on pielęgnował ze szczególniejszem upodobaniem. Można sobie wyobrazić, jak izba ta wyglądała i jaka napełniała ją atmosfera. W izbie jednakże tej nie raz długie i bardzo przyjemne przepędzałem chwile, z nim tylko we dwóch nie czując braku innego towarzystwa i potrzeby jego. Okopcony, omurzony, w starym i poplamionym szlafroku przyjacielsko i tak szczerze przyjmował mnie zawsze, żeśmy jak dwaj bracia żyli. Był on filozofem w całym znaczeniu tego wyrazu, jedna tylko nauka zajmowała całe jestestwo jego, reszta była niczem, pieniądze jakie tylko miał, wszystkie szły na książki i preparata, które z wielkim kosztem musiał sprowadzać z m. Moskwy; o pożywienie wcale się nie tro-

szczył. Takim go poznałem, i takim odjechałem. Nie wiem, co się z nim stało, na moje listy nie odpisał ani razu; zawsze uważał to za marnotrawstwo czasu, poświęcić choć jedną chwilę na korespondencje.

W Omsku na samym wstępie doszła mnie smutna wiadomość, dowiedziałem się o niej z ust wiarogodnych, a sam nie byłem naocznym świadkiem wypadku. Opiszę więc tylko jak słyszałem, a chociażby szczegóły wszystkie nie były ściśle opisane, rzecz jednakowoż sama miała niestety rzeczywiście miejsce.

W 1836 czy 1837 r. przechodzili przez Tobolsk: Piotr Wysocki, Malczewski i kilku innych, którzy jako główniejsi przestępcy z rewolucji 1831 r. skazani byli na ciężkie roboty do wschodniej Syberji. Doszedłszy do Irkutska, przeznaczeni zostali do Aleksandryjskiego zawodu o 36 wiorst od Irkutska. Tam znaleźli się razem ze skazanymi z naszej kategorii: Mystkowskim, Luboradzkim, Weberem i Kownackim. Jenerał Broniewski, który wówczas już był jenerał-gubernatorem wschodniej Syberji zabrnął był w liczne nad-

użycia, które mu groziły śledztwem, a nawet oddaniem pod sąd. Pamiętał on, że to miejsce jenerał-gubernatora i order św. Anny z gwiazdą dostał w nagrodę za odkrycie owego buntu polskiego, o którym wyżej wspomniałem; pomyślał więc, czy ułożywszy coś podobnego, nie okupiłby się tem od grożących mu śledztw i sądów. Miał przy sobie adjutanta barona Silvenhelm, któremu ten cały powierzył interes.

Silvenhelm udał się do Aleksandryjskiego zawodu, i zaznajomił się tam z Polakami, a łatwo mu to przyszło, gdyż rodzony brat jego, pułkownik kwatermistrzostwa w Tobolsku, człowiek prawy i ze wszech mniar godny szacunku, od wszystkich Polaków był znany i poważany. Irkucki więc Silvenhelm zyskawszy zaufanie Polaków w zawodzie jako brat rodzony poczciwego pułkownika, podsunął im myśl ucieczki do Bucharji i dostarczył map i broni. Wysocki chwycił się tej myśli i nakłonił innych. Silvenhelm wskazał im drogę, a nawet obiecał ułatwić przeprawę przez Angarę. Niebaczni zaufali nikczemnikowi i

w oznaczonym dniu opuścili zawód, udając się w kierunku wskazanym. Przyszedszy nad brzeg Angary, znaleźli podług obietnicy czekającego na nich rybaka, który ich miał przewieźć na drugą stronę rzeki, wszyscy więc 12 wsiedli na łódź obszerną. Rzeka Angara jest nadzwyczaj bystra i tem tłómacząc się rybak, udał, że musi przybić do wyspy na środku rzeki będącej i gęsto porosłej drzewami. Znajdujący się na łodzi Polacy nie chcieli na to pozwolić i groźbami naglili rybaka, żeby płynął ku drugiemu brzegowi rzeki, lecz pęd wody zbliżył ich do wyspy. Wtedy wyskoczyło z za drzew kilkudziesięciu ukrytych żołnierzy i ognia dali do płynących. Ci wskoczyli do wody, chcąc się ucieczką ratować, lecz rozstawieni dokola żołnierze wszystkich pochwytali. Jeden tylko Kownacki był ranny; związanych odstawiono do Irkutska, gdzie sąd wojenny czterech skazał na pędzenie przez różgi, po 2000 różg każdy, a innych osądził po 1000 i po 500 różg według widzi-miszę pana Broniewskiego, wszyscy zaś skazani zostali do ciężkich robót w Nerczyńsku.

Otóż i drugi krwawy dramat, wymyślony przez generała Broniewskiego, lecz ten nie tak pomyślnie, jak Broniewski sądził, sprowadził skutki; czy że powtórzona sztuka nie znalazła wiary, czy też, że nadużycia jego były zbyt wielkie, aby je można było płazem przepuścić. Gdy śledztwo przeciw niemu rozpoczęto energicznie, Broniewski widząc, że źle, udał warjata; rząd usunął go z generał-gubernatorstwa i mianował go senatorem przewodniczącym w jednym z departamentów senatu w m. Moskwie, a w tem mieście tak są biegli lekarze, że choroba Broniewskiego w tydzień po przybyciu tam jego zupełnie wyleczoną została. Silvenhelm postąpił na rotmistrza i otrzymał order św. Anny 3 klasy.

ROZDZIAŁ XI.

Huragan. --- Pożar. — Uwolnienie. — Hrabianka kucharką. — Jej historia. — Mój koncert. — Pożegnanie z muzyką. — Iszym. — Raport Gorodniczego o Humboldt'cie.

Huragan częstym jest gościem południowych stron Syberji; pierwszy raz widziałem go w Omsku. Było to w końcu lipca, dzień był jasny i pogodny, zaraz z południa nastąpiła zupełna cisza, cisza grobowa, wietrzyku nie było żadnego, choćby najłżejszego, słońce otoczone jakby różową parą, jasno przyświecało, a chociaż stało jakby kolumna niewzruszona, jednak pojawiała się tchnienie, jakby z rozpalonego pieca, tak gorące i duszące, że niepodobna było prawie oddychać. Wszystkie zwierzęta i ptaki pokryły się,

nawet świerszcze w trawach przestały odzywać się, a chociaż żadnego nie było powodu, mimowolnie przerażający strach ogarniał człowieka. Świadomi mieszkańcy już wiedzieli o nadejściu huragana; wszystkie drzwi do domów pozamykano i okiennice przytwierdzono mocno. Każdy w modlitwie szukał pociechy i ochrony. Duszność była nie do wytrzymania; różowe pary otaczające słońce coraz bardziej zajmowały niebo, zmieniając kolor różowy na miedziany, tak że zdawało się, iż słońce, które jaskrawo świeciło, jest tylko odbłaskiem innego słońca i z innego świata, na ogromnej miedzianej tarczy.

Coraz częściej gorące i duszące przeciągały wyziewy, porywając po ulicach listki i śmiecie; towarzyszył temu głuchy huk oddalonego gromu; niebo coraz ciemniejszy przybierało kolor, a z po za granic widnokregu wysuwały się chmury ołowianej czarności, parność była dusząca i coraz stawało się ciemniej, aż zupełny zmrok zapadł na ziemię, tak że o krok nie można było żadnego rozróżnić przedmiotu. Powietrza cichość przyprowadzała do rozpacz, huk

głuchego gromu powtarzał się coraz częściej, i tak trwało przeszło godzinę. Wtem nagle zapaliło się niebo błyskawicą, ale tak gwałtownie, tak jasno, tak ognisto, jakby wszystkie zapasy prochu całego świata w jednej wybuchły chwili. Wichur zawył gwałtownie, jakby chciał świat cały przewrócić, pioruny i błyskawice krzyżowały się bezprzestannie, deszcz chlusnął potokiem, ulice zmieniły się w rzeki, wichur dachy unosił i zrzucił kominy, rozsypując je z dala. Huk, trzask, pioruny, wycie wichru tworzyły chaos niczem nieprzerwany, i to trwało kwadrans, który zdał się nieskończenie długim. Wszystko przeleciało, ucichło, przeminęło, tylko niebo jakby czarnym pokryte kirem, osłoniło ziemię ciemnością.

Ciszę przerwał odgłos bębna bijącego trwogę na znak pożaru. Niedaleko odemnie na kozackim przedmieściu piorun zapalił czteropiętrowy spichrz komisarski. Gdym wybiegł z domu, cały spichrz stał w płomieniu, jakby wybuch jakiego wulkanu pod czarnem niebem wznosił się słup ognisty wyrzucający miliony rac fajerwerkowych.

W powietrzu cisza, a na ziemi wrzawa bębnow, ludzi spieszących z ratunkiem i trzask pożaru, oblanego łuną.

W głównych drzwiach spichrza stał na szyldwachu żołnierz nazwiskiem Archip, z 3go bataljonu, pomimo walących się belek, pomimo spadających żużli, pomimo gorąca od ognia, stał nieruchomy wśród płomieni. Naczelnik sztabu, generał Górski, widząc grożące niebezpieczeństwo szyldwachowi, podbiegł ku niemu, rozkazując mu opuścić to miejsce. Nie mogę, odpowiedział, panie jenerale, aż mię mój gefrajter, co mię tu postawił, ztąd nie ściągnie — i stał nieruchomy wśród ognistego deszczu, aż szczęściem nadbiegł podoficer i ściągnął z warty bez wypadku, prócz małych poparzeń na twarzy i rękach.

Nazajutrz około 4ej z rana słońce jak zwykle wstało z jasnością i najpiękniejsza odżyła pogoda, kwiatki po wczorajszej burzy powstały, zionąc wonią, ptaszki zaświergotały pieśni swoje, ludzie do zwykłych wrócili zatrudnień, a z huraganu zostało tylko wspomnienie i ze spalonej budowli zgliszcza.

Było to około 10. lipca 1840 r. Skwar był nieznośny, rozebrany siedziałem przy otwartem oknie przed dużym cedrowym stołem, zarzuconym papierami i nutami, i pocilem się nad jakąś sztuką do tańca, którą komponowałem, i ta tegoż dnia miała być przepisana, rozpisana i dobrze wyuczona, gdyż przeznaczoną była jako niespodzianka na wieczór tańczący, jaki nazajutrz miał ks. Gorczakow wyprawić Omskiej arystokracji w letniem mieszkaniu swoim o 4 wiorsty oddalonym od miasta. W chwili gdy rozmyślałem nad zawilem przejściem z jednego akordu w drugi, pokazał mi się w oknie cień starszego Michałowskiego, który rzekł do mnie: Nie oglądaj się, dziś przyszło twoje uwolnienie. -- Bądź zdrow, odrzekłem, i trzymaj się ciepło. Wziąłem nowinę tę za żart, od siedmiu lat niewoli mojej zbyt często powtarzany, a tak byłem zajęty muzyką, że ani chwili nie myślałem, ażeby to mogło być prawdą. W tem huk bębnów i janczarskiej muzyki, który odezwał się w sieni pod moimi drzwiami, obudził mię z muzycznego zamyślenia i jakby miną jaką wy-

sadził mię ze stołka. Gdy chciałem wybiedz na korytarz i zobaczyć, co to znaczy, w drzwiach ujrzałem dyżurnego sztabs-officera, pułkownika Martin, adjutanta Szulgina, mego poczciwego Gutkowskiego i doktora Stubendorfa, którzy jako członkowie sztabu głównego, w imieniu ks. Gorczakowa, w paradnych mundurach przyszli mi powinszować łaski carskiej uwolnienia, a muzykanci winszowali mi znowu od siebie. Co się wtedy ze mną stało, nie jestem w stanie opisać, to tylko pamiętam, że wszystkie pieniądze, jakie miałem, rozdałem muzykantom, i wszystką wódkę, jaką miałem w domu rozczęstowałem, a sam takiego dostałem zawrotu głowy i wymiotów, że wszyscy obecni sądzili, żem rozum stracił. Doktor dał mi zaraz jakieś lekarstwo, po którym do samego wieczora przespałem. Podobne umysłowe wrażenie mogło być się skończyć apopleksją lub dozgonną wariacją.

Na drugi dzień wstałem już zdrów i wesół, a po głowie czarujące w przyszłości wily mi się obrazy, bo wy nie wiecie, co

to dla wygnańca jest pewność wolności i powrotu na rodzinną ziemię; wtedy wszystkich się kocha, a nawet (wielki Boże odpuść) i Niemców i Moskali; cały świat chciałoby się przycisnąć do łona, chciałoby się każdemu udzielić cząsteczkę tego szczęścia, które wydaje się bezmier-
nem, nieograniczonem, zwłaszcza kiedy się jest młodym i wierzy w świat i w ludzi. O, bo gdy wiek serce ostudzi, a szron włosy przyprószy, ludzie wydają się innymi, widzi się ich, ale tylko z ujemnej strony.

Rano przyszedł kamerdyner księcia i oświadczył, że ksiązę prosił mię do siebie. Pobiegłem, ksiązę powtórzył mi łaskę carską, dodając, że jestem wolny i że mogę wrócić do kraju kiedy zechcę. Podziękowawszy najprzód w duszy Bogu, następnie podziękowałem księciu, przypisując to szczęście protekcji jego, a w końcu prosiłem o pozwolenie dania koncertu na moją korzyść dla opędzenia wydatków podróży. Ksiązę łaskawie przychylić się raczył, i rozpromieniony radością wyszedłem od niego. Przez

ten czas wieść stugębna, ta stara pogańska plotkarka, już roztrąbiła po całym Omsku wieść o mojem uwolnieniu; po drodze wszyscy mi wieszowali i tłumnie wróciłem do domu. Bek i krzyk niezwykły zastałem u siebie; były to wybuchy żalu mojej pani hrabiny kucharki, która przesłużywszy u mnie pięć lat skrzętnie i wiernie, zasługuje na małe o niej z mej strony wspomnienie.

Był kiedyś hrabia E. cywilnym gubernatorem w Rydze; między innemi dziećmi miał córkę Amelję, zapewne rzadkiej piękności, bo jak do mnie nastąpiła, to dawno już przeszła była lata Jezusowe, a kartoflanka i inne niewstrzeźliwości zostawiły jeszcze tej piękności ślady jakby w zwaliskach i gruzach. Jeść gotowała wybornie i słynęła z tego w Tobolsku i w Omsku. Owóż ta piękna panna Amelja żyjąc w dostatkach i zbytkach, poznała młodego oficera z gwardji; wówczas z Francji wracała do kraju. Karmelki, którymi oficer pannę częstował, widać, że były tak słodkie, a kotyjon, w którym z nią unosił się po salonach był tak odurzającym, że z wyjściem

gwardji do Petersburga i panna Amelja znikła. Ojciec dowiedziawszy się, że córkę jego widziano w Petersburgu, zażądał od tamtejszej policji, ażeby mu córkę bez względu na jej stan i urodzenie odstawiono ciupasem do Rygi. Ta wieść jak grom spadła na kochanków; chociaż ona zaczęła się już zastanawiać nad swoim losem, a i on także, tem bardziej, że i stan jego majątkowy nakazywał mu oszczędność. Przy tem podobno był też i mały upominek, który go bynajmniej nie rozczulał, ale owszem nudził. Panna Amelja widząc, że oficer jakoś rejeruje, a z drugiej strony niepewna, jaki los ojciec zgotował dla niej, nalegana coraz silniej przez policję, wyparła się ojca, zrobiwszy urzędowe zeznanie, że nie jest jego córką. Naturalnem tego następstwem było, że jako kobietę bez rodziny i pochodzenia, wsadzono najprzód do więzienia, a następnie stosownie do przepisów wysłano do Syberji na zaludnienie. Czy zaś stosownie do praw obowiązujących odebrała poczystne na drogę, tego nie wiem, bo nie miałem odwagi sprawdzić to naocznie. Na Syberji rozpila

się zupełnie, a przyciśnięta biedą, przypomniała sobie dawne swoje kuchenne wiadomości i poszła w służbę za kucharkę. Przeszedłszy różne koleje, dostała się nakoniec do mnie, i nie wiem, czy to łagodne moje z nią obchodzenie się i wpływ moralny obudziły w niej dawne w dzieciństwie jeszcze wpojone zasady, że się poprawiła do tego stopnia, iż regularnie chodziła do ewangelickiego kościoła na nabożeństwo i nie więcej jak raz na kwartał spijała się porządnie. W czasie bytności jeszcze mojej w Tobolsku nadeszło urzędowe zawiadomienie do gubernatora, że jej ojciec umarł, nie zostawiwszy w testamencie żadnej wzmianki o niej. Brat jednakowoż, który odziedziczył cały majątek, podał jednocześnie prośbę do gubernatora, ażeby uwolnił ją z wygnania, jeżeli to za stosowne uzna, a on o dalszem jej utrzymaniu myśleć będzie, robiąc jej dobrowolny udział z majątku w kwocie 10.000 r. sr. Było to za czasów gubernatorstwa Tałyzina, który w życiu swoim nikomu nic dobrego nie zrobił i nigdy zrobić nie chciał, i odpowiedział: że

panna Amelja E. rzeczywiście znajduje się w Tobolsku, lecz prowadzenie się jej nie jest tego rodzaju, żeby zasługiwała na uwolnienie, i że skoro raz wyrzekła się rodziców, nie widzi powodów pytać się jej o to powtórnie. Zdawałoby się, że cios tak okropny, gdy się o tem dowiedziała, popchnie ją do rozpacz, lecz dość mężnie zniosła to nieszczęście, oprócz częstszego zapijania sprawy, przeniosła się wraz ze mną do Omska i na tem się rozpacz skończyła. Teraz gdy mój wyjazd wkrótce miał nastąpić, mocne to na niej zrobiło wrażenie, a przepłatając pijaństwo i płacze, do niecierpliwości mię przyprowadzała.

Przygotowania moje do wyjazdu skrzętnie szły naprzód, w dni 4 czy 5 nastąpił koncert mój pożegnalny, z którego odniosłem znaczne materjalne korzyści, a nadto współczucie i żal rozstawania się, które mi jawnie okazała publiczność, wynagrodziły mi dostatecznie za wszystkie trudy i starania moje.

Na drugi dzień po koncercie, sprawiwszy sobie nowy tarantas na drogę za 200 r.

asygnacyjnych (27 r. sr.), dnia 18. lipca 1840 r. przeżegnawszy się, o 9. godzinie z rana opuściłem Omsk na zawsze, nie przewidując rozczulającej sceny, która mię czekała. O 12 wiorst od Omska dojechawszy do przewozu przez Irtysz, zdziwiłem się, usłyszawszy muzykę; byli to moi muzykanci, którzy mię tu czekali z ostatniem pożegnaniem. Po przegraniu marsza przemnie skomponowanego, pod tytułem Pożegnanie, najstarszy z urjadników (podoficerów kozackich) wystąpił z szeregu, przeżegnał i pobłogosławił mię, życząc mi szczęścia i pomyślności na łonie rodziny mojej, i mówił: „Pamiętaj o nas, nasz ojciec kochany, bo my cię nigdy nie zapomniemy; cóż my bez ciebie poczniemy teraz, tyś odzwyczaił nas od bicia“. Pocałowawszy się z wszystkimi, wsiadłem na prom i ku drugiemu odbiłem brzegowi; a długo jeszcze odgłos muzyki odprowadzał mię pomieszany z dzwonkiem pocztowym. Zaiste trudno wszystkim pojąć moc rozczulającą tej sceny, ten wyraz prawdziwego żalu i szacunku, który napelniał serca tych prostych

ludzi, bo to nie było udane, nie żegnali oni żadnego dygnitarza, zwierzchnika lub mocarza świata tego, lecz z całą czystością serca i rzewnością, na jaką się zdobyć mogli, żegnali tego, który przez 7 lat był ich opiekunem i przyjacielem, który ich w każdym razie bronił, o ile było w jego mocy, a słowa te starego urjadnika: „tyś odzwyczaił nas od bicia“, były dla mnie większą nagrodą, jak wszelkie owacje w świecie, i wielkość tych słów pojmie tylko ten, kto czuć umie.

Ztąd już droga czyli trakt do Europy prowadzący, szedł prosto na Tobolsk, a lubo urzędowym traktem należało jechać na Tiu-kałę, wolałem jednak nadłożyć 10 wiorst drogi, i nadrobiłem z moim kozakiem stróżem, który mi jako strażnik i zarazem do posługi był dodany, że obróciliśmy drogę na Is ym, gdzie chciałem odwiedzić znajomych moich. Drugiego dnia wieczorem stanąłem w Iszymie, przycisnąłem do serca kochanego Gustawa, z którym 5 lat nie widziałem się, uściskałem Januszkiewicza, poznałem Cieplińskiego i Moraczewskiego, ale

Nowaka już nie zastałem, już od lat kilku umarł był w Iszymie. Przyznać się muszę, że chociaż wielkich rozkoszy spodziewałem się doznać z powodu tych odwiedzin, nie powiem tego, że bym ich doznał prawdziwie, bo lubo byli to rodacy i przyjaciele, jednakowoż całą rozkosz moją truła myśl, że szczęście uwolnienia padło na mnie, gdy wszyscy inni pozostać muszą na wygnaniu i w niewoli, bez żadnej pewnej nadziei, czy i kiedy los ich się zmieni. Stałem u Gustawa i wszyscy razem zebrani przegawędziliśmy noc całą, a była to gawędka serdeczna z samych wspomnień tego, cośmy przecierpieli, i nadziei, której nie śmieliśmy nawet spodziewać się. Brzask wschodzącej jutrzeńki zastał nas w tem przyjacielskiem kole, a odgłos dzwonka zajeżdżającej poczty przypomniał mi konieczność dalszej podróży, a im dalszej niewoli. Silnym i braterskim pożegnawszy się pocałunkiem, wsiadłem do tarantasa i puściłem się w drogę ku Tobolskowi.

Opuszczając Iszym, muszę wspomnieć o jego Gorodniczym. Był to sobie człowieczek

grubo-płasko-baryłkowaty, na twarzy jak na szyldzie jakim wybitnie malowała się głupota, której dwoje cięących przyświecało oczów, a czy szyld tej głupoty kłamał, osądźcie to sami.

Jeszcze to było za czasów generał-gubernatorstwa generała Sulimy *), który był dla mnie bardzo łaskawym. Jednego wieczoru przyzywał mię do siebie; zastałem go po-

*) Ten sam generał Sulima mieszkał w Warszawie w domu Lessla na ulicy Królewskiej, i był członkiem sądu najwyższego, który car Mikołaj ustanowił dla sądenia tych, co skompromitowani byli w rewolucji 1830—1831 roku i zapelniali wszystkie więzienia w Warszawie. Sąd ten dzielł się na wydziały, w każdym wydziale było trzech członków, z których jeden był przydującym. W tym wydziale, gdzie był Sulima, drugim członkiem był J. K. Szaniawski, a przydującym generał hr. Witt. Gdy czynności sądu zbliżały się do końca, namiestnik carski w Królestwie, Paszkiewicz, zakomunikował temu wydziałowi rozkaz carski, żeby trzech podsądnych, po nazwisku wskazyanych, sąd skazał na karę śmierci, chociaż ta podług praw do nich nie stosowała się; że car złagodzi tę karę śmierci na inną, niższą, ale chce, żeby to złagodzenie było łaską. Hr. Witt rozkaz otrzymany zakomunikował Sulimie i Szaniawskiemu, któ-

kładającego się na kanapie od śmiechu. Jenerał podał mi papier, mówiąc, żebym sam go przeczytał. Była to ekspedycja urzędowa od tego samego Gorodniczego m. Iszyna, w owym czasie, kiedy sławny Aleksander Humboldt podróżował po Syberji dla zdjęcia trygonometrycznego niektórych jej punktów. Oto jest ten raport, a z niego osądźcie sami o autorze, ja zaś jako wierny tłumacz, żadnej cząstki jego sławy nie chcę brać na siebie.

rzy propozycji tej nie przyjęli. Przed samem podpisaniem mających zapaść wyroków w pomienionych trzech sprawach, Paszkiewicz kolejno wzywał do siebie każdego z członków tego wydziału. Najpierwszym wezwany był hr. Witt, drugim Sulima, trzecim Szaniawski. Co pierwsi dwaj odpowiedzieli księciu i jak skończyły się ich posłuchania, nie wiem, ale wiem, że Szaniawski na ustnie mu objawioną przez księcia wolę cara, zdjawszy perukę z głowy, odpowiedział: „Za kilka dni stanę przed tronem tego, co ludzi i monarchów sądzić będzie; przysięgałem na kodeks karny Królestwa, że sądzić będę według niego, i wyroku śmierci nie podpiszę.“

Ani Witt, ani Sulima, ani Szaniawski do żądania cara nie przychyliłi się, i wyroki jednoznacznie podpisali według kodeksu karnego.

„Jaśnie wielmożny generał-gubernatorze i generale! Przed kilku dniami przybył tu do nas jakiś Niemiec nazwiskiem Gumbolt, sztuczka chuda i wcale niepozornie wyglądająca, ale ponieważ mi oddał ekspedycję od Jw. pana, w której mi polecasz być dla niego względnym i grzecznym, więc z należną uniżonością i uznaniem rozkaz jego przyjąłem i Niemca z grzecznością i ugośczeniem podejmowałem, o czem mam ho-

Po skończonym sądzie, należało dla formy nagrodzić członków. Takie nagrody Moskwa, czy rada czy nie, udziela zwykle dla zachęty do podłości na przyszłość. Wittowi dali jakiś order. Sulimę, mającego trzy dorosłe córki na wydaniu, mianowano gubernatorem Syberji. Szaniawski mówił, że taką nagrodę Rzymianie nazywali „occidere benefitio“. Szaniawskiemu zaś, gdy prosił o urlop na 6 miesięcy z pensją dla poratowania zdrowia, dali mu żądany urlop, ale bez pensji. Z urlopu tego, Szaniawski, nie mając funduszów, nie korzystał aż po trzech latach, to jest, gdy z rocznej pensji swojej przez oszczędność zaprowadzoną zebrał sobie fundusz na sześciomiesięczną podróż do Wiednia do dra. Malfattego. W tej podróży towarzyszyłem Szaniawskiemu. Wyjechaliśmy z Warszawy w grudniu 1838 r.

(Przypisek p. Radomińskiego.)

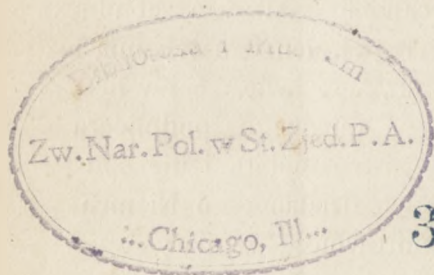
nor donieść Jw. panu, zwracając jego uwagę, że człowiek ten zdaje mi się nader podejrzany, a nawet niebezpiecznym. Już to od samego przyjazdu wcale mi się nie podobał, wybredzał i nie smakował w jeździe, które mu z czystego serca ofiarowałem, chociaż mam kucharkę Ferlisę, która sławnie przyrządza pierogi z nielmy, a gdyby mogła je ofiarować Jw. panu, poczytałaby sobie za najwyższe szczęście. Przyznam się przytem Jw. panu, że mam wielki zapas wybornej nalewki z kniażeniki, której on nawet do ust wziąć nie chciał, krzywiąc się ciągle, jak żeby niedobrym znajdował ten napitek, przez co okazał lekceważenie mej osoby i ugoszczenia mego, i czego nikt z tutejszych urzędników mu nie chwali, znając dobrze i wychwalając zapasy moje i sposób prowadzenia domu mego. Zgoła najznacniejszych nas urzędników miasta tutejszego, osoby zacne i dawno już w służbie będące, wyraźnie za nic nie miał, a nawet podobno głupcami nazywał. Natomiast ciągle przestawał z politycznymi przestępcami Polakami, którzy tu w mieście mojej

pieczy powierzeni jako posieleńcy przebywają. Racysz Jw. pan przebaczyć mojej śmiałości, że mu się z tej dobrej urzędniczej przedstawić ośmielam strony, ale te związki z przestępcami politycznymi nie mogły ujść mojej baczności, zwłaszcza, że w ostatnich dniach po długiej z przestępcami naradzie wyszli wszyscy w nocy na pobliską miastu górę, tam z puzderka z sobą przyniesionego wyjęli narzędzie na kształt dużej rury, które się mnie i kolegom moim jakby ogromna wydawała armata; tę ustawili na lawecie w kształcie trójnoga i wprost na miasto wyrzucowali. Poczem każdy z towarzyszących mu podchodził do tego śmiercionośnego narzędzia i wprost na powierzone mej pieczy miasto celował. Widząc grożące niebezpieczeństwo mieszkańcom powierzonego mi i całkiem z drzewa zabudowanego miasta, rozkazałem natychmiast znajdujące się tu straży wewnętrznej w liczbie sześciu żołnierzy i jednego podoficera wystąpić z bronią ostro nabitą i nie spuszczać z oka wszelkich działań tego Niemca. Gdyby się zaś buntownicze zamiary tego

człowieka szkodliwymi dla nas okazać miały, śmiało poświęcimy się nawet na niechybną śmierć za cara i Ruś świętą. Donosząc o tem Jw. panu przez umyślnego posłańca, jak najspieszniejszej oczekuję rezolucji, zapewniając go o mojem winnem posłuszeństwie i poświęceniu się za cara i Ruś świętą, jak przystoi na prawego moskiewskiego urzędnika, do tego koleżkiego asesora, mającego 20 lat służby.

Skotin, Gorodniczy m. Iszyna.“

K O N I E C.



3020

SPIS PRZEDMIOTÓW.

Strona

ROZDZIAŁ I.

Sojecki. — Mamajew. — Agiejew. — Ludwisarnia. — Współwięźniowie. — Komisja śledcza. — Nowak. — Sąd wojenny. — Kategorie podsądnych. — Wyjazd z Ludwisarni. — Ogłoszenie wyroku. — Okucie w kajdany. — Wyjazd z Warszawy. 1

ROZDZIAŁ II.

Emigracja. — Pobyt w Prusach. — Powrót do kraju. — Artur Zawisza. — Kalikst Borzewski. — Jurgaszko i jego sekretarz. — Sam się denuncjuje i odwozę w łapy moskiewskie. — Kalikst Pawłowski. — Raport Jurgaszki 25

ROZDZIAŁ III.

Brześć. — Okropna scena w Słonimie. — Stryj Jurgaszki. — Moskwa. — *Moskowskiej Tiuremnyj zamok*. — Baszta Pugaczewa. — Kibitka. — Niżnyj Nowgorod. — Droga z okraglaków. — *Deszczenniki*. — Rozmowa z Markizem de la Traversière. — Tobolsk. — Rozmowa z gubernatorem kopyłowem. — Weljaminow. — Rodacy w Tobolsku. — Wygnańcy moskiewscy 49

ROZDZIAŁ IV.

Zostaje *wolno-najomnym kapelmistrzem*. — Moja muzyka. — Instalacja. — Próba muzyki. — Moja sława rośnie. — Robię znajomości z arystokracją Tobolską. — Daje lekcje muzyki po 50 gr. polskich. — Jeneral Sulima 79

ROZDZIAŁ V.

Ostrogi (więzienia). — Transport na Syberję. — Robactwo. — Kradzieże pieniędzy przez oficerów. — Rewizje. — Sposób na nie. — Zkąd tyle kucharzy w Tobolsku i innych rzemieślników? — Historia doktora. — Apteki. — Odbijania się więźniów w drodze. — Burjaci. — Korespondowanie z krajem . . . 93

ROZDZIAŁ VI.

Pietraszkiewicz. — Gustaw Zieliński. — Stanisław Dotkiewicz. — Sposób na Karaluchy i Prusaki. — Osiołek. — Scena z Małpozwierzem. — Wypadek Romana Chelmieckiego. — Kara na muzykantów skuteczniejsza od bicia. — Historia djaka. — Knut. — Katy. — Knutowanie. — Piętnowanie. — Pędzenie przez różgi. — Chłosta 131

ROZDZIAŁ VII.

Teatr amatorski. — Doktor homeopata. — Jenerał Gołafiejew. — Szelmstwo jenerała Broniewskiego. — Krantz. — Hildenhagen. — Markiewicz. — X. Sierociński. — Dr. Szokalski. — Wyrok. — Egzekucja. — Krwawa sala. — Arnold Byszewski 161

ROZDZIAŁ VIII.

Książę Piotr Dmitrjewicz Gorczakow. — Michał Koźmiński. — Przyjazd następcy tronu (teraźniejszego cara.) — Amnestja ogólna, z której jeden tylko żyd defraudant korzystał. — Decembrzyści. — Krzyżanowski. — Słowa Konarskiego przed egzekucją. — Ewa Felińska. — Rzarzewska. — Paulina Wilczopolska. — Scena z jenerałem Tałyzinem. — Historia Magdaleny Sakowskiej 183

ROZDZIAŁ IX.

Czynownik moskiewski. — Rząd. — Wychowanie. — Prawa. — Wnętrza biór moskiewskich. — *Ziercało*. — Ukazy. — Swod zakonów. — Procedura. — Wady główne w administracji — Śledztwa. — Pożegnanie Tobolska 205

ROZDZIAŁ X.

Tobolsk górny. — Dzwon oknutowany. — Czczeryn. — Pomnik Jermaka. — *Zawalnaja die-rewnia*. — Tobolsk dolny. — *Podczuwaszę*. — Jar-mark na mięso. — Nasi księża. — Tobolsk w zimie i w lecie. — Wycieczki. — Iwanowsk. — Gubernator Czczeryn i Archirej Arsenij. — Dwa obrazy sądu ostatecznego. — Święci z lentami i orderami 223

ROZDZIAŁ XI.

Myśliwstwo. — Burze. — Powozy, wozy i wozidla. — Tarantas. — Suzgun. — Piękna Tatarka. — Opowiadanie Jerszowa o carze Kuczumie — Omsk. — Kaźmierz Gutkowski. — Nowe szelmstwo jenerała Broniewskiego. — Silvenhelm. — Piotr Wysocki. 245

ROZDZIAŁ XII.

Huragan. — Pożar. — Uwolnienie. — Hrabianka kucharka. — Jej historia. — Mój koncert — Pożegnanie z muzyką. — Iszym. — Raport Gorodniczego o Humboldt'cie 267

